

Mieczysław Jałowiecki
Requiem dla ziemiaństwa
Wybór i układ tekstu Michał Jałowiecki
CZYTELNIK
WARSZAWA 2003

Opracowanie graficzne Lijklema Design Karolina i Hans Lijklema

Na okładce zdjęcie Autora
ze zbiorów Michała Jałowieckiego

Redaktor

Andrzej Gordziejewski

Redaktor techniczny Hanna Orłowska

© Copyright by Michał Jałowiecki, 2003

© Copyright for the Polish edition

by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2003

ISBN 83-07-02924-4

W hołdzie tej szczególnej rasie białego człowieka, która bezpowrotnie przeminęła.

Michał Jałowiecki

Ziemia i ludzie

Sytuacja, w jakiej się znalazłem po opuszczeniu Komisariatu Rzeczypospolitej w Gdańsku, była nad wyraz trudna. Niebacznie wyzbyłem się wszystkich pieniędzy, w związku z zajmowanym przeze mnie urzędem. Miałem nadzieję ich odzyskania, ale sprawa zaczęła się błąkać po różnych kancelariach; zmieniali się premierowie, zmieniali się ministrowie skarbu i moje pretensje ugrzęzły w labiryncie biurokratycznym. Pozostawały mi więc jedynie pensje z dwóch posad, a więc Towarzystwa Braci Nobel i Polsko-Bałtyckiego Towarzystwa Handlowego „Polbal”. Pensje te, aczkolwiek wysokie, z trudem jednak wystarczały na utrzymanie dwóch domów, gdyż ze względu na naukę dzieci ulokowałem je z guwernantką w Poznaniu.

Nie uśmiechał mi się też pobyt w Gdańsku i pozostawanie w środowisku, w którym niedawno odgrywałem rolę pierwszoplanową, a w którym po mojej dymisji znalazłem się jako zwykły pracownik firm prywatnych mimo oficjalnego tytułu dyrektora. W dodatku nie miałem za sobą żadnego oparcia, nie należąc do żadnej partii ani też koterii. Dlatego z entuzjazmem przyjąłem propozycję komisarza Ligi Narodów generała Hakinga, by objąć stanowisko dyrektora stacji doświadczalnej w Moshi, w Tanganice, dawnej kolonii niemieckiej, którą Liga przekazała Anglii jako mandat brytyjski.

- Pan jest rolnikiem - powiedział do mnie Sir Richard Haking - człowiekiem wsi, „an outdoor man”, miasto pana

7

zmarnuje. Stacja jest położona w zdrowym klimacie Afryki wschodniej, na stokach góry Kilimandżaro. Pan dobrze zna Niemców, których jeszcze sporo tam pozostało i, co najważniejsze, pan tak dobrze włada niemieckim. Powinna pana ta propozycja zainteresować, bo i wynagrodzenie jest wyjątkowo dobre.

Nie miałem nic do stracenia, wszystko już mi obrzydło i zniechęciło, postanowiłem więc wyjechać z kraju. Z tym postanowieniem udałem się dla odprężenia na parę dni do Warszawy. Po kilku latach ciężkiej pracy i zupełnego odsunięcia się od ludzi, ten pobyt wśród znajomych, życzliwych mi osób odświeżył mnie psychicznie i jeszcze bardziej utwierdził mnie w konieczności zmian w moim położeniu.

Patrzyłem bowiem na ludzi szczęśliwych, bawiących się, kochających. „A ja, przykuty nieuleczalną chorobą żony, w gruncie rzeczy nie miałem prawa brać udziału w życiu, mnie pozostał tylko obowiązek” - myślałem, buntując się z goryczą.

Ostatni wieczór przed powrotem do Gdańska spędziłem w teatrze, a potem na samotnej kolacji w Hotelu Europejskim. Siedziałem odwrócony tyłem do sali i gdy przyszła pora płacenia rachunku, obejrzałem się za siebie i nieopodal ujrzałem moją znajomą, Anię Fintejzen siedzącą w jakimś większym towarzystwie. Ania dostrzegła mnie i kiwnęła ręką, a po chwili kelner wręczył mi od niej

bilecik: „Przyjdź do naszego stolika, jest tu parę miłych osób”.

Byli to ziemianie z Kaliskiego, a wśród nich śliczna brunetka, w kapeluszu z szerokim rondem, ubrana w świetnie skrojoną, dyskretną, czarną suknię. W uszach świeciły dwa wielkie brylanty. Nie mogłem oderwać od niej oczu, spotkanie z nią było jakby przedłużeniem wzruszającego melodramatu, jaki tego wieczoru oglądałem w teatrze. Zakręciło mi się w głowie. Zapewne musiałem gadać bez sensu albo milczałem, bo Ania kilka razy popatrzyła na mnie badawczo, a w końcu zagadnęła:

- Co z tobą? Taki jesteś zawsze rozmowny... Czy to dlatego, że podobno wyjeżdżasz do Afryki?

- Nie, Aniu - odrzekłem - nie wyjadę, zostaję.

Ślub mój z Zofią Anielą Marią z Romockich primo voto Wyganowską odbył się dnia 5 sierpnia 1922 roku w kaplicy Zakładu Opatrzności Bożej w Warszawie. Ehomme propose, Dieu dispose. I tak dziwnych losów kolejną, a może Opatrznością Boską, zamiast uprawiać kawę i herbatę na stokach góry Kilimandżaro znalazłem się z powrotem w tej tak dla mnie bliskiej i drogiej atmosferze ziemiańskiej.

We wszystkich dawnych trzech zaborach ziemiaństwo różniło się sposobem bycia, zwyczajami, stosunkiem do ludu, wreszcie pewnymi naleciałościami wyływającymi z warunków ekonomicznych i politycznych różnych u każdego zaborcy. Niemniej jednak wszystkich nas ziemian łączyła jakaś tajemna siła, która szła z ziemi, z gospodarstwa, ze starych ścian dworów i wspólnej tradycji szlacheckiej. Być może stosunek do gniazda rodzinnego na Litwie, Białorusi i ziemiach kresowych Wołynia, Podola i Ukrainy był inny niż w Królestwie i Małopolsce, gdzie obrót ziemią był dozwolony. W dzielnicach kresowych, jak również w Wielkopolsce utrata lub sprzedaż majątku ziemskiego przez polskiego ziemianina była uważana za zdradę, gdyż wypuszczona z rąk ziemia była już na zawsze stracona dla polskiego stanu posiadania. Natomiast w byłej Kongresówce majątki często zmieniały właściciela i na roli osiadały elementa nie zawsze pojmujące zadania i obowiązki ziemiańskie, bywały jednak rejony gęsto zamieszkałe przez zasiedziałe ziemiaństwo, wśród których intruzów było mało.

Do takich guberni, obfitujących w dwory pozostające przez kilka lub kilkanaście pokoleń w rękach jednej rodziny, zaliczało się Kaliskie, gdzie leżał Kamień, majątek mojej żony.

Większość ziemiaństwa kaliskiego była solidna, zamoż-

na, gospodarna i trzymająca się dobrze zrozumianej tradycji. Mniej było tutaj niż w reszcie Kongresówki „półtora szlachciców” lub nedorajdów, nie umiejących gospodarować utracjuszków, powiększających liczbę „wywiałków ziemiańskich”, którzy zasilali następnie sferę inteligencji miejskiej, wnosząc z sobą mało walorów, a raczej często siejących demagogię.

Plagą ziemiaństwa kongresowego były też działy rodzinne i coraz większe rozdrobnienia stanu posiadania, oraz wrodzona niechęć do wolnych zawodów. Na Litwie i Żmudzi ziemia była czymś świętym. Dlatego ziemianie zwykle oprócz rolnictwa posiadali jakiś fach dla zapewnienia dopływu dochodów spoza gospodarstwa. Synowie z kresowych rodzin ziemiańskich po ukończeniu szkół szli do specjalnych zakładów naukowych lub na uniwersytety, by potem zajmować dobrze płatne stanowiska w przemyśle rosyjskim, palestrze lub w medycynie.

Na Litwie i Białorusi inne też było prawodawstwo. Majątek ziemski był niepodzielny, pewnego rodzaju ordynacją, którą obejmował jeden z synów. W myśl prawodawstwa rosyjskiego siostry nie dziedziczyły ziemi. „Siostra pri bracie nie naslednica” głosił jeden z podstawowych paragrafów prawa cywilnego. „Siostra przy bracie nie jest spadkobierczynią”, więc były spłacane w sposób może niesprawiedliwy, bo zaledwie w jednej siódmej części majątku ziemskiego.

W Królestwie zaś obowiązywał Kodeks Napoleona, a tym samym równość działów. Kurczyła się przez to własność ziemska i znaczne dawniej fortuny rozdrabniały się z biegiem lat na coraz to drobniejsze folwarki, które wreszcie pogrążyły się w morzu średniorolnego chłopstwa. Każdy jednak ze spadkobierców wciąż poczuwał się „Jaśnie Panem” i chciał nie tylko trzymać fason, ale i prowadzić tryb życia, na który jego chudopacholska fortuna nie pozwalała. Dlatego wielu ziemian Kongresówki nosiło cechy pospolitego ruszenia, w odróżnieniu od solidnej warstwy ziemiańskiej dbającej o niepodzielność majątku, którą można było porównać do znaku pancernego.

Wśród tej poważnej, zamożnej, świetnie gospodarującej na roli warstwy ziemiańskiej Królestwa nie było fortun magnackich, ale były to majątki pokaźne, zdobyte przez pokolenia dobrą gospodarką, przezornością, przy jednoczesnym spełnianiu ciężących na ziemiaństwie społecznych obowiązków. Nie potrzebowali się oni czepiać klamek arystokratycznych domów i świeżo nabytych tytułów, gdyż większość z nich mogła się w swojej genealogii wylegitymować z długiego łańcucha urzędów nie tylko powiatowych, ale i senatorskich. Owey genealogii mogliby pozazdrościć niektórzy z naszych litewskich panów, którzy przywędrowawszy na Litwę z przeludnionego i biednego Mazowsza skojarzyli się z fortunami litewskimi i ze zwyczajnych sza-raczków wyrosli na potentatów. Zdarzały się też w Królestwie przypadki, gdy zagrożoną fortunę trzeba było ratować, a nie wszyscy liczyli na własną pracę lub pomyślność, tylko wyjście z krytycznej sytuacji znajdowali we wżenieniu się w bogate rodziny żydowskie, czego u nas na Litwie i świętej Żmudzi nie bywało. Wżenili się tak Wielopolscy, Potuliccy, wżenili się Skarbkowie. Mimo to prawdziwe ziemiaństwo Królestwa jak piękne, stare, głęboko wrosłe w glebę, rozłożyste dęby górowało nad różną zbieraniną, która przypadkowo znalazła się na roli, a która potrzebowała pokoleń, by zasymilować się z prawdziwym ziemiaństwem.

Piękna jest stara ziemia kaliska.

Kolej prowadząca z Warszawy do Wielkopolski przecina monotonne równiny sochaczewskie i banalne okolice uprzemysłowionej Łodzi, by za Sieradzem wbiegać w odmienny kraj. Przez otwarte okno wagonu wlewa się już inne, czyste powietrze, przesiąknięte zapachem miodu z kwitnących pól białej koniczyny i wysadków buraczanych. Dymy fabryczne nie przysłaniają tu błękitu nieba, nie psują tu krajobrazu czerwone, ceglane kominy lub okopcone mury fabryk. Gdzieś na widnokregu mignie czasem ciemna smuga lasu, zabieleją wieże kościelne lub białe ściany dworów

11

i znowu pojawiają się szerokie jak morze, falujące pola złotej pszenicy lub ciemna zieleń buraków. Nie jest to już Królestwo, nie jest też Poznańskie, to inny, zamknięty w sobie, osobliwy kraj, będący pograniczem dawnej Wielkopolski, to dawniejsza gubernia kaliska, której najpiękniejszym klejnotem jest sam powiat Kalisz.

Chociaż w dawnej Kongresówce nie znajdzie się takich gospodarstw, ani też takiego zwierzostanu i polowań, jak w tym całym pięknym zakątku, który za czasów rosyjskich stanowił gubernię kaliską, to jednak powiat kaliski był tym głównym ogniskiem rolniczym, koło którego krążyły inne powiaty guberni cieszące się jego blaskiem.

Za prawdziwego Kaliszana był uważany tylko ten, który zamieszkiwał ów powiat, uważany przez swoich mieszkańców za „pępek świata”. Chodzili wobec tego Kalisza-nie po tym padole ziemskim opromienieni sławą, wzbudzając słuszną zazdrość wśród rzeszy ziemiańskiej osiadłej w sąsiednich powiatach.

Każdy chciałby stać się „Kaliszaninem” i zamieszkać w tym pięknym, beztroskim, a gospodarnym kraju spod znaku „buraka i zająca”. Ale niełatwo było dostać się do Kaliskiego lub okupić się w Kaliskiem. Każdy bowiem trzymał się tu swojej wsi i swojego gniazda, gospodarował dobrze i intruzów nie wpuszczał. A gdy znalazł się jakiś szczęśliwiec, który nabył schedę w Kaliskiem, to nierychło był dopuszczony do „kompanii”, bo musiał zasłużyć na miano dobrego gospodarza, dobrego myśliwego i dobrego kompana. Bowiem ani mądrością, ani piękną wymową, nie można zaimponować Kaliszanom. Choćby się nawet posiadało wszystkie mądrości świata doczesnego i, używając miejscowego określenia, „papało się w ziemi”, a nie potrafiło zrulować szaraka defilującego na nagonce lub strej-fie, a do tego miało się przy trunku słabą głowę i podle grało w brydża, to uzyskanie nobilitacji na prawdziwego Kaliszana było niemożliwe, a taka osoba uważana byłaby za hetkę pętelkę.

Kaliszanie to nie tylko dobrzy gospodarze i myśliwi, ale

12

także naród bitny. Chyba w żadnej innej dzielnicy całe ziemiaństwo tak dzielnie nie stanęło w szeregach walczących, bez względu na wiek i zdrowie, jak to zrobili Kaliszanie w czasie wojen bolszewickich.

Co trzeci Kaliszanie to kawaler Krzyża Walecznych, co dziesiąty to kawaler Virtuti Militari, a gdy po skończonej wojnie wschodnie województwa Królestwa pozostały bez inwentarza, bez nasienia siewnego, bez ludzi, to jedynie Kaliszanie zebrali się do kupy i z inicjatywy prezesa Wojciecha Wyganowskiego pośpieszyli z pomocą. Całe pociągi z końmi, ziarnem, narzędziami i ludźmi zostały wysłane pod opieką nieocenionych włodarzy kaliskich hen, aż do ziemi łomżyńskiej. Uprawili, zasiali i wrócili na czas prze-rywki buraków w rodzinne strony.

W takiej to pięknej ziemi leżał w odległości 10 wiorst od Kalisza, przy dawnym Trakcie Napoleońskim, późniejszej szosie na Turek, historyczny Kamień, dawne dobra rycerskie należące do mojej drugiej żony.

Jeżeli powiat kaliski słusznie zwany był perłą dawnej guberni kaliskiej, to Kamień uchodził za złote jabłko tego powiatu. Była to ongiś prawdziwie pańska fortuna, która z powodu działów i skasowania serwitutów zmniejszyła się do 800 hektarów ornych pól, łąk i lasów. Dzięki jednak wyjątkowemu położeniu, pszenno-buraczanej glebie i dwu-kośnym łęgom nadrzecznym stanowiła wciąż jedną z bogatszych posiadłości w powiecie.

Kamień słynął szeroko z wysokiego poziomu gospodarstwa, ładu i porządku, mimo że przez pięć pokoleń rodziły się tutaj same córki i one dziedziczyły majątek. Zmieniały się nazwiska i herby, Kamień jednak jak ta skała wśród burzliwego morza powstań i wojen pozostał w rękach jednej rodziny, z czego można wyciągnąć naukę, że panie na Kamieniu potrafiły swoich małżonków trzymać ostrą ręką i nakłonić do właściwego administrowania dziedziczną schedą.

Majątek może nieco upadł za czasów generała Umińskiego-go, którego moja druga żona jest w prostej linii potomkiem.

13

Generał Jan Nepomucen Umiński jeszcze w wieku chłopięcym wstąpił do wojska i w wojnach napoleońskich dosłużył się szarży generała. Wystawił własnym sumptem pułk huzarów, który w swojej tradycji odtworzył się w wojsku polskim jako 10 Pułk Żółtych Huzarów. Generał brał udział w bitwach pod Gdańskiem, Tczewem, wreszcie w kampanii 1812 roku walczył pod Borodinem i na czele swojego pułku będąc w awangardzie wojsk napoleońskich, jako jeden z pierwszych wjechał w mury płonącej Moskwy. W 1831 roku na czele brygady kawalerii walczył pod Wawrem, Dębem Wielkim i brał udział w wielu innych potyczkach.

Po generale Umińskim pozostało w Kamieniu sporo pamiątek, jak para pistoletów ofiarowanych przez ks. Józefa Poniatowskiego, mundur i szlify, czako huzarskie oraz ordery Virtuti Militari, Legia Honorowa, Order Marii Teresy i wiele innych odznaczeń.

Generał Umiński, o ile był dobrym żołnierzem, o tyle mało dbał o swoje interesy, a wojna i wydatki z nią związane nie tylko zrujnowały go osobiście, ale też znacznie nadwyrężyły Kamień, majątek dziedziczny jego żony. Toteż Kamień w tym okresie znacznie podupadł, już to z powodu niebytności dziedziców, już to nieuczciwej administracji. Jednakże mąż jego córki Julian Czartkowski, oficer Pułku Strzelców Konnych Gwardii i kawaler orderu Virtuti Militari odbudowuje Kamień, zaprowadza wzorowe gospodarstwo, zakłada zarodową oborę i stadninę oraz gorzelnię z słynną w owym czasie fabryką wódek. Ta tradycja dobrego gospodarzenia przetrwała w Kamieniu prawie do mojego przybycia.

Niestety, z powodu choroby mój teść musiał jeszcze przed wojną porzucić gospodarstwo i wydzierżawił majątek znakomitemu rolnikowi Wojciechowi Wyganowskiemu.

Pan Wojciech, który był przeciwnikiem gospodarstwa mlecznego, zlikwidował zarodową oborę, wieloletni owoc pracy mojego teścia, i zaprowadził system oparty nie na gospodarstwie mleczno-hodowlanym, lecz na gospodarstwie opasowym. Przed wojną system ten dał świetne wy-

14

niki i zrobił pana Wojciecha „rabinem rolniczym” nie tylko w Kongresówce, ale i dalej. Jego system polegał na tym, że co jesień pan Wojciech skupował znaczną ilość chudź-ca, który trzymał przez zimę i na wiosnę sprzedawał jako opasy. Oszczędziło mu to wielu kłopotów i robocizny, a dało gospodarstwu znaczną ilość pierwszorzędnego obornika.

Niestety, nadeszła wojna, Kaliskie zostało odcięte od kresów południowo-wschodnich, od Podola, Wołynia, Ukrainy, skąd dawniej ciągnęły do Kalisza całe pociągi naładowane długorogim bydłem

stepowym, by zapłacić budynki gospodarcze Kamienia.

Warunki się zmieniły, pozostał bez odpowiedniego obornika system bardzo intensywnego eksploatacji ziemi, w którym została całkowicie zignorowana kolejność płodo-zmianów. Szły więc kłosowe po kłosowych, a buraki zjawiały się na tym samym polu co parę lat. Nie uprawiano w systemie pana Wojciecha ani strączkowych, ani pszenicy; miał on swoje dziwactwa i uznawał tylko żyto i buraki. Toteż zastałem ziemię wyjałowioną, a pierwsze lata gospodarki upłynęły pod znakiem niskich plonów.

Był już początek jesieni, gdy przyjechałem do Kamienia. Czas był cichy, słoneczny, zboża już zebrane i złożone w sterty, ścierniska podorane. Zieleniały już na polach długie pasy poplonów. Koszono potrawy na łąkach nad rzeką Swędrnią i powietrze przesiąknięte było aromatem świeżo skoszonej trawy.

Wszystko stało się tak nieoczekiwanie, że oto znowu znalazłem się na roli i że otoczyła mnie już prawie przeze mnie zapomniana atmosfera wiejskiego dworu, służby, koni, spokoju, wieczornego ujadania psów, szumu lasu, widoku sadu, gdzie gałęzie gięły się od dojrzewającego owocu... wszystko to było mi tak bliskie, tak przypominające lata dziecinne i dom rodzinny.

Dopiero teraz zacząłem sobie uświadamiać jak głę-

15

boko tkwiła we mnie desperacja i obojętność na wszystko. Po mordach bolszewickich, których tak niedawno byłem świadkiem, po zostawieniu na Litwie Kowieńskiej mojego majątku, po misji gdańskiej, gdzie codziennie musiałem wszystko brać na własną odpowiedzialność, a często stawiać na „jedną kartę”, stałem się desperatem. Czułem, że w razie potrzeby z równą obojętnością mógłbym zabić człowieka, jak i sam być zabitym. A mimo to opuściły mnie siły i często nie mogłem usnąć pod ciężarem dręczących mnie myśli lub zrywałem się o świcie i szedłem w pola i lasy.

Sama myśl, że powinienem w gruncie rzeczy znowu wrócić do życia miejskiego i interesów, i że mając przed sobą takie pole do pracy rolniczej musiałbym spoglądać na ugodną lub mniej ugodną administrację rządową, była nie do zniesienia.

Rządcą w Kamieniu był pan Wiktor Orłowski, człowiek nad wyraz uczciwy, dobry rolnik, szczerze oddany mojej żonie, mimo to nie mogłem nie zauważyć pewnych rozbieżności w administrowaniu Kamieniem; miałem pod tym względem o wiele większe doświadczenie. Byłem więc w położeniu doświadczonego chirurga, któremu kazano przyglądać się operacji prowadzonej przez nowicjusza. Po namyśle i przy namowach żony postanowiłem zrezygnować z moich interesów gdańskich i pozycji ministra pełnomocnego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych; zostałem w Kamieniu. Początkowo starałem się zapoznać z majątkiem i w najdrobniejszych szczegółach z systemem gospodarstwa w tych nowych, nieznanym mi warunkach.

Pola uprawne leżały na szerokiej płaszczyźnie w kształcie prostokąta. Były to przeważnie gleby pszenno-buraczane, drenowane, mające łagodne spady ku dwóm głównym rowom odpływowym i przez to stanowiące idealny teren do uprawy.

Na północy czerniała ciemna smuga lasów kamieńskich, które łączyły się z lasami sąsiednich dóbr Morwin i stanowiły jeden z największych kompleksów leśnych powiatu.

16

Lasy kamieńskie ciągnęły się północną granicą, jakby półkolem przeskakując szosę Kalisz-Turek i przechodząc w zagaję obejmujące znaczną część należącego do Kamienia folwarku Dziecioł, o glebie raczej lekkiej, żytio-karto-flanej, natomiast bogatego w dwukośne łąki ciągnące się szeroką wstęgą wzdłuż rzeki Swędrni, dopływu Proсны.

Ongiś na Dzieciole była gorzelnia, skasowana w czasie trudnej koniunktury przez mojego teścia.

Pozostały na folwarku tylko wielkie lodownie, leśniczówka, wołownia i dwie stodoły.

Od łągów dzieciołskich szedł stały, nie milkący gwar ptactwa: długodziobych kulików, bekasów, kaczek, derkaczy, czajek. Dopiero po sianokosach zalegała cisza aż do jesieni, kiedy to ciągnące ku południowi ptactwo zbierało się na odpoczynek.

Rzadko można było spotkać takie nagromadzenie zwierzyny jak w Kamieniu. Rudle saren po kilkanaście sztuk pasły się na polach kamieńskich niczym stada antylop. Liczne stada kuropatw

zrywały się jesienią z pól buraczanych, a na innych polach co krok wlatywały barwne bukiety kogutów lub szare kury bażancie.

Co krok wyskakiwał również szarak, których w Kamieniu liczone na setki. Szaraki kamieńskie miały też ustaloną sławę, bo był to typ ciężkiego, wielkiego szaraka i bodaj nigdzie nie było takich combrów, jak z kamieńskich zajęcy.

W zagajach śmigwały także króliki, które rozmnażając się w postępie geometrycznym czyniły wielki szkody w nowo zasadzonych zagajach.

Były w Kamieniu sarny polowe, były sarny leśne, były też bażanty polne i bażanty leśne, borsuki, dziki i oczywiście lisy.

Lasy kamieńskie były różnorodne. Gonnie sosny rosły na lżejszych glebach, a na częściach gliniastych wznosiły się wiekowe dęby podszyte gęsto krzakami i leszczyną. Były tam zakątki pełne swoistego uroku, ciche, zatulone zielenią krzewów i drzew; w tych odludnych częściach lasu gnieździły się na stałe borsuki.

2 - Requie

17

Jesienią w zagajach na Dzieciole zbierano rydze koszami, a na wiosnę powietrze przepojone było zapachem konwalii, których całe pola bieleły się obfitością kwiatów. Latem na skrajach lasu pojawiały się poziomki w dużych ilościach, jak i jeżyny o czarnych jagodach.

W Kamieniu urodzajne gleby jakby skojarzyły się z pięknnością przyrody: flory i fauny.

Byłem szczęśliwy i nie czułem się sam.

Przeszło jednak sporo czasu, zanim oswoiłem się z nowym otoczeniem i poznałem tutejszych ludzi. Najprędzej zapoznałem się ze służbą dworską i pracownikami kamieńskimi. W Kaliskiem prawie wszyscy ziemianie gospodarowali osobiście, bez administracji, a jedynie przy pomocy nieocenionych w swoim rodzaju włodarzy.

Każdy majątek miał dwóch włodarzy: jednego od robót konnych, a drugiego od prac ręcznych. Byli to zwykle ludzie, którzy swoimi zdolnościami wybijali się ponad zwykły poziom. Przeważnie świetni fachowcy, obeznani od dzieciństwa z wszelkiego rodzaju robotami na roli, a często mający spore doświadczenie nabyte w Niemczech, dokąd za dawnych czasów większość ludności udawała się na prace sezonowe.

Włodarze znali na wylot robotników i wiedzieli czego można od nich żądać, jaką pracę można wykonać w określonym czasie, mieli bardzo wyostrzony zmysł spostrzegawczy i niespotykane wyczucie roli. Do ich cech ujemnych należały: nagminna skłonność do kieliszka i skłonność do samorzutnego wynagradzania siebie przy młóccie, przy zdawaniu obroku, przy sprzątaniu roślin pastewnych i okopowych... W sumie jednak te przekroczenia kosztowały przynajmniej trzy czwarte mniej niż utrzymanie rządcy; patrzono więc na to przez palce jak na coś, co wchodziło w skład obyczajów włodarskich.

W Kamieniu zastałem dwóch włodarzy: Dziubka od fernali i Tabakę od „ręczniaków”. Były to pierwszej klasy

18

stare wygi i obaj niepośledni pijacy. Obydwaj znali się doskonale na roli i gdy chcieli, mogli dokonywać cudów; od razu też wiedzieli, kto się na roli zna, a kto nie i w takich przypadkach lubili „pofuszerować”.

Dziubek był mały, krępy, bardziej dobroduszny od Tabaki, natomiast Tabaka przewyższał go tak sprytem, jak i zdolnościami pochłaniania alkoholu bez widocznych następstw. Nieraz znajdowano Dziubka, mającego słabą głowę, w półprzytomnym stanie na skraju pola lub na brzegu rowu odpływowego zwanego rowem macicznym.

Dziubek był też niepoślednim meteorologiem i przepowiadał pogodę lub deszcz zależnie od kierunku lotu gawronów zwanych w dialekcie miejscowym „glapami”.

- Ade proszę jaśnie pana, glapy ciągną od Biernatek, to na jutro pewnikiem będzie lało.

Dziubek miał czterech roślących synów. Z nich Józef, spryciarz i „żulik”, był gajowym w Kamieniu, a drugi, Marcin, który niedawno wrócił z wojska, zaczął pracę u mnie jako zwykły „ręczniak”.

Awansowałem go na starszego włodarza, bo był zdolny, pracowity, ale jak się później okazało, miał

niecو „długie ręce”.

Całe to młodsze pokolenie Dziubka służyło w kawalerii, a Józef zaczął swoją karierę w ułanach rosyjskich, by skończyć jako ułan polski. Nie słyszałem, czy się czymś odznaczył w boju, dowiedziałem się jednak, że w czasie ostatniej wojny był mężem opatrnościowym szwadronu. Potrafił on spod ziemi wydstać kury, kaczki, gęsi, którym szybko ukręcał szyje i nieznacnym ruchem wkładał swoją zdobycz pod mundur.

Jako starszy gajowy Kamienia doskonale prowadził nagonkę, znał wszystkich okolicznych kłusowników i w czasie dorocznych polowań jednym rzutem oka umiał zmiarkować, który z nagonki miał coś na sumieniu i w milczeniu sięgał z ręcznie pod koszulę delikwenta i wyciągał postrzelonego bażanta lub królika.

Niestety, po kilku latach Józef rozwydrzył się nieco, więc byłem zmuszony podziękować mu za wierną służbę. Opu-

19

ścił Kamień z nieodstępnym, nieco przymorzonym głodem, Zofirem. Każdy bowiem pies Dziubka, będący zwykle trudną do określenia mieszaniną ras, nazywał się tradycyjnie Zofir, co miało oznaczać „zefir”.

Jedną z charakterystycznych postaci dawnej służby kamieńskiej był Antoni Józefiak, będący już na emeryturze, ale doglądający jeszcze żrebaków. Był to świetny psycholog, znał na wylot wszystkie słabości dziedziców, umiał jak nikt opowiadać o dawnych czasach i stał się nieodłącznym przyjacielem moich dzieci w czasie ich letnich wakacji.

- Ade proszę panienki - opowiadał mojej córce o majątku mojego teścia - u pana Rumockiego to były fajne budynki. Na dachu każdego był znak. Na stajni koń, na oborze krowa, na kurniku kura, na chlewni świnia, a wszystko wycięte z blachy i pomalowane, a na spichrzu to był szczur z długim ogonem.

Niełatwo mi było przyzwyczać się do miejscowego dialektu i do swoistego przekręcania liter.

Mego teścia zwano panem Rumockim, nie mówiono „przez most” ale „bez most”, nie mówiło się „bez czapki” ale „przez czapki”, na dziewczyny w polu pokrzykiwało się „ty selero jedna”, a każde zdanie zaczynało się „ade”. Dużo było również naleciałości niemieckich, jak „hakanie” buraków, „rapsik” czy „pyry” lub „dryl”.

Józefiak miał syna Antka, który zaczął swoją służbę jako chłopak stajenny przy dawnym stangrecie kamieńskim Zawadzie, który go niemiłosiernie ciągał za uszy; potem był fornalem, ja zaś zastałem Antka jako pełniącego obowiązki stangreta. Niestety, u Antka wszystko poszło w siłę, zostawiając mało miejsca dla rozumu, toteż po krótkim czasie wrócił do stajni fornalskiej, a na jego miejsce przyszedł świetny stangret, milczący i siedzący stylowo na koźle Józef Olejnik, syn stangreta z sąsiedniego majątku Dębe, znanego z hodowli koni.

Do arystokracji podwórzowej należeli oczywiście majstrowie, a wśród nich wyróżniał się stary kowal kamieński nazwiskiem Kujawski. Był to doskonały rzemieślnik i me-

20

chanik, a przy tym specjalista od kucia koni. W razie potrzeby potrafił być też dentystą i obcęgami lub palcami wyrywać bolące zęby. Wiele zębów wyrwał i wiele szczęk nadwyrężył, tego nie wiem, ale często widywałem tego lub innego ze spuchniętym niczym bania policzkiem.

Początkowo przejmowałem się tym i pytałem włodarza co się stało z jakimś Janem, Józefem lub Marcinem. Odpowiedź otrzymywałem zwykle jedną:

- Ade proszę jaśnie pana, to on miał ból i Kujawski to mu ino ząb wyrwał.

Mechanikiem był Szymon Mikołajczyk, ożeniony z dawną mamką mojej żony. Zwykł był wychodzić co rano z torbą napełnioną narzędziami na obchód nieczynnej kolejki, którą dawniej zwożono buraki z pól, a teraz okazała się zbyteczna. Czy coś tam robił, czy spał? Trudno było dociec. Poza tym miał doskonale wyposażony warsztat ślusarski. Co tam robił w swoim warsztacie, również nie mogłem rozeznaczyć, bo szybko stwierdziłem, że nie potrafił wykonać żadnej roboty i narzędzia rolnicze naprawiał kowal. Zwykle jednak, gdy jechaliśmy do Kalisza, stangret miał przy sobie jakąś butlę i na zapytanie o nią odpowiadał: -Ade proszę jaśnie pana, to Mikołajczyk prosił, aby przywieźć „zalczaueru” - w czym domyślałem się kwasu solnego.

W parę lat po objęciu Kamienia „zlikwidowałem” tak Mikołajczyka, jak i jego warsztat przylegający do stajni fornalskiej i będący głównym siedliskiem szczurów.

W dawnym zborze ariańskim stojącym koło dworu mieściła się elektrownia, a więc motor i wielka akumulatornia. Elektrownię prowadził Teodor, a raczej Heliodor o arystokratycznym nazwisku Raczyński. Pojawił się w Kamieniu w czasie wojny, gdy Niemcy palili Kalisz, a przerażona ludność uciekała z miasta i tu znalazł przytułek.

Był to skończony leń, ale nie można mu było odmówić pewnych zdolności, gdyż jako tako dawał sobie radę z elektrownią i za jego czasów nie było poważniejszych remontów.

21

W elektrowni panował jednak niesamowity chaos i nieporządek. Miałem wrażenie, że Teodor nie wszystkie klepki miał w porządku, a w sprawach społecznych podszyty był komunizmem. Udało mi się go pozbyć dopiero po kilku latach, gdy stał się już całkiem niemożliwy.

W hierarchii służby dworskiej następny szczebel zajmowali fornale. Każdy fornał miał swoją czwórkę koni, za którą odpowiadał i każdy z nich starał się wykazać zewnętrznym wyglądem swojej czwórki. Była to ambicja, którą bardzo szanowałem i przez palce patrzyłem na podkradanie obroku dla zwiększenia porcji dla swoich koni. Osobiście miałem sentyment do fornali i ceniłem dobrego fornala na wagę złota. Niestety, nie zawsze miałem do nich nosa i nie wszyscy, których mi polecono stawiali na wysokości zadania. Jednego zdegradowałem na stróża nocnego, innego musiałem się pozbyć, bo głupotą przewyższał nawet Antka Józefiaka.

Pracownicy fizyczni rekrutowali się przeważnie z sezonowych robotników, którzy zajeżdżali do Kamienia w początkach kwietnia, a opuszczali Kamień zwykle w końcu października.

Przyjmowanie robotników sezonowych należało do włodarza i zależało od jego „widzimi się”.

Włodarz był odpowiedzialny za wykonanie robót, więc słusznie, że dawano mu wolną rękę w doborze sezonowych. Włodarz także wybierał przodownice i przodownika.

Wśród sezonowych mężczyzn zawsze znajdowało się kilku, którzy poza robotami polnymi znali się dosłownie na wszystkim. Czy to trzeba było wykopać studnię, czy wykonać jakieś trudne roboty ziemne, to zawsze miałem pod ręką ludzi, którzy z narażeniem zdrowia często dokonywali rzeczy na pozór niewykonalnych, jak wyciągnięcie ugrzęźniętego w rozmokłej ziemi wozu. Wśród nich byli także specjaliści od danych problemów.

- Ade proszę jaśnie pana, to ino Piorunowski cheba da rade - mówiło się w takich przypadkach.

Niepowszednim specjalistą od zatkanych gdzieś w polu rur drenarskich był Majda. Szanowałem go za to, ale były

22

z nim inne problemy. Majda miał dziwne upodobanie do gruszy stojącej samotnie, na skraju pola, w pobliżu ogrodu. Lubił „podumać” pod tą gruszą, nie bacząc, że nieopodal stały ubikacje, świeżo zbudowane zgodnie z zarządzeniami starostwa, które z biegiem czasu nazwano „sławoj-kami” Pewnego wieczoru sam zauważyłem podejrzane ruchy koło tej gruszy i w świetle księżyca coś wyraźnie zabielało. Wystrzeliłem ostrzegawczo kilka naboju, po czym usłyszałem: -Ade niech jaśnie pan nie strzela, to ino ja, to Majda.

Ponieważ nawet tak drastyczne ostrzeżenie nie mogło oduczyć Majdy od dumania pod gruszą, po naradach z włodarzem Dziubkiem i kowalem Kujawskim doszliśmy do przekonania, że jedynym wyjściem jest ścięcie gruszy. Od tego czasu Majda przeniósł swoje chwile rozmyślania w jakieś inne, oddalone od dworu miejsce.

W Kamieniu zastałem także znaczną ilość emerytów, których część należała jakby do inwentarza stałego dóbr Kamień. Za dodatkowe wynagrodzenie rąbali drzewo do kuchni, dbali o dostarczanie wody na herbatę ze źródlanej studni z Dzieciola, co było tradycją, lub spali sobie smacznie na ławeczce pod kuchnią jako dodatkowi stróże nocni.

W Kamieniu zatrudnionych było około 60 robotników sezonowych, 10 fornali, 4 stałych pracowników fizycznych, 4 majstrów, dwóch gajowych, dwóch stróży nocnych. Poza tym w razie potrzeby korzystałem z tak zwanej dniówki, zatrudniając rodziny fornali lub małorolnych z okolicznych wsi.

Wydajność pracy w Kaliskiem trzykrotnie przewyższała wydajność naszych flegmatycznych i

powolnych Litwinów. Zastanawiało mnie to tym bardziej, że robotnik, szczególnie sezonowy, odżywał się znacznie gorzej niż u nas na świętej Żmudzi, gdzie codziennie na obiad parobek musiał mieć mięso, bliny z mąki grochowej, suto zabelany krupnik i okraszona botwinę, w której pływały grube kawały słoniny.

Pracownicy Kamienia mieli swoje wady, bo któż z nas

23

ich nie ma, ale w gruncie rzeczy byli to doskonali pracownicy i ludzie zacni, oddani swojemu pracodawcy i w chwilach krytycznych można było na nich polegać. Tych ludzi wspominam z miłością i sentymentem.

Sąsiednia wieś Kamień oddzielona była od dworu szosą i wąskim pasem zabudowań folwarcznych. Składała się ona z kilkunastu pełnorolnych gospodarstw. Chłopi byli zamożni, bowiem przy likwidacji serwitutów zostali przez mojego teścia obdzieleni hojnie gruntem.

Wieś była zabudowana porządnie, zagrody chłopskie otoczone były sadami, obszerne izby miały wielkie okna, budynki gospodarskie w większości murowane. Na początku wsi mieścił się urząd gminny, nieco dalej szkoła elementarna, wreszcie na wielkim placu nad stawem, na gruntach ofiarowanych przez mojego teścia, mieściła się ochotnicza straż pożarna. W gruncie rzeczy dwór był dobroczyńcą wsi. Za czasów rosyjskich było już w Kamieniu kółko rolnicze, była straż ogniowa, była wreszcie tajna szkółka, w której uczono nie tylko pisać i czytać, ale także historii i geografii. Szkołą opiekowała się moja teściowa, mając do pomocy freblówkę opłacaną oczywiście przez dwór.

Mimo to stosunek wsi do dworu nie był ani przyjazny, ani sąsiedzki. Długie lata administracji rosyjskiej i działalność komisarzy ziemskich, których głównym zadaniem było poróżnienie wsi z dworem, na pewno pozostawiło osad niechęci u chłopów kaliskich.

Jednakże i w tym ludzie było coś niesympatycznego, a dominującą cechą chłopów kaliskich była przebiegłość i fałsz; może demoralizująco wpłynął na to charakter pogranicza z szeroko rozpowszechnionym przemytnictwem, a co za tym idzie pijaństwem i oszustwem.

Lud tutejszy był nie tylko zdemoralizowany, ale i zdegenerowany, brzydki, karłowaty, skłonny do bójek, kradzieży i nożownictwa. Nie było w nim nic z kmiecia polskiego.

Mimo to lud ten przy wszystkich swoich wadach miał

24

w głębi duszy niemało cech dodatnich. Niestety, rządy odrodzonej Polski nie tylko nie przyczyniały się do podniesienia poziomu moralnego i kulturalnego chłopów kaliskich, ale wręcz przeciwnie - patrzyły przez palce na demagogię, bezbożnictwo szerzone wśród ludu przez liczne zastępy półinteligentów, operujących w tak zwanym terenie na polecenie partii chłopskiej czy Wyzwolenia. Bezcelność tych agitatorów partyjnych, którzy niczym wszy oblażyli chłopów polskiego, przechodziła wszelkie granice. Często były to kanalie, wobec których rosyjski komisarz ziemski wydawał się człowiekiem nieposzlakowanym.

Gdy jesienią 1922 roku osiadłem w Kamieniu, trafiłem na okres szczególnego rozpanoszenia się demagogii i ka-dzichłóstwa, na okres różnych karkołomnych eksperymentów społecznych i wyraźnej agitacji komunistycznej. Często słyszałem, i to nawet od bogatych gospodarzy, że chłop polski czeka na bolszewików jak na zbawienie.

Przyzwyczajonemu do przyjacielskich stosunków na Litwie, gdzie chłop był prawdziwym sąsiadem i miał wrodzone poczucie godności osobistej, pierwsze zetknięcie z nowymi sąsiadami nie zostawiło na mnie dobrego wrażenia. Tutaj we wzajemnych stosunkach panował fałsz. Chłop, gdy miał interes, kłaniał się w nogi i upokarzał, natomiast przed kościołem uważałby za dyshonor przywitać się z dziedzicem lub uchylić czapki. Wyniesiona z Litwy naturalna poufałość z chłopem, w warunkach Kongresówki była nie na miejscu, byłaby poczytywana za słabość lub „kadzichłóstwo”. Musiałem więc obrać inne metody obcowania z miejscową ludnością i od początku podkreślić, że nie pozwolę przekroczyć pewnych granic, co dało dobre rezultaty.

W samej wsi zauważyłem też daleko idący podział społeczny. Wielkorolny gospodarz uważałby sobie za ujmę zadawać się z małorolnym lub fornałem dworskim.

Wśród gospodarzy wyróżniały się tak wyrobieniem, jak i rzeczowym podejściem oraz uprzejmością

dawno zasiedziały we wsi rodziny chłopskie i z nimi dosyć szybko do-
25

szedłem do porozumienia. Plagą natomiast była powiększająca się liczba małorolnych, powstała z parcelacji sąsiedniego majątku Zborowa. Nie można było się obronić od szkód i kradzieży, wypasania zasiewów, wykradania snopów z pola, czy ziemniaków z kopców, a do tego dochodziło jeszcze kłusownictwo. Trzymałem uzbrojoną służbę leśną, która ujrawszy złodzieja, nie czekając strzelała nabojami nabitymi grubym kalibrem śrutu. Raniony kłusownik czy złodziej polowy nigdy nie przyznawał się gdzie i przez kogo był raniony, ale nauczka skutkowałą. Oddawanie spraw do sądu było ze względu na atmosferę polityczną chybione, gdyż sądy z zasady uniewinniały złodziei, przyczyniając się tym samym do coraz większej demoralizacji.

Taki był skutek rywalizacji partii chłopskich o głosy wyborców. We wsiach potworzyły się pod auspicjami płynącymi ze stolicy związki młodzieży wiejskiej patronowane przez partię chłopską, Wyzwolenie, Wici, a potem nie lepsze Związki Strzeleckie, których bezkarność przechodziła wszelkie granice. W czasie nabożeństwa nieraz grupy wyrostków wiejskich hałasowały przed kościołem, śpiewając nieprzyzwoite piosenki ku utrapieniu duchowieństwa.

Lepsza część włościaństwa, do którego należało przeważnie starsze pokolenie, nie miała żadnego autorytetu, a często obawiała się o własną skórę, jednak poznałem kilku gospodarzy orientujących się w rozkładowym wpływie partii chłopskich.

Rej wśród agitatorów wodził Kałużny, młynarz z Kamienia, właściciel paromorgowego gospodarstwa i wiatraka, urodzony demagog i komunista. Dzięki swojej wyszczekanej gębie został wybrany na członka Sejmu Kaliskiego. Starostowie obawiali się go, bo miał „plecy” wśród posłów z Wyzwolenia, dzięki czemu jego różne bolszewickie występy uchodziły mu bezkarnie. Okazało się jednak, że jak każdy komunista, Kałużny lubił sobie pożyć i ten trybun oraz obrońca ludu dobrze sobie poczynał w Kaliszu, gdzie nieraz widziano go w towarzystwie dziwek z półświatka, jak
26

buszował w gabinetach różnych drugorzędnych restauracji. Wkrótce przyłapano go na poważnej defraudacji. Dzięki jego wszechmożnym stosunkom administracja powiatowa otrzymała z województwa polecenie zatuszowania sprawy, a Kałużny nadal zajmował się wygłaszaniem demagogicznych haseł.

W okresie wyborczym do drugiego Sejmu poszedłem przez ciekawość na zebranie w straży ogniowej, gdzie miałem możliwość wysłuchać przemówienia Kałużnego.

Sala była przepelniona ludźmi, powietrze ciemne od dymu papierosów i gęste od „ducha zebranych”. Na stole stał Kałużny.

- Chłopy, słuchajta - wołał. - Trzeba ino choć raz skończyć z obszarnikami. Wiecie, chłopy, że dziedziczka z Kamienia zaprowadziła wszędzie lektryczność i u siebie we dworze, i u fernali w czworakach. A bez co? Bez te krew i pot ludu pracującego.

- Dobrze gada - ozwały się głosy z sali.

- Obszarniki chcą przekopać rzekę Swędrnie - krzyczał dalej - i chcą po Swędrni puszczać parostatki. A bez co? Bez naszą krzywdę i bide, bez ten kunkordat, co obszarniki i księża na naszą zgubę zaprzysięgli... Słuchajta, chłopy, nie dajta sie, ja wam to mówię... Ja wam, chłopy, powiadam: nie dajta sie.

Po wysłuchaniu tej rozumnej i pięknej mowy „zwiąłem” dyskretnie.

Na zawianej szosie

Niczym po zawianej szosie biegło teraz moje życie w Kamieniu, w nieuniknionym kontakcie z administracją państwową, z miastem, gdzie skupiały się interesy, pomiędzy wojskiem i duchowieństwem i na kontaktach towarzyskich z sąsiednimi ziemianami. W tej różnorodności charakterów i spraw raz wszystko szło gładko niczym jazda po lśniącym asfalcie, by po chwili wpaść w zasy i mozolnie się z nich wygrzebywać.

Za czasów rosyjskich Kaliskie rozciągało się na wszystkie powiaty wchodzące w obręb guberni.

Kalisz był stolicą całego obszaru; tu mieścił się zarząd guberni, tu był sąd okręgowy, tu znajdowała się hipoteka, tu była dyrekcja Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, tu rezydowali gubernatorzy, z których ostatnim był radca tajny i szambe-lan dworu Daragan, jak na urzędnika rosyjskiego

człowiek przyzwoity i uczciwy.

Dopiero po objęciu rządów przez administrację polską skończyła się regionalność kaliska.

Lewicujące rządy, przesiąknięte demagogią dążyły celowo do zniszczenia wszelkiej regionalności i bez innego powodu przyczepiły te typowo rolnicze powiaty do nowo utworzonego województwa łódzkiego.

Z tego nowego stanu nie wyszło nic dobrego. Łódź i okolice nie miały nic wspólnego z powiatami rolniczymi dawnej guberni kaliskiej, przez co wytworzyła się jakaś parodia administracyjna. Cel polityczny został jednak osią-

28

gnięty. Zmniejszono znaczenie ziemiaństwa, rozwadniając znacznie „obszarnictwo” przez dodatek wielkiej ilości proletariatu miejskiego. Dzięki tej kombinacji nowe województwo dostarczyło do Sejmu znaczną ilość posłów o poglądach lewicowych, bowiem ziemiaństwo, jak i ludność wiejska, była zmajoryzowana w kotle wyborczym przez komu-nizujące elementa.

Dopiero w latach 1936-37 władze zorientowały się w całej bezsensowności owego podziału i powiaty kaliskie przyłączono do województwa poznańskiego, co było słusznym tak z administracyjnego, jak i z historycznego punktu widzenia.

Nie było w Kaliskiem wielkich latyfundiów. Były to przeważnie średnie majątki gospodarzone bezpośrednio przez samych właścicieli. Ziemiaństwo nie było jednak jednolite. Dało się zauważyć daleko idącą różnicę pomiędzy starym a nowym pokoleniem. Stare pokolenie, zwane przedwojennym, miało więcej cech regionalnych, było to pokolenie ludzi solidnych, praktycznych, o znacznej ogładzie towarzyskiej. Natomiast młode pokolenie po prostu było nie dochowane.

Wojna zaskoczyła tę młodzież w czasie nauki w szkołach średnich czy na uniwersytetach. Jedni poszli do wojska, inni musieli zaniechać studiów, wreszcie nadszedł rok wojny z bolszewikami i prawie wszyscy wstąpili do armii.

Osobną grupę ziemiaństwa kaliskiego stanowili spolszczeni Niemcy. Rzecz warta uwagi, że w okresie okupacji, poza nielicznymi wyjątkami, nie skorzystali z prawa wpisania się na listę Volksdeutschow, a kilku z nich zostało przez gestapo rozstrzelanych.

Rej wśród ziemiaństwa wodził pan Konstanty Murzy-nowski, człowiek stateczny, gospodarny, rozważny w słowie i w interesach, a przy tym miły kompan, świetny brydżysta, dobry myśliwy i gościnnie a serdeczny sąsiad.

Los był raczej przychylny dla pana Konstantego. Mieszkał w starym zamczku otoczonym fosą. Schedę miał pięknie położoną. Miał kochającą, przemiłą żonę panią Usię i

29

dwóch synów równie jak on pierwszorzędnym myśliwym i brydżystów. Będąc w interesach rozważny, długów nie miał, a przeciwnie - zapewne niejednym dziesiątkiem tysięcy złotych leżał na jego kontach bankowych i sporo dolarów przechowywanych w domu „na wszelki wypadek”.

Kiedy go poznałem i zaprzyjaźniłem się z nim, pan Konstanty był już mężem w sile wieku, nieco przytyłym i ociężałym, ale mimo to czynnym. Pani Usia miała już kształty typowej czterdziestoletniej ziemianki, za młodu zapewne niepośledniej urody.

Cała rodzina grała świetnie w brydża. Grali tu wszyscy. Starsi państwo i goście w sali bawialnej i gabinecie pana domu, słabsze partie w niewielkim saloniku, młodzież zaś, za wyjątkiem chyba nowo narodzonych, „rznąła” w karciecia w pokojach dzieciennych.

Los tak zdarzył, że nawet miejscowy proboszcz przekładał zabawę przy zielonym stoliku ponad wszystkie rozkosze ziemskie, a organista był mistrzem w „sześćdziesiąt sześć” i w „podrzucanego durnia”. W parafii wiedziano gdzie w nagłych wypadkach należy ich poszukiwać i jak w dym jechano do Kalinowej.

O samym dworze w Kalinowej krążyły różne opowieści i one to posłużyły Stanisławowi Moniuszce jako wątek, na którym skomponował operę „Straszny dwór”.

Obok pana Murzynowskiego mieszkał w niedalekich Kobylnikach pan Andrzej Potworowski zwany „Potworem”. Pan Andrzej był nie tylko jedną z najlepszych „strzelb” w Polsce - także w rolnictwie był podobnym wirtuozem jak Paderewski w muzyce i „potrafił z piasku bicz ukreślić”. Ożeniony był z Marią Wyganowską, wysoką, szczupłą, raczej nieładną, ale o świetnej postawie i „dobrej minie”

panną z zamożnej ziemiańskiej rodziny, mającej już nieco pretensji do „półtora szlachcica”. W sąsiedztwie Potworowskich gospodarował pan Lucjan Rubach, znany ze swojej oszczędności i wyrachowania, dzięki którym jakoś co rok dokupował kamienie w

30

Kaliszu. Nabywszy samochód, bardzo przestrzegał, aby szofer nie jechał z górki na gazie.

- Panie, panie, teraz „powietrzem” - zwykł był przestrzegać swojego szofera.

Czym byłyby ochotnicze straże pożarne województwa łódzkiego, gdyby nie prezes wojewódzki pan Mniewski, również z naszych okolic. Był to olbrzymi grubas, „serce nie człowiek”, przybrany zwykle w nieco zbyt ciasny mundur strażacki. Miał on folwark, który „gospodarzył się sam”, bez pomocy właściciela zajętego przeważnie zebraniem różnych rad ogniowych, zalewanych zwykle obficie spirytusem w części nieoficjalnej.

Pan prezes Mniewski, mam wrażenie, spełniał pod tym względem sumiennie swoje ciężkie obowiązki i mógł służyć przykładem, jak dzielny strażak Rzeczypospolitej ma się zachować nie tylko w ogniu, ale i przy kieliszku.

W tej samej okolicy zamieszkiwał pan Milkę. Miał on ładny niewielki majątek i był znanym koniarzem. Nie zdarzyło mi się jednak spotkać z nim na trzeźwo i nie wiem jak wyglądał będąc trzeźwym.

Całe to pomniejsze bractwo utrzymywało przeważnie stosunki pomiędzy sobą i trzymało się z daleka od „elity” kaliskiej. Do elity należeli Niemojowscy, których majątek Marchwacz od wielu pokoleń należał do ich rodziny. Z Marchwacza wyszli posłowie na Sejm bracia Niemojowscy, wyszedł generał Niemojowski. Ostatnim panem na Marchwaczu był pan Waław Niemojowski, były marszałek koronny Rady Stanu i od tego czasu tytułowany powszechnie marszałkiem. Marszałek był typowym przedstawicielem tej sfery ziemiańskiej, która chociaż nie tytułowana, zaliczała siebie już do arystokracji. Ożeniony był z przemiłą Zofią z hr. Szembeków, osobą wyjątkowo wykształconą i o niepowszedniej inteligencji. Za jej życia zawsze można było spotkać w Marchwaczu ludzi ciekawych, cudzoziemców, dyplomatów, ludzi pióra lub sztuki. Mieszkali marszałkostwo w pięknym dworze przerobionym na

31

patac, położonym na skraju obszernego, a ładnie urządzonego, starego parku. Dom był pełen dzieł sztuki, ładnych mebli, obrazów, brązów, portretów rodzinnych. Dwóch starych kamerdynerów, ubranych w liberie koloru piaskowego, usługiwało do stołu. Jedzenie było świetne, a oboje marszałkostwo ludźmi nad wyraz gościnnymi, mimo że marszałek nosił się dość z wysoka. Był to raczej egoista, o twarzy zakończonej spiczastą bródką, przypominający fauna, ale i o poprawnych manierach towarzyskich. Społecznie mało się udzielał, a będąc bardzo oględny w interesach, nie należał nawet do Związku Ziemiaków z powodu, jego zdaniem, zbyt wygórowanych składek. Niedaleko od Marchwacza leżały dwa dwory, z którymi również utrzymywaliśmy miłe, sąsiedzkie stosunki. Były to Rożdżały należące do państwa Suskich, bliskich krewnych mojej żony, i Tłokinia należąca do pana Ignacego Chry-stowskiego.

Pan Ignacy ukończył rolnictwo na Uniwersytecie Jagiellońskim i był doskonałym rolnikiem. Niestety, był również zagorzałym endekiem, wielbicielem Dmowskiego i ruchliwym, a bezkompromisowym działaczem Stronnictwa Narodowego. Z ramienia tegoż stronnictwa był wybrany na posła do drugiego Sejmu. Pan Ignacy z powodu swego nieprzejednanego charakteru bywał często narażony na przykrości ze strony administracji państwowej, szczególnie w okresie rozpanoszenia się BBWR. Ta jego polityczna nie-ugiętość doprowadziła wreszcie do wycofania się przez niego ze Związku Ziemiaków, któremu zarzucał oportunizm względem władz administracyjnych i sanacji.

W Tłokini panował ład i porządek. Państwo Chrystow-scy mieszkali w pałacyku wybudowanym na miejsce starego dworu i urządzonego z wielkim gustem.

Być może z powodu daleko posuniętego pedantyzmu Tłokinia mimo gościnności gospodarzy i doskonałej kuchni nie była sąsiedztwem „na co dzień”. Trzeba było być zaproszonym albo zawczasu oznajmić gospodarzom o swoim przyjeździe. Dom mimo starannego urządzenia był nie-

32

co sztywny: wszystko było starannie ułożone na tym samym miejscu, nie znalazło się tam ani ździebka kurzu. Służący, ubrany zawsze w granatową, odprasowaną libe-i ie, dopełniał solennej atmosfery wszystkich przyjęć w I tokini.

Przeciwnieństwem Tłokini był Majków, majątek innego posła, a mojego przyjaciela, pana Feliksa Karśnickiego. /nany był w całym Kaliskiem, jak i w Warszawie, pod imieniem Felek. Był osobą niezwykle popularną i przebywanie / Felkiem przy stoliku restauracyjnym sam na sam było niemożliwością. Po kilkunastu minutach, niby rój pszczoł koło królowej matki, roiło się od znajomych i przyjaciół. Niczym w domino trzeba było dostawiać czasem jeden, czasem dwa, a nawet trzy stoliki ku utrapieniu kelnerów. Przemily kompan, beztroski i trochę lekkomyślny, miał Felek dwie pasje: wojsko i pracę społeczną. Nie było roku, by nie wyjeżdżał na ćwiczenia jako porucznik rezerwy kawalerii, odznaczony Virtuti Militari, był prezesem Związku Oficerów Rezerwy i Pogotowia Konnego. W pracy społecznej był prezesem tylu instytucji, że trudno się było ich doliczyć. Był prezesem Kaliskiej Ochotniczej Straży Ogniowej, na którąłożył znaczne pieniądze, członkiem Rady Powiatowej, prezesem Powiatowej Rady Szkolnej, członkiem zarządu Związku Ziemian i Okręgowego Towarzystwa Rolniczego. Miał wszędzie przyjaciół, ze wszystkimi był „na ty”, a nie gardził przy tym bynajmniej kieliszkiem. Po każdym mniejszym czy większym pożarze cały zespół strażaków zbierał się pod przewodnictwem Felka w najbliższej restauracji, by tam razem „zalać robaka”.

Oczywiście cierpiało na tym gospodarstwo, którym Felek mało się interesował, tak że pod koniec ratował się odsprzedawaniem terenów graniczących z miastem pod nową zabudowę. Oboje z żoną byli ludźmi niewyczerpanej dobroci i świadczyli wiele.

Pod względem politycznym Felek skłaniał się raczej ku oportunistom względem panujących kierunków. Był pił-sudczykiem, potem czynnym członkiem BBWR, wreszcie

3 -Requiem...

33

OZON-u, z którego ramienia został wybrany posłem do dwóch sejmów.

Z siostrą Felka, piękną Marylą Karśnicką, był ożeniony przystojny, rosły Józef Bronikowski gospodarujący w majątku Szczypiorno. Był on dobrym gospodarzem, przyjmował żywy udział w życiu społeczno-ziemiańskim, nosił się poważnie, był oczywiście zawziętym brydżystą i dobrym strzelcem.

Jego brat Leon posiadający majątek Żegocin był towarzyską ozdobą okolicy. Małego wzrostu, w miarę już zaokrąglony, w miarę już łysawy, patrzył na świat z niekłamana wyższością. Na jego ogolonej lub nieogolonej twarzy (Leonek uważał za uszczerbek swojej godności golenie się samemu; od tego był fryzjer pan Cichy w Kaliszu) igrał zawsze pogardliwy uśmiech lub pogardliwe skrzywienie na wszystko, co nie było Żegocinem. Prześiąknięty był jaśniepaństwem i swoją wielkością. Lubił nadymać się wobec władz, za co był znieawidzony przez wszystkich urzędników.

Leonek był bardzo towarzyski. Posiadał aż dwa fraki. W zależności od przewidywanego poziomu zabawy wkładał albo frak zwyczajny, albo frak z kołnierzem aksamitnym. Kołnierz aksamitny wskazywał, że według Leonka zabawa będzie szampańska.

Był celnym myśliwym. Zjawiał się na polowaniu ze swoim totumfackim strzelcem, który również był przesiąknięty wielkością swojego jaśnie pana i postrachem wszystkich pań domu. Zazwyczaj nie opinia myśliwych o dobrej kuchni była miarodajna, ale kaprysy strzelców i szoferów, którym trudno było dogodzić. A prym wśród tych krytyków trzymał strzelec Leonka, który innym strzelcom opowiadał niestworzone rzeczy o tym, czym jest jego pan i jakim pięknym majątkiem jest Żegocin.

- Mój pan to taki wielki pan, że on sam zębów nie myje, ino jemu służący pomaga ze szczoteczką - wyjaśniał kiedyś mojemu gajowemu.

Nie wszyscy mieli talenta towarzyskie jak Leonek. Jego

34

najbliższy sąsiad Sewer Chrzanowski, dobry gospodarz o trzeźwym umyśle nie przyćmionym żadnymi naukami, był postrachem wszystkich pań, gdyż zabawiał je głównie swoim śmiechem,

mając trudności z wyszukaniem tematu rozmowy.

- Cha, cha, cha, panno Zosiu (lub pani Ziuto) - w tym zawarte było wszystko, co miał danej pani do powiedzenia.

Byli również ziemianie, którzy w ogóle nie brali udziału w życiu towarzyskim. Tacy byli dwaj bracia Urbanowscy, starzy kawalerowie, zamieszkujący zabity od świata majątek Kuszyn. Jaki był tryb życia tych panów, czym byli zajęci, o czym myśleli, co czytali, czym się interesowali, było dla mnie tajemnicą. Siedzieli niczym żółwie w skorupie w swoim Kuszynie. Po wybuchu wojny, dopiero w miesiąc po jej ogłoszeniu, zjawił się w Kamieniu starszy z Urbanow-skich, aby się dowiedzieć od mojego teścia „czy to prawda, że jest wojna, bo Żydki o tym mówią”.

Do mniej sympatycznych typów najmłodszego pokolenia ziemian, którzy objęli majątki, należał pan Maciej Chełkowski. Po ojcu otrzymał znaczną posiadłość Borków o dobrej, buraczanej glebie. Ojca stracił wcześniej, wychowany był przez matkę, po której odziedziczył gospodarność i oszczędność, niestety, przechodzącą w skąpstwo. Po ukończeniu szkół studiował gdzieś za granicą, ale dyplomu nie posiadał.

Pan Maciej był pracowity i objąwszy majątek gospodarował dobrze i byłby szanowany, gdyby nie skąpstwo i jego stosunek do służby, oraz pracowników folwarcznych, u których nie miał miru.

Główną zaś jego wadą był nie mający granic snobizm. Imponowała mu zagranica i wszystko, co stamtąd pochodzi. Na pewien czas wyjechał do swojego przyjaciela Zabłockiego, pracującego w poselstwie polskim w Holandii i tam ożenił się z Holenderką, osobą starszą od siebie, brzydką, ale nie mniejszą snobką. Była ona córką wyższego urzędnika holenderskiej służby kolonialnej i urodziła się na wyspie Jawa.

35

I

Całe Kaliskie oczekiwało pojawienia się tej nowej, egzotycznej sąsiadki, a Żydki przewidywały, że „młoda pani, ta Holenderka, to una przywiezie z sobą cały wagon krów holenderskich”.

Oczekiwane krowy nie pojawiły się, natomiast pojawiła się sama pani Chełkowska, będąca jakąś dziwną mieszaniną ras i krwi, jakby powstała z egzotycznego skojarzenia banana z papugą.

Przywiozła z sobą kolekcję oryginalnych ozdób, które można było uczepić do uszu, nosa lub na wargę.

Młodzi prowadzili dom otwarty, a złożony wizyty u sąsiadów, urządzali u siebie przyjęcia, na których podawano różne przekąski i potrawy indonezyjsko-holenderskie.

Wszystko było przygotowane porządnie, służba w liberii, dobre jedzenie i dobrze odmierzone, ale wcale niezłe picie. Jadąc jednak do Borkowa, trzeba było dobrze zaopatrzyć stangreta lub szofera, bo zasadniczo służba gości trzymana była prawie na suchym chlebie.

W Borkowie zaroilo się od przyjezdnych Holendrów, pojawili się młodszy rangą dyplomaci, a coraz mniej bywało tam ziemian skonfundowanych toastami za zdrowie Hitlera, jakie pani domu zaczęła wznosić w latach trzydziestych.

Najbliżsi sąsiedzi, których pola graniczyły z polami kamieńskimi, również nie wydawali mi się sympatyczni. Na pięknym, urodzajnym Zborowie siedział pan Józef Garczyński. Był to barczysty, czerwony na twarzy osiłek, faworyt swojej matki, która zwykle chwaliła się, że „mój Józek jako chłopak to wypijał 8 litrów mleka dziennie”.

Toteż ulubieniec mamusi wyrósł na coś, co wyglądem przypominało dobrze utuczony stadnik i zdaje się wszystko poszło w ciało, a znacznie mniej w głowę. Mimo swojej kolosalnej siły nasz pan Józef podszyty był niespotykanym wśród ziemian tchórzostwem. Gdy wybuchła wojna bolszewicka i cała młodzież ziemiańska wsiadła na koń i ruszyła w pole, pan Józef przedstawił zaświadczenie miejscowej akuszerki o uprawnieniach felczera, że z powo-

36

du nadwątlonego zdrowia dziedzic Zborowa nie nadaje się do wojska. Wywołało to ogólne oburzenie i pan Józef był wydalony ze Związku Ziemian i skazany na bojkot towarzyski.

Jako sąsiad był raczej nieprzyjemny. Granicy od Zborowa trzeba było pilnować i straż leśna Kamienia zawsze miała czujne oko, czy pan Garczyński nie podpoluje rogacza lub nie ściągnie do siebie bażantów. W celu zwabienia naszej zwierzyny na swój teren pan Józef obsiewał na wiosnę

graniczne pola łubinem i podsypywał ziarno. Był to kłusownik, a nie myśliwy.

Drugim, równie nieprzyjemnym, a graniczącym z Kamieniem sąsiadem był niejaki Deutschman.

Pan Deutschman był właścicielem garbarni, na której dorobił się znacznej fortuny, kupił sąsiedni z Kamieniem majątek Biernatki i stał się „panem dziedzicem”.

Był uniżenie grzeczny i już na odległość dziesięciu kroków zdejmował kapelusz. Podkreślał swoją polskość, przez co został przezwany „Polakiewiczem”. Na jego samochodzie powiewała chorągiewka o barwach państwowych, aż do czasu, gdy władze zabroniły mu ją używać jako ustawowo przynależną jedynie osobom oficjalnym.

Z Deutschmanem ziemianie nie utrzymywali stosunków towarzyskich z powodu jego nie zawsze czystych interesów. Nie był też przyjęty do Związku Ziemian.

Deutschman miał częste zatargi z robotnikami, gdyż nie lubił wydawać pieniędzy i jak mógł zwlekał z wypłatą służbie folwarcznej. Jako sąsiad też nie był uczciwy. Jego pasją było strzelanie do kozłów i moja straż leśna musiała dobrze pilnować granicy biernackiej, bo lubił zapuszczać się po kryjomu na tereny łowieckie sąsiadów. U siebie miał pierwszorzędną zwierzostan, a szczególnie pod względem bażantów Biernatki zajmowały jedno z czołowych miejsc w Kaliskiem. Nikt z prawdziwych myśliwych i ziemian kaliskich nie brał udziału w polowaniach u niego, natomiast do Biernatek zjeżdżali się goście z Warszawy w osobach różnych dygnitarzy, ku niemałemu zdziwieniu tak ziemian,

37

jak i ludności miejscowej. Stałymi gośćmi na polowaniach u pana Deutschmana byli: marszałek Polski Rydz-Śmigły, marszałek Senatu płk Miedziński, b. minister sprawiedliwości p. Michałowski, dyrektor Banku Rolnego p. Janu-szewski, dyrektor Banku Gospodarstwa Krajowego p. Stamerowski i przyjaciel osobisty marszałka Śmigłego p. Sułowski. Słowem - elita rządów sanacyjnych.

Kalisz był miastem regionalnym. Miał swoje tradycje, swoje zasiedziałe firmy i swój rozwinięty przemysł: ze sławnymi fabrykami sukna Braci Rephanów, ze znaną fabryką fortepianów Fibigera; były pluszownie i wielkie młyny, które przerabiały ogromne ilości zboża. Do wojny przemysł ten zaopatrywał Rosję aż do Dalekiego Wschodu, jak również sąsiednie Niemcy. Po wojnie zmieniło się wiele, pożar miasta i nowe warunki zrobiły swoje. Z dawnego kupiectwa kaliskiego pozostała zaledwie nieznaczna część. Fabryki sukna przestały egzystować. Dawny olbrzymi rynek rosyjski odpadł, a Polska była zbyt biedna na wchłonięcie całej produkcji i nie zdołała jeszcze stworzyć dla swojego przemysłu zbytu w innych krajach. Mimo wszystko panowały w tym mieście nadal stosunki patriarchalne. Wszyscy się tu znali, wszystko było ustalone i ujęte w tradycje, zaczęwszy od sklepów, a skończywszy na restauracjach.

Zgrzytem był jedynie okres walki z kupiectwem staroza-konnym, okres tak zwanego „odżydzenia polskiego handlu”. Ruch ten, płynący głównie z Małopolski, wyglądał dosyć groteskowo. Nawet najbardziej zagorzali endecy, głoszący hasła „swój do swego” po kryjomu, tylnym wejściem docierali do kupców żydowskich. Tak, że nadal młyny, jak i handel końmi, produktami rolniczymi i rybami był przeważnie w rękach hurtowników izraelskich. Starozakon-ni posiadali z dawna zadzierzgnięte stosunki z nabywcami niemieckimi, posiadali wreszcie gotówkę i wydaje się, że całą kasę i buchalterię mieli w swojej kieszeni. Dzięki temu interesy ich nie były obciążone płatnym personelem,

38

a urzędy skarbowe nie zawsze potrafiły wyśledzić wysokość prawdziwego dochodu.

Rozumiałem konieczność przełamania monopolu żydowskiego w handlu, gdyż żydowscy przywódcy sami ziali nienawiścią do Polaków, szerzyli niechęć do katolików i sprzeciwiali się asymilacji swoich ziomków w polskim otoczeniu, stwarzając ekonomiczne niebezpieczeństwo dla państwa, w którym obcy i wrogi element dążył, by „wasze były ulice, a nasze kamienice”. Sytuacja jednak była paradoksalna; firmy polskie ofiarowywały zwykle niższą cenę, a potem przeważnie same odsprzedawały nabyty u rolnika katolika towar w ręce żydowskie. Słowem, był to swojego rodzaju kosztowny podatek płacony na rzecz patriotyzmu, a nie dający żadnego pożytku. Ponadto rozrachunki z firmami polskimi następowały dopiero po czasie i nieraz naiwny producent ponosił

poważne straty, podczas gdy kupiec izraelita płacił zazwyczaj na miejscu, przy odbiorze towaru. Cenilem również uczciwość kupców żydowskich, którzy byli nie tylko wypłacalni, ale i słowni, a wypadki nierzetelności z ich strony były rzadkie i przesadzone. Ale bywały...

Któregoś dnia zjawił się u mnie jeden z hurtowników kaliskich, młody, obrotny Żyd.

- Psiepraszam, pan dziedzic ma kapustę na sprzedaż?

- zapytał.

- Mam - odrzekłem. Miałem kilka morgów pierwszorzędnej kapusty o twardych jak kamień główkach, z której byłem bardzo dumny.

Poszliśmy w pole. Na widok pięknej kapusty memu kupcowi zabłysły oczy.

- Psiepraszam, pan dziedzic, a co to za gatunek?

- Przecież pan widzi, że to wyborowy gatunek „Amager”

- wyjaśniłem szorstko.

- Pan dziedzic, „Amager” to un teraz nie ma zbytu. Teraz tylko zbyt... - tu zamyślił się.

- ...na „Apollo”. Ja mogę kupić ten „Amager”, ale ceny nie mogę dać wyższej od...

- Co pan za głupstwa plecie - zdenerwowałem się nie-

39

potrzebnym pójściem w pole. - Przede wszystkim takiego gatunku „Apollo” w ogóle nie ma. Sam pan jesteś Apollo i nie zwracaj mi głowy ze swoim apollo. - Po czym zostawiłem go na polu razem z włodarzem.

Nie doszedłem jednak do kancelarii, gdy dogonił mnie włodarz namawiając, bym sprzedał Żydowi tę kapustę. Przyparty przeze mnie wyjął, że hurtownik obiecał mu sto złotych, jak dojdzie do tej transakcji. Oburzony za demoralizację łapówką moich pracowników kazałem parobkom wziąć Apolla za kołnierz i wyrzucić z majątku.

Po tygodniu Apollo zjawił się ponownie w Kamieniu oświadczając, że „w handlu obraży nie ma” i że nie tylko bierze kapustę po dobrej cenie, ale jest również reflektan-tem na pietruszkę. Od tego czasu moje kontakty handlowe z Apollem weszły w normalny tryb rzeczy.

Najbardziej popularnym hurtownikiem w Kaliskiem był Szymon Wachs, okrągły, ubrany po europejsku starozakon-ny, zwany powszechnie Wachsiem. W stosunku do Wachsia żadne uchwały endeków nie obowiązywały. Gdy trzeba było sprzedać cieleta od słabo mlecznych krów, dzwoniło do Wachsia; gdy zaszły jakieś niespodziewane wypadki w oborze i trzeba było szybko zlikwidować katastrofę, zjawiał się Wachσιο i po obejrzeniu odsyłał zagrożoną sztukę do rzeźni miejskiej; gdy opasy były już dojrzałe, przyjeżdżał Wachσιο i sprawdzwszy, że mają „dobre macanie”, to znaczy dostateczną ilość tłuszczu, podawał swoją cenę, zwykle wyższą od konkurencji i wydobywał z pękatego pugilaesu setki czy tysiące złotych.

Wachσιο porósł w pierze, a przypatrzwszy się, że ziemianki kaliskie mają główki ozdobione butonami, sprezentował swojej Sarze również parę pięknych brylantów. Kiedy mu wieszowano, że jego połowica ma tak cenną ozdobę, z wrodzoną skromnością odpowiadał: - Niech sobie ma i niech sobie nosi.

W Kaliszu było kilka młynów, ale ja zawsze wybierałem młyn należący do braci Kowalskich, izraelitów, pana Mo-ryca i pana Leona.

40

Pan Leon był człowiekiem światowym, jeździł do Zakopanego, gdzie, jak powiadał, uprawiał sport narciarski i stale mnie namawiał, abym mu towarzyszył.

- Panie prezesie - mówił -ja pana koniecznie namawiam na te Zakopane. Tam wiele pierwszorzędnych przyjemności, ładne panie, co można z niemi wieczorem poruszać się w tego fokstrota czy jakiego innego bostona, a we dnie pojeździć z góry na nartach. To bardzo dobra gimnastyka te narty, całe ciało jest w ruchu, szczególnie jak się zjeżdża z góry między drzewami. Trzeba umieć sterować korpusem i wyginać się w lewo czy w prawo - tu pan Leon wstawał zza swojego biurka i wyginał się w obydwie strony.

- Ja pana prędko nauczę, bo wszyscy mówią, że ja jestem pierwszorzędny „narcista”.

Będąc prezesem Związku Ziemian i prezesem zarządu szpitali kaliskich, miałem wiele do czynienia z gminą żydowską i cieszyłem się popularnością wśród izraelitów, gdyż z Litwy wyniosłem

umiejętność czytania i pisania w żargonie. Tę moją popularność wśród starozakonnych starałem się ukrywać, by jako prezes nie narazić Związku Ziemian na krytyki bezkompromisowych endeków, jak pan Ignacy Chrystowski, co nie zawsze mi się udawało.

Pewnego dnia zajęty byłem zamawianiem druków gospodarczych w żydowskim zakładzie litograficznym, a właściciel pan Szczeciński zabawiał moją żonę rozmową.

- Proszę pani dziedziczki, ja pani męża, tego naszego prezesa, kocham jak brata.

Akurat w chwili tych wynurzeń stanął w sklepie pan Ignacy Chrystowski, sam nieco zażenowany, żeśmy go również tam spotkali i może dlatego nigdy nie wracał do oświadczenia pana Szczecińskiego. Zresztą „antysemityzm polski” był bardzo niekonsekwentny i nieefektywny.

Każdy, najbardziej zagorzały antysemita miał swojego Żyda, którego uważał za wyjątek.

Kiedyś w Kaliszu odbywał się kongres Akcji Katolickiej. Przewodniczącym zjazdu był Ludmir Pułaski z Grzymiszewa, kuzyn mojej żony, szambelan Jego Świątobliwości i

41

senator Rzeczypospolitej z ramienia Stronnictwa Narodowego. Zjazd był liczny i bardzo uroczysty. Za stołem prezydialnym obok senatora Pułaskiego zasiadał nasz biskup ks. Radoński. Nastrój był podniosły. Na zakończenie zjazdu uchwalono szereg rezolucji, a między innymi rezolucję wzywającą wszystkich prawowiernych katolików do ścisłego przestrzegania hasła „swoją do swego” i zaprzestania handlu z obcym elementem, czyli mówiąc bez ogródek z Żydami. Rezolucja ta została przyjęta jednogłośnie, po czym obecni odśpiewali chórem „Nie damy ziemi skąd nasz ród” i podniesieni na duchu opuścili salę.

Umówiłem się z senatorem, że po skończonym zjeździe pojedziemy do Kamienia na kolację. Zjazd zaciągnął się dość długo i przeczuałem, że Zosia będzie się niecierpliwić z powodu spóźnionej kolacji.

- Luto - rzekłem do szambelana - teraz ruszamy do Kamienia, bo już późno.

- Poczekaj, mój drogi - rzekł senator. - Ja muszę zaczekać tu na jednego Żydkę, handlarza rybami, bo mam większą partię karpia gotowych na sprzedaż, wiesz, takie ładne porcjowe karpie.

- Luto - rzekłem zdumiony - przed chwilą uchwaliliście bojkot Żydów i odśpiewaliście „Nie damy ziemi skąd nasz ród”.

- Tak, ale ta uchwała nie dotyczy ryb - wyjaśnił - bowiem nie ma na świecie reguły bez wyjątku, a ten mój Żydek daje zawsze dobrą cenę i zadatkuje. Umówiłem się z nim, że jutro przyjeżdża do Grzymiszewa. Od was zatelefonuję, aby spuszczone dwa stawy. Beczki przywozi kupiec. Sądzę, że będzie około tony żywych karpia. Przecież to nie żarty.

Jednak to nie konkurencja żydowska, ale głupia, demagogiczna polityka gospodarcza i podatkowa państwa niszczyła kupca polskiego, tak jak niszczyła rolnictwo, doprowadzając do likwidacji wiele polskich firm i do bankructwa wielu majątków, a nawet do wypadków samobójstw.

42

Od pierwszego zetknięcia się z polską rzeczywistością pozostał mi uraz do „urzędnika państwowego” i do wszystkiego, co przypominało mi tę kategorię ludzi, która dobrze dała się we znaki w odrodzonej Polsce.

Po odzyskaniu niepodległości pierwszym zadaniem rządu było zorganizowanie administracji i utrzymanie jakiegoś ładu i porządku w kraju, który zaledwie wy dostał się z chaosu wojny i twardych rządów okupacyjnych.

Niestety, z trzech zaborów jedynie w zaborze austriackim można było znaleźć wyszkolonych urzędników. W zaborze pruskim, jak i rosyjskim, administracja była niedostępna dla Polaków. W Niemczech i Rosji etnicznej inteligencja polska zajmowała niejedno poważne stanowisko rządowe, lecz stanowisko fachowe, a nie administracyjne. Odczuwało się natomiast brak niższych funkcjonariuszy administracyjnych, a także wyszkolonej policji w tych dwóch byłych zaborach.

Trzeba więc było nabierać pracowników skąd się dało, a ponieważ w Małopolsce wegetowały całe rzesze drobnych, a trochę głodujących urzędników, otworzono dla nich podwoje na zasadzie, że „na bezrybiu i rak ryba”. Rzuciło się więc to bractwo urzędnicze do Królestwa, na Wileńszczyznę, do Wielkopolski, wreszcie na Pomorze, zapełniając sobą urzędy, opanowując wszelkie placówki i jak mszyce na polu grochu osiadając w całej Polsce.

Bractwo to było nad wyraz solidarne i każdy z nich, gdy dostał się na nawet podrzędne stanowisko, wnet ciągnął za sobą długi ogon przyjaciół, krewnych z biednej, zagłodzonej Galicji. W prędkim czasie zdołali „galileusze” całkowicie zmonopolizować administrację, nie dopuszczając innych „do koryta”.

Nagromadziło się tedy na ziemiach polskich moc tego proletariatu urzędniczego, wprowadzającego skomplikowany system biurokratyczny wyniesiony z Austrii, monarchii, która z powodu swojej biurokracji już od dawna była państwem gnijącym.

Ludzie ci wprowadzili w Polsce straszny bałagan w sto-
43

sunkach lokalnych, prawdziwą dżunglę biurokratyczną, przez którą niełatwo było przebrnąć zwykłemu śmiertelnikowi. System, jaki wprowadzili, i sposób ich pracy okazał się zabójczy nie tylko dla życia ekonomicznego kraju, ale również niezwykle trudny do przetrwania dla miejscowej ludności. Do dzielnic, w których wciąż tkwił głęboko zakorzeniony szacunek dla wielkości, dla gestu, dla rozmachu, wysyłano drobnych urzędników z prowincjonalnych miasteczek galicyjskich, nie znających zgoła ani lokalnej historii, ani tradycji i nie rozumiejących psychiki i zwyczajów miejscowej ludności.

Ludność byłych zaborów: pruskiego i rosyjskiego wymagała rozumnej, sprawiedliwej, ale twardej ręki, a nie półinteligentów - intrygantów nie mających odwagi do samodzielnej decyzji, nie mających poczucia odpowiedzialności ani godności, a którzy przeplatali arogancję z lizusostwem i pochlebstwem. Szybko też zaczęto na kresach używać przekleństwa: „Kab ty po polskim urzędam taskalsia”. W Kaliskiem najgorszy pod względem doboru urzędników był urząd skarbowy. Kaliski Urząd Skarbowy był czymś, o czym nikt z nas rolników, a także przemysłowców i kupców, nie mógł mówić inaczej, jak z uczuciem obrzydzenia. Był to nie urząd, a raczej jaskinia rzezimieszków zajmujących się rabunkiem porządnym ludzi.

Co do doboru starostów, Kaliskie było szczęśliwsze od innych powiatów. Zdecydowanie nieudany był pierwszy starosta pan Rembowski, „wywiątek ziemiański”, a zatem lewicujący „inteligent” z ekipy Moraczewskiego. Pozostali starostowie stosowali na ogół politykę „by nie narazić się nikomu”, co zresztą większości się udawało. Żyli dobrze z chłopami, którym kadzili, uważali siebie za przyjaciół ziemianstwa, z którym popijali.

Czasami popełniali gafy, jak pan Tułeczki, który w czasie przewrotu majowego postawił na złą kartę i wskutek tego, otoczony aureolą „praworządności”, został zdymisjonowany, czy pan Ostoja-Ostaszewski, który mimo mocnego utykania na prawą nogę, z niezrozumiałą dla śmiertel-

44

nika zręcznością wyskoczył przez okno sali posiedzeń na gzyms pierwszego piętra, kiedy w czasie zamieszek robotniczych rozagitowany tłum próbował wtargnąć do magistratu. Zebrani na placu entuzjastycznymi okrzykami powitali ten śmiały wyczyn pana starosty i od tego czasu zmieniono przydomek Ostoja na Gzyms i pana Henryka nazywano Gzyms-Ostaszewski.

Poziom starostów znacznie się podciągnął w miarę upływu lat, i to nie tylko służbowo, ale i z uwagi na wygląd zewnętrzny. Znikły nieogolone twarze, a oni sami ukazywali się w stroju składającym się z czarnej kurtki, kamizelki i spodni w paski, czyli w tak zwanym „stroju wojewódzkim”. Na poważniejszych uroczystościach starosta figurował w długim zakiecie i spodniach w paski, na głowie miał czarny melonik, a nawet pokazywał się w cylindrze i przy parasolu. Do tego fasonu przyczyniło się niechybnie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, tak zwany „Emeszet” będący rozsądnikiem polskiego snobizmu, mody i wielu innych zalet towarzyskich lub osłoniętych na pół dyskretną tajemnicą pewnych odchyłeń obyczajowych. Aby być prawdziwym emeszeciarzem należało przynajmniej dawać powody, że jest się adeptem Oskara Wilde’a, choćby się nawet nim nie było.

Od starostów gorzej w pamięci ludności zapisali się wojewodowie. Za dawnej Rzeczypospolitej wojewoda był łącznikiem króla z narodem i na ten urząd powoływano najpierwszych obywateli kraju. Na próżno jednak szukać wśród wojewodów odrodzonej Polski, urzędników czwartego stopnia służby Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, śladów dawnej świetności i powagi tego urzędu. Na ten urząd powoływano przeważnie ludzi, którzy ani swoim urodzeniem, ani wykształceniem czy

wychowaniem nadawali się do jego sprawowania. Ludzie ci, żonglując hasłami „demokracji” wymagali dla siebie jakichś szczególnych, często bałwochwalczych względów, natomiast w stosunku do zwykłych obywateli zachowywali się arogancko, po chamsku dając odczuć, z jakim to niebywałym dygni-

45

tarzem ma się do czynienia. To chamstwo wychodziło już w urzędowej korespondencji. We wrześniu 1913 roku gubernator wileński pisał do mnie jako do członka gubernialnej komisji urzędów rolnych:

„Jego Wysokorodju Mieczysława Bolesławowiczu knia-ziu Pieriejasławskomu-Jałowieckomu Wilenskiej Gubierna-tor, kamerger dworu Jego Wieliczesztwa imiejiet czest' po-korniejsze prosit Mieczysława Bolesławowicza nieokazat' pożałowat' na zasiedanije gubernskoj ziemleustroitielnoj komissji sientiabria 10 dnia 1913 goda w żale Gubiernskogo sobranija.”

Od wojewody łódzkiego otrzymałem we wrześniu 1929 roku pismo:

„Do Jałowieckiego Mieczysława, gmina Kamień. Poleca się przybycie na posiedzenie rady wojewódzkiej wyznaczone na dzień 10 września o godzinie 11 przed południem.”

Każde pismo, każde odezwanie się władzy w demokratyzującej się Polsce było w gruncie rzeczy dla adresata ob-raźliwe. Toteż na sam widok koperty urzędowej i zawartego w niej świstka wystukanego na maszynie niedbałą ręką, człowieka chwyciło coś za gardło. Jeszcze gorszych upokorzeń można było doznać na osobistych audiencjach u wojewody. Niech w poczekalni zjawił się jakiś poseł ze Stronnictwa Ludowego, a po przewrocie majowym wpływowy członek BBWR lub OZON-u, ten sam wojewoda, który przed chwilą ledwo raczył podać dwa palce starszemu a szanowanemu ziemianinowi, zmieniał się niczym kameleon, zapominał o swojej wielkości, wybiegał sam do poczekalni i wśród przymilnych uśmiechów i reweransów wprowadzał gościa do swojego gabinetu. W takich dniach umówieni petenci mogli spokojnie wracać do domu.

Przeżyłem kilku wojewodów łódzkich i przeżyłem kilku wojewodów poznańskich. Przykładem wyjątkowego chama był wojewoda Bociański, człowiek zarozumiały, bez żadnej kultury i chyba wykształcenia. Ten syn skromnego fornała z Pleszewa cierpiał na niezwykle megalomaństwo i

46

skłonność do zbytku z kieszeni podatnika. Pierwszym jego czynem po przybyciu do Poznania było odrestaurowanie prywatnych apartamentów wojewody, i to niebywałym kosztem. Między innymi ten człowiek, który spędził dzieciństwo w stajni, kazał sobie urządzić fantastyczną łazienkę, wyłożoną marmurem, ze ścianami zwierciadlanymi, by móc się sobie do woli przyglądać. Po wejściu Niemców do Poznania hitlerowcy pokazywali tę łazienkę jako przykład „Polnische Wirtschaft”.

Oczywiście nie należy uogólniać; oprócz różnych Kir-tiklisów, Nakoniecznikowów-Klukowskich, Sokołowskich można było naliczyć kilku wojewodów, którzy godnie i rozumnie sprawowali ten urząd, jak hr. Adolf Bniński, wojewoda poznański, Władysław Sołtan, wojewoda warszawski czy Władysław Raczkiewicz, który byłby jeszcze lepszym, gdyby z usposobienia był mniej „urzędnikiem” i gdyby miał mniej elastyczną strukturę swojego charakteru.

Policja, stanowiąca nieodzowny dodatek administracji, nie była w Polsce ani bardzo zła, ani bardzo dobra, po prostu była „nijaka”. Toteż podkradano w Polsce jak się dało i gdzie się dało, i czyniono to w sposób dobroduszny. Był to swego rodzaju niepisany statut, tolerowany przez społeczeństwo. Policja zaś nie wyrobiła sobie ani wśród ludności, ani wśród złodziei należytego autorytetu. Przeciętny obywatel jak ognia unikał meldowania policji o kradzieży, gdyż proces spisania protokołu policyjnego był czynnością tak skomplikowaną, że pod koniec przesłuchania badany już sam nie wiedział czyjego okradł, czy on okradł.

Kiedyś w Kamieniu padłem ofiarą dużej kradzieży. Zwróciłem się do komendanta policji o przysłanie wywiadowcy, aby dopomógł mi wykryć sprawcę, tracąc przy tym bardzo dużo czasu na spisanie meldunku o przestępstwie. Po jego przyjeździe wypiliśmy po jednym „urzędowym” i rozpoczęło się na nowo badanie mojej osoby.

- Bo to, proszę pana, u mnie wszystko szybko - zazna-

47

czył wywiadowca - rzut oka, błysk myśli i już jestem na drodze do wykrycia przestępstwa. Niestety, „rzut oka i błysk myśli” nie pomógł, a ja doszedłem do wniosku, że to raczej wywiadowca był przedmiotem pilnej obserwacji złodziei niż na odwrót. Cała wieś wiedziała o jego przyjeździe. Musiałem się chwycić miejscowych środków. W kilka dni delikwent się znalazł. Dobrze odebrał po mordzie od leśniczego Dobkiewicza i kradzieże ustały.

Warunki służbowe policji były trudne, wynagrodzenie głodowe, wymagania wielkie, a przy tym prawa bardzo ograniczone, szczególnie gdy chodziło o użycie broni. Dlatego odnosiłem się jednak z uznaniem do faktu, że policja była taka, jaka była i że nie stwierdzano przypadków przekupstwa. Komendantem naszego posterunku policyjnego w Ce-kowie był mój przyjaciel Graczyk, który za czasów rosyjskich był strażnikiem. Graczyk z politowaniem patrzył na nowe pokolenie policji, jak też z nie mniejszym politowaniem traktował nowy narybek złodziei.

Nieraz w czasie naszych przyjacielskich pogawędek ubolewał nad upadkiem etyki między nimi, nad brakiem fachowości, nad dyletantyzmem.

- Bo to, panie dziedzicu, dawniej złodziej to był fachowiec, a teraz... - tu następowało pogardliwe machnięcie ręką.

Najwyższym szefem Graczyka był gen. Zamorski, artysta malarz, który stał na czele policji. Od innych generałów odróżniał się swoją czarną brodą, pięknym, granatowym mundurem i cudownie wypolerowanymi butami. Sądzę, że na całym obszarze Rzeczypospolitej nie było drugiej tak lśniącej kruczym połyskiem henną i lak doczyszczonych butów, jak u wodza naszych sił i icyjnych.

Pod znakiem buraka i zająca

Rolnictwo nie było i nigdy nie będzie rzemiosłem w ścisłym znaczeniu tego słowa i aby być rolnikiem, trzeba połączyć w sobie natchnienie artysty i praktyczność kupca.

Jeżeli rolnictwo jest sztuką, to uprawę buraka cukrowego trzeba umieścić na najwyższym poziomie tego szlachetnego zawodu.

Plantator buraka cukrowego to mąż, który łączy w sobie męstwo i umiejętność pokonywania przeszkód, to skała, o którą rozbijały się „bałwany demagogii agrarnej” pana ministra Poniatowskiego, to rycerz, który z otwartą przyłbicą prowadził bój z dyrektorem cukrowni, to czarodziej, przed którym w czasie kryzysu otwierały się magicznie drzwi gabinetu dyrektora oddziału Banku Gospodarstwa Krajowego i który wychodził do poczekalni z kieszenią wyładowaną prolongowanymi weksłami.

- Panie dyrektorze - skarżyli się inni petenci - panu Jałowickiemu to pan zaprołongował weksle, a mnie pan robi trudności.

- Tak, ale pan nie jest plantatorem, a pan Jałowicki to przecież „buraczarz” - odpowiadał twardo dyrektor.

Taki „buraczarz”, po wyjściu z banku w Łodzi, udawał się do pobliskiego Grand Hotelu na kieliszek wódki Ba-czewskiego i kotlet cielęcy z jajkiem, po czym zdążył na kolej i powolnym jej tempem wracał do swojego majątku.

Buraczarz bowiem to mąż, który orlim wzrokiem obejmował zielony horyzont buraczany i od pierwszego rzutu

4- Requiem...

49

oka wiedział o wszystkich dolegliwościach tej szlachetnej rośliny, wymagającej często podkarmienia niczym rój pszczół w ulu dawką pogłówną saletry, a czasem minimalną dawką boru w postaci boraksu.

Okres zabiegów połączonych z uprawą buraka zaczynał się dość wcześnie, na początku lata, kiedy to powietrze bywa przesiąknięte zapachem koniczyzny i miodowym oddechem wysadków, a nad polami w ciszy upalnego dnia unosi się lekka mgiełka, pyłek kwitnących łąnów żyta. W taki czas lubili przyjeżdżać do Kamienia goście i, ukryci dyskretnie wśród kwitnących róż, używali kąpieli słonecznych w ciszy tak zwanego ogródka holenderskiego. Jednak nie na długo, bo ogródek ten położony był w pobliżu drogi, którą na pola buraczane przeciągały lory naładowane czubato dobrze przegniłym obornikiem. Gdy zawiął wiatr od lasów kamieńskich, wszystkie te „perfumy

gospodarcze" połączone z ostrym zapachem kiszonych wyłoków były dla osób z miasta podobno nie do zniesienia.

Osobiście lubiłem połączenie zapachu dobrze przegniętego obornika, zwanego w Wielkopolsce „edelmist", z oddechem kiszonych liści buraczanych. Działały na mnie pokrzepiająco, tkwiła w tym zapachu jakaś męska zasobność gospodarza.

Zwoziliśmy więc ów skarb na pole, składaliśmy w przyzmy obsypane dwoma grubymi warstwami ziemi i pozostawialiśmy je aż do jesieni, do należytego wydobrzeżenia, niczym szlachetnego burgunda czekającego w podziemiach na czas „kipierowania" z beczek w butelki.

Tymczasem nadchodziły żniwa. W ślad za żniwiarkami postępowały wieloskibowce podorujące ściernisko, a za nimi siewniki z ziarnem poplonu.

Poplon, na podobieństwo dobrego koktajlu, składał się z mieszaniny przeróżnych roślin strączkowych na osnowie łubinu, a więc bobiku, grochu, wyki i licho wie jeszcze czego.

Okres siewu poplonów był okresem, w którym nawet święty Izydor, patron rolników, mający w swej szczególnej opiece buraczarzy, nie mógł sobie z Kaliszzanami dać rady.

50

Od poplonów w znacznej mierze zależał przyszły urodzaj buraków. Świeżo zasiany, a przywałowany dla podciągnięcia wilgoci poplon wymagał deszczu, żniwa zaś, będące w pełnym toku, wymagały pogody.

Łatwo można zrozumieć, w jakim kłopotcie znajdował się Święty.

Co piątek ziemianie zwykli byli opuszczać domy, uciekając od postnych obiadów i spędzać dzień w mieście na załatwianiu interesów. Wtedy z sali jadalnej „Wioślarzy" lub Hotelu Europejskiego dochodziły do uszu Świętego różne cierpkie uwagi:

- Jak tam u ciebie z poplonem, u mnie to, psiakrew, jeszcze się nie wyrzędował, taka cholerna posucha. - Lub: -Cholera, leje jak z cebra, trzeba mendle przestawić, bo pszenica porasta.

Bywały jednak lata nie dżdżyste, ale jak to mówią „prze-kropne", kiedy to i pszenicę udało się zebrać, i doczekać się już na początku września pięknego poplonu, w którym roiło się od bażantów, kuropatw i zajęcy.

Przychodziła jesień. Ukończono wykopki. Po polach snuły się jeszcze ostatnie pajęczyny babiego lata, przeciągały ku południowi dzikie gęsi i żurawie, cisza zalegała w powietrzu. Stary Dziubek, włodarz od fornali, wyszedł wcześniej w pole, wziąwszy jednego „ręczniaka" do pomocy i wytyczył „ksobki - ocipki". W ślad za tym wyruszyły pługi i zaczęła się najważniejsza z robót jesiennych: orka z pogłębiaczami pod buraki.

Szły powoli jedna „fornalka" za drugą, odwalając skiby żyznej ziemi i przyorywując poplon i rozrzucony po polu obornik. Stada wron z głośnym krakaniem zrywały się spod koni i zapadały z tyłu za pługami, zbierając robactwo, a szczególnie szkodliwe, żarłoczne pędraki. Dni były już krótkie, nastąpiły wczesne przymrozki, gdzieś z daleka dochodziło warczenie młocarni parowej, zima była za pasem.

Ziemianin, oderwany na kilka miesięcy zimowych od buraka, kierował swoją uwagę na nie mniej ważny „problem zająca"; zaczęły się też polowania, przeplatane różnymi

51

gospodarczymi kłopotami, a potem święta: Wigilia, Boże Narodzenie, spotkanie Nowego Roku w sali Malinowej Bristolu lub w Hotelu Europejskim, czasem wyprawa na parę krótkich tygodni za granicę, a od czasu do czasu miłe rozprawy matematyczne z przedstawicielami urzędu skarbowego na temat, że dwa razy dwa to cztery, a nie pięć, i że jedyńka pomnożona przez jedyńkę daje w rezultacie jedyńkę, a nie dwójkę, jak twierdzi polska matematyka skarbowa.

Tak nadchodzi przedwiośnie. Stajały już śniegi, w promieniach słońca drży srebrną mgiełką oddech budzącej się do życia roli. Rolnik z utęsknieniem wyczekuje początku robót wiosennych.

Wreszcie gleba już przeschła. Po raz pierwszy po śnie zimowym wyszły w pole wystające czwórki koni fornalskich ciągnące za sobą włoki.

„Włoka" to jakby pierwsza przygrywka do długiej kampanii rolniczej, to pierwszy krótki akt, którego treścią jest skruszenie zeskorupiałej od śniegów i deszczu powierzchni ziemi, to pierwsze radosne dni, którym przyśpiewuje zawieszony w błękitach nieba skowronek. Trzeba mieć wszystko

przygotowane w ostrym pogotowiu. Siewy za pasem. Każdy wiosenny dzień stracony to grzech śmiertelny ciężko opłacany w swych skutkach przez opieszałego rolnika.

Na początku przedwiośnia przypadała również pora odwiedzenia dyrektora cukrowni, podpisania kontraktu na uprawę danych ilości hektarów buraków cukrowych i wreszcie otrzymania zaliczki, która w rzadkich przypadkach pozostawała w kieszeni plantatora. Najczęściej zabierał ją urząd skarbowy.

Wiosna była również okresem, w którym każdy dyrektor cukrowni był „przyjacielem” buraczarza. Uczynność dyrektora posuwała się aż do propozycji skorzystania z zapasów „szlamprasy”, odpadów którymi pod koniec kampanii zawalone były wszystkie podwórza cukrowni. „Szlamprasa” według dyrektora miała usprawnić rolę,

52

pobudzić ją do życia, zneutralizować szkodliwe kwasy w ziemi. Dyrektor gotów był odstąpić ten cenny produkt za darmo, byle tylko plantator wywiózł go na własny koszt i... oczyścił podwórze cukrowni z tego świństwa.

Bywali naiwni, którzy nabierali się na tę propozycję, bo w rzeczywistości „szlamprasa” nie miała żadnej wartości, zawarte w niej związki wapna były martwe, nie dawały żadnego efektu, a tylko zanieczyszczały glebę, hamując działanie innych nawozów.

W połowie kwietnia, na rozłożystej sośnie klekotały już bociany, pod ięgami unosił się gwar ptactwa: żalosne zaciąganie czajek, nisko krążących nad ziemią, beczenie bekasów i przeciągły głos kulonów, a liczna kolonia „glap”, gawronów obrała sobie siedzibę na drzewach dzięciolskich, napełniając powietrze dokuczliwym krakaniem.

Najważniejsze roboty polne są już na ukończeniu. Nawozy mineralne pod buraki już od dni dziesięciu są w ziemi, grochy już się „wyrzędowały”, pola obsiane owsem pokryły się lekką, jeszcze bladą zielenią, „pyry” wysadzone, bruzdy przywałowane.

W tym to czasie posyłano fornalkę do zbierskiej cukrowni po nasiona buraczane.

Wśród ludzi są wyjątki, tacy którzy lubią spać na twardym, a okrywać się miękką kołdrą. Burak cukrowy ma podobne upodobania. Wyklute z nasion małe buraczątka lubią rosnąć na ubitym podłożu, pokrytym miękką, puszystą, ale niezbyt luźną powłoką. Te upodobania buraka cukrowego trzeba mieć na względzie, przystępując do siewu.

W majątkach jest gwarno, a na polu ludno. Już na początku kwietnia rozesłano wozy po sezonowych, wybranych przez włodarzy.

Zaczyna się sianie, a sieje się w dwóch terminach, aby „przerywka” nie nadeszła jednocześnie na całej plantacji. Na pole zjeżdża cała armia ludzi i sprzętu: ciężkie bronie, lżejsze bronki posiewne, ciężkie wały i lekkie wały drewniane, wreszcie siewnik rzędowy Sacka. Siewnik jest poprzedniego dnia dokładnie skontrolowany:

53

- Siewnik rychtyk wykręcony, proszę jaśnie pana, to my jego ze trzy razy wykręcali - zapewnia włodarz.

Idą naprzód czwórki zaprzężone do ciężkich bron, po nich toczy się po polu potężny wał żelazny ciągniony przez czwórkę silnych koni, za wałem znowu bronki wznoszące lekko powierzchnię. Wreszcie ustawia się siewnik. Załoga siewnika składa się z fornala prowadzącego czwórkę koni, kierowcy trzymającego w swoich rękach ster do siewnika, i dwóch chłopaków idących z tyłu z dźwawkami zaopatrzonymi w żelazne łopatki, by oczyszczać radliczki siewnika.

Z zaplombowanych worków wysypują nasiona, zależnie od cukrowni pochodzące od takich firm nasiennych jak Buszczyński i Ska, Udycz czy Kaliska Hodowla Nasion.

- Łopaki, a baccie, by nie było mijaków - upomina włodarz.

Siewnik prowadzony wprawna ręką sunie po linii prostej. Przyjemnie patrzeć na taką robotę.

Włodarz uważnie pilnuje czy radliczki są dostatecznie obciążone, czy nasiona są dobrze przykryte, czy wałki ugniatające dobrze działają.

Każda chwila jest droga, siew idzie przez cały dzień bez ustanku, na dwie zmiany. Około południa zjawia się nowy zespół, nowe konie, ale praca trwa nieprzerwanie. Siewnik z regularnością zegarka pochłania pole. Zbliża się wreszcie podwieczorek, znowu zmiana załogi i tak aż do późnego

wieczora.

Dziedzic raz w raz zagląda na postępowanie roboty. Jakże pięknie wygląda dobrze doprawiona gleba koloru czekolady, a nad tym błękit nieba i powietrze przezroczyste, pełne aromatu, a w górze szczebioczą nad głową skowronki. Człowiek całą swoją istotą wchłania ten przedziwny czar przyrody i pracy na roli. Na sercu tak lekko, tak wesoło. Zapomina się troski, nawet urząd skarbowy wydaje się czymś przyziemnie dalekim.

Hej, nie ma to jak burak!!!

54

Tę radosną chwilę przerywa głos włodarza: - Ade proszę pana, nie starczy nasienia.

Psiakrew, cukrownia nigdy nie wyda potrzebnej ilości, chce i na tym orznąć plantatora. Nie ma rady, jutro świtem trzeba posyłać po nasiona, a przedtem wyklócać się jeszcze z dyrektorem.

Wreszcie siew ukończony. Nastają dni niepewności i oczekiwania.

Po dziesięciu dniach, w czasie piątkowej rybki, w Kaliszu daje się wyczuć pewne podniecenie: : -

Czy tam u ciebie buraki się wyrzędują? - pytają mniej doświadczeni.

- Co chcesz - uspokajają bardziej wyrobieni - burak to nie rzepak.

Mija jeszcze kilka dni niepewności i oto któregoś poranka rolnik z radością widzi cieniuchne, zielone paski wyrze-dowanych, młodych roślinek. Buraki się wyrzędowały!!! Z dnia na dzień rosna w oczach, ale jednocześnie rosna i codzienne kłopoty plantatora.

Burak i zajęć mają jedną wspólną cechę: od zarania życia zarówno burak, jak i zajęć otoczeni są przez wrogów.

Ledwo się rolnik zdążył nacieszyć, że wszystko tak pięknie powschodziło, kiedy pewnego popołudnia zauważa, że na polu coś nie wszystko w porządku. Rządki buraków jakby przybladły, tu i ówdzie widać przerwy, jakby ktoś porozrywał zielone nitki ciągnące się w polu.

Plantator przystaje, złazi z konia lub linijki i wyrywa kilka młodych roślinek. Korzonek jest uszkodzony, jakby jakaś siła niewidoczna poprzecinała go w połowie. „Tak, to psiakrew nic innego, tylko zgorzel - myśli - grzybek, który niszczy korzonki.”

„Ale co to?”. Rolnik obserwuje inny rodzaj więdnienia roślinek. Korzonki są obsypane drobnymi, ledwo widocznymi punkcikami. To nematody, drobnoustroje pasożytujące na delikatnych włoskach korzonków... „Byle nie wpadać w panikę. Trzeba ratować póki czas”.

55

Nazajutrz na polu zjawiają się walce. Pole się mocno wałuje, a potem dawka saletry.

„Dobrze, że wbrew zaleceniom cukrowni posiało się gęsto, inaczej byłaby katastrofa.”

Na piątkowej rybce w Kaliszu, głównym tematem rozmów są zgorzel i nematody, a raczej czy są one również u sąsiada, bo to zwykle przyjemniej nie być samotnym w nieszczęściu i dzielić takowe z innymi.

Po zabiegach buraki się jednak dobrze wysunęły z ziemi, rządki są widoczne. Zaczyna się długi okres pielęgnowania.

Zastęp sezonowych, złożony z kilkudziesięciu robotników i robotnic zjawia się na polu z motykami w rękę. Zaskorupiałą już powierzchnię ziemi należy spulchnić, a jednocześnie wyniszczyć zaczynające kiełkować chwasty. Tę robotę można wykonać tylko ręcznie, by nie zasypać ziemią młodych roślinek.

Potem na polu zjawia się konna graca zwana po polsku „hackmaszyną”, a gdy buraki wypuściły już trzy listki, zaczyna się przecinka i przerywanie. Z każdej kępki pozostawia się jedną najsilniejszą roślinkę, inne wyrywa się, po czym ziemię dookoła ugniata się ręcznie.

Po tym zabiegu następuje niezrozumiała dla niewtajemniczonych operacja. Na pole wjeżdżają ciężkie, żelazne walce. Po ich przejściu ziemia zmienia się na gładko zwałowaną pustynię. Wydaje się, że cały zasiew zniszczony. Jednakże puszcza się zaraz na pole konne opielacze i dodaje dawkę saletry.

Po paru dniach, jakby za machnięciem różdżki, pole się zazieleniło. Roślinność zmartwychwstała. Potem przez okres paru miesięcy lekkie, jednokonne opielacze nie schodzą z pola, a gdy pole pokrywa się ciemnozielonym gąszczem splecionych liści buraczanych, opielacze ustępują miejsca kuropatwom, bażantom i zajęcom, od których wkrótce aż kłębi się na buraczysku. Ale ten okres

paru miesięcy również nie jest pozbawiony różnych niespodzianek.

Na liściach buraczanych pojawia się rdza. Trzeba mo-

56

lestować cukrownie o wypożyczenie motorowego opryskiwacza. Całe pole spryskuje się cieczą bordoską. Cukrownia oczywiście każe sobie słono za ten zabieg zapłacić.

Zjawia się raptem obrzydliwe robactwo zwane śnietką, które nakłuwa liście i składa tysiące drobnych jajeczek, z których wylęgają się białe robaczki i wyjadają liście od środka. Gdy śnietka opadnie na pole, straty są poważne.

Czasem rolnik objeżdżając pole, słyszy głośnie krakanie gawronów i widzi stada tego ptactwa spadające chmurą na buraczysko. Podjeżdża bliżej i zauważa całe rzędy buraków powyrywane z ziemi, na innych liście uwiedły i opadły. Przyczyna jest jedna: to pędraki. Gawrony, dla których pędrak jest jednym z przysmaków, idą wzdłuż bruzd i nie zważając, czy burak jest zdrowy, czy nie wyciągają je po kolei, by dostać się do tego robactwa.

Teraz należy stoczyć podwójną walkę: tak z gawronami, jak i z pędrakami. Kilkadziesiąt dziewczuch wchodzi na pole. Jedne drewnianymi kołkami robią dołki w pobliżu buraka, inne w te dołki wlewają skoncentrowany roztwór kainitu. Jednocześnie kilku podrostków pilnuje pola od świtu do nocy, odganiając stada gawronów czy to krzykiem, czy nawet strzelając z „kalfiorak”.

Nadchodzi sierpień; wydawałoby się, że aż do wykop-ków można spokojnie zająć myśli innymi troskami. Jednak niezupełnie. Oto z pola buraczanego zaczynają wyrastać jakieś wysokie rośliny. Są to tak zwane „pośpiechy”, zwyrodniałe lub przymrożone wiosennym przymrozkiem rośliny buraczane, z których pole należy oczyścić. Zabieg wydaje się łatwy, po prostu ogłasza się „kobitom”, że mogą dla krów powyrywać pośpiechy. A ile przy tej operacji idzie do podołka liści buraczanych zerwanych ze zdrowych buraków, o tym lepiej nie myśleć.

Nadchodzi koniec września. Stada dzikich gęsi zapadły na rozległe pola kamieńskie, czyniąc sporo szkody w świeżo zasianej pszenicy. Bociany zebrały się w stada, odbywając przed odlotem hałaśliwe wiece na łągach dzięciolskich. Wreszcie ptactwo wędrowne pociągnęło ku południowi.

57

Lasy i łąki zamilkły, a wieczorami nie słychać już przeciągłego nawoływania kulików ugorowych. W ten to czas zaczęły się wykopki buraków cukrowych. Szły więc chłopcy uzbrojone w długie dłuta, by wyciągać buraki z ziemi i pozostawiać za sobą powyrywane ich rzędy. Za chłopami posuwały się wzdłuż bruzd dziewczuchy z nożami w ręku, obcinając korony buraków i odrzucając liście na stronę.

Na zazwyczaj cichej stacyjce w Dębem zapanował niebywały ruch. Fornalki zwoziły buraki, a na kantorce urzędował już przedstawiciel cukrowni. Rżenie koni, turkot wozów i gwar głosów napełniały powietrze ogłuszającą wrzawą, a jędrne słownictwo jak bicz biło w uszy. Na kantorku rozgrywało się istne piekło. Znikała granica pomiędzy złym a dobrym sercem. Umysły przepełnione były tylko jedną troską: plantatorów, aby zmniejszyć procent zanieczyszczeń w burakach, a cukrowni, by orznąć plantatora i niemiłosiernie obciąć wagę dostarczonych buraków. Dyrektor cukrowni, który w normalnym życiu był zacnym człowiekiem, w czasie kampanii buraczanej stawał się bandytą stojącym na czele szajki zbirów, działających na kantorkach i wykonujących bardzo skrupulatnie zalecenia cukrowni.

Po tym piekle następuje uroczysty dzień wyprawy do dyrekcji po zapłatę w postaci czeku. Do czeku załączone jednak są rachunki, a w nich czego tam nie ma: i zaliczka, i procent od zaliczki, i cukier brany z cukrowni, i nasiona buraczane, i jakieś opłaty manipulacyjne. No ale zawsze za ciężką pracę całego roku pozostaje do podjęcia kilka lub kilkanaście tysięcy złotych, na które rzuca się zaczajony wróg - urząd skarbowy.

Na rybce piątkowej w Kaliszu słowo „bandytyzm” jest często wymieniane, tak w odniesieniu do urzędu skarbowego, jak i do cukrowni, która „obcięła na wadze” lub naliczyła krzywdzącą ilość zanieczyszczeń. Wydaje się, że w przyszłym roku nikt w Kaliskiem buraka cukrowego już nie będzie hodował.

Nadchodzi jednak następna wiosna, ten sam cykl trosk i niepokojów się powtarza, a buraczarz

zawiera nowy kontrakt, wyklóciwszy się z cukrownią o zwiększenie kontyngentu. Zaś pewnego letniego dnia przed dworem staje bryczka zaprzężona w parę siwych mierzynów, a z niej wysiada ubrany w biały pudermantel sam pan Gołędzinow-ski, zasłużony kontroler cukrowni, by sprawdzić stan i obszar plantacji.

Ziemiaństwo dosyć aktywnie brało udział w życiu społecznym kraju. Niestety jednak zbiorowego życia w Polsce były stałe uroczystości związane z przechodzącym wszelkie granice oficjalnym gadulstwem. Gdyby ograniczono się tylko do świąt państwowych, jak rocznica Cudu nad Wisłą, Święto Niepodległości, rocznica Powstania Listopadowego, Dzień Żołnierza czy rocznica Konstytucji Trzeciego Maja, to można byłoby jeszcze wytrzymać. Niestety, dołączyły się do tego różne „akademie” i przyjazdy różnych dygnitarzy, a wreszcie po zgonie Marszałka dołączyły się oficjalne święta związane z dniem jego urodzin, imienin, rocznicą zgonu. Do tego dochodziły uroczystości różnych organizacji, jak POW, Drużyn Strzeleckich, Straży Ogniowych, Związku Młodzieży Wiejskiej, Związku Rezerwistów, Związku Oficerów Rezerwy, Pogotowia Konnego, Wioślarzy, Braci Kurkowych i innych. Słowem, nie było tygodnia, aby człowiek zajmujący jakieś stanowisko społeczne nie był zmuszony do wysłuchiwanie oficjalnej gadaniny. Przy czym megalomania była nieobliczalna. Jako członek rady gminnej wysłuchałem przemówienia miejscowego nauczyciela z okazji zbudowania nowego mostu na ośmiometrowej rzeczce Swędrni, na miejscu starego, nieco już spróchniałego. W mowie tej nasz wójt Wojciech Witczak został porównany do mężów, którzy wznosili mury starego Rzymu.

Najbardziej jednak czas- i pracochłonne były oficjalne wizyty wojewódzkich czy warszawskich dygnitarzy, którzy w tak zwanym terenie zwykli byli od czasu do czasu

58

59

wygłaszać przemówienia o „demokracji” i demonstrować swoją gospodarczą troskę.

Żaden z gubernatorów rosyjskich w czasie objazdu guberni nie pozwoliłby sobie na otaczanie swojej osoby taką atmosferą czolobitności, jaka towarzyszyła naszym wojewodom w czasie ich co prawda rzadkich, ale nie mniej dla ludności uciążliwych objazdów. Te bramy tryumfalne, orkiestry, te przyjęcia, powitalne mowy - wszystko to stało mi w oczach, gdy pewnego poranka sierpniowego stary Marcin, służący kamieński, zaanonsował, że pan starosta prosi mnie do telefonu w sprawie objazdu powiatu przez wojewodę Hauke-Nowaka.

- Panie prezesie - usłyszałem przyjazny głos pana Henryka Ostaszewskiego. - Otrzymałem poufną wiadomość, że pan wojewoda zamierza w przyszłym tygodniu przeprowadzić lustrację powiatu. Pan wojewoda ma zamiar odwiedzić gminę Kamień, a przy tej okazji wyraził chęć do odwiedzenia osobiście państwa w porze obiadu. Jest to dowód wielkiego zaufania - rzekł starosta zniżając głos - że pan wojewoda zajędzie do dworu ziemiańskiego. Jest to dowodem, że pan jako prezes Związku Ziemian cieszy się zaufaniem sfer rządowych i jest to pewną nagrodą za pańską działalność społeczną. Pan wojewoda wyraził ponadto życzenie, aby obiad odbył się w ścisłym kole i oczywiście wśród ziemian nie należących do opozycji. Sądzę, że zgodnie z życzeniem pana wojewody ogólna ilość gości, a więc pana wojewody i jego najbliższej świty oraz osób przez pana zaproszonych nie powinna przekroczyć dwunastu. Czy mógłbym spytać pana prezesa, kogo spośród ziemian zamierza pan zaprosić? - spytał przymilnie.

Od wczesnego rana byłem w polu i ta przerwa w śniadaniu nie usposobiła mnie najlepiej do propozycji starosty. Jednak z ulgą przyjąłem, że nie jest to telefon od naczelnika urzędu skarbowego, który uważał, że najstosowniejszą porą do porozumienia się co do zapłaty dodatkowego wymiaru podatku dochodowego jest właśnie pora posiłku.

60

Wojewoda Hauke-Nowak, legionista, śmieszył mnie nieco swoim pompatycznym nazwiskiem, które wpływało na jego osobowość, a obdarte z pierwszego członu będącego tylko pseudonimem legionowym, stawało się pospolitym Nowakiem, tracąc swą historyczną pompę. Miałem również do niego pewne zastrzeżenia za narzucanie kandydatów na senatorów z naszego okręgu, jak moim zdaniem rozhisteryzowaną panią generałową Norwid-Neugebauer, czy Aleksandra Prystora, którzy nie mieli nic z naszym terenem wspólnego, a jedynymi ich zasługami było posiadanie wpływowego

męża lub wykazanie odwagi połączone z utratą parasola w pamiętnej akcji pod Bezdunami. Nowak poza tym był człowiekiem rozumnym i nieszkodliwym.

- Panie starosto, ponieważ pan wojewoda podkreśla urzędowy charakter swojej wizyty - odparłem nieco złośliwie - przeto przyjmę pana wojewodę nie jako ziemianin, ale jako członek rady powiatowej i prezes zarządu szpitali. Nikogo z moich współzemiemian nie będę narażał na widzenie się z wojewodą, tylko zaproszę naszego posła pana Feliksa Karśnickiego i naszego sąsiada pana Wejgta, jako prezesa straży ogniowej w Morawinie.

- Zupełnie pana rozumiem - rzekł nieco cierpko starosta - jednakże muszę się stosować do poleceń mojego zwierzchnika i odpowiednio wszystko przygotować w gminie na przyjęcie wojewody. Wójt dostał już ode mnie odpowiednie instrukcje z nakazem, by wszelkie przygotowania uzgodnił z panem prezesem. Wójt obiecał nauczyć się na pamięć mowy powitalnej, prosił jednak, by pan mu tę mowę skomponował.

Posiałem po wójta. Był to zamożny gospodarz z wsi Morawin Wojciech Witczak, w wojsku dorobił się szlifów starszego kaprała, był więc służbistą, człowiekiem niegłupim, dobrym administratorem trzymającym największych nawet demagogów „za mordę”.

- Panie prezesie - powiedział wójt - po co mamy zbierać radę gminną. Ułożymy wszystko sami, a dopiero potem radę zwołamy. Sprzeciwu nie będzie.

61

Wyczułem, że najbardziej trapi go sprawa powitalnej mowy, bo zaraz tę sprawę poruszył:

- A tę mowę powitalną, to już niech pan prezes sam wykombinuje, a ja ino na pamięć się nauczę. Ino niech pan prezes wykalkuluje krótką mowę, bo mając teraz tyle na głowie, to mi już ponoć trudno wszystko spamiętać.

Przeszliśmy do omawiania dalszych problemów związanych z tą zaszczytną wizytą:

- Na bramę tryumfalną wedle gminy na szosie, to już pewnikiem pan prezes da drzewo i swego ogrodnika - doradzał wójt - a ja każę dziewczuchom nazbierać kwiatów i by porobiły girlandy. Ino mam bidę - dodał.

- O co chodzi? - spytałem zaniepokojony.

- Ano wedle tej orkiestry, bo kamieńska straż ogniowa koniecznie chce, żeby oni grali Hymn Narodowy na przyjazd wojewody, jako że Kamień to gmina. A straż ogniowa w Przedzynie, że oni mają najlepszego trębacza, co był w wojsku i że mają bębniarza, co dobrze ton trzyma, a że straż kamieńska to ino fałszuje, a żadnej melodii wyciągnąć nie umie. Kołodziejczyk, ich komendant zapowiedział, że jego przedzynieki kamieniakom mordę obiją, jeżeli będą się upierać przy swoim graniu.

- Tak, sprawa trudna - odrzekłem - ale przez prezesa Karśnickiego jakoś to załatwimy.

Po dłuższej naradzie z wójtem ustaliliśmy porządek uroczystości.

Na godzinę przed przyjazdem pana wojewody, rada gminna zbierze się przy bramie tryumfalnej. Orkiestra zagra Hymn Narodowy, po czym wójt wygłosi mowę powitalną. Dzieci z miejscowych szkół staną wraz z nauczycielkami po drugiej stronie bramy. Po wysłuchaniu mowy wójta jedna z dziewczyn, ubrana na białe, wręczy panu wojewodzie bukiet kwiatów, a „dzieuchy” zaśpiewają: „Witajże nam, witaj miły gospodarzu”, po czym pan wojewoda ze świtą uda się do urzędu gminnego, gdzie będzie „akademia” i gdzie każdy złoży panu wojewodzie raport.

- Po skończonej akademii pan wojewoda uda się do

62

dworu - podsumował wójt - a my w gminie urządzimy posiłek dla muzykantów i rady gminnej. A porządku będzie pilnować straż kamieńska, choć przedzynieki także chcą być w Kamieniu urzędowo. Uprzedziłem Jagielskiego, aby trzymał porządek i nie kłócił się z przedzyniekami, bo to dla gminy będzie wielki wstyd, kiedy się chłopcy za łby wezmą.

Po ustaleniu programu zaprosiłem wójta na jednego „urzędowego” i pożegnawszy go, zasiadłem do spóźnionego obiadu. Tak potrzebny dzień w polu miałem zmarnowany.

W czasie obiadu naradziłem się z Zosią co do przyjęcia u nas w dworze dostojnego gościa.

Mieliśmy doskonałego kucharza, dobrze wyszkoloną służbę, więc przyjęcie na dwanaście osób nie przedstawiało trudności. Moja żona, znająca się świetnie na kuchni, ułożyła z kucharzem cały spis

potraw, obliczając gości na około szesnastu osób. Ja zająłem się trunkami i ustaleniem ze służbą porządku wizyty, a więc:

Fornale ustawieni w krąg na trawniku przed dworem palną trzykrotnie z batów na wiwat wojewody po przekroczeniu przez niego bramy parkowej. Potem starszy wódarz Dziubek podejździe z raportem o stanie gospodarstwa, a po nim starszy gajowy Dobkiewicz o leśnictwie i zwierzostanie, po czym pan wojewoda wstąpi w podwoje naszego domu. Ustaliliśmy ze starostą, że obiad należy wyznaczyć na godzinę drugą.

Na tych przygotowaniach zeszedł nam tak drogocenny w gospodarce tydzień.

Wójt nauczył się na pamięć mowy, dziewczuchy nauczyły się pieśni powitalnej, dzieciaki wyuczyły się swojej roli, a mająca wręczyć panu wojewodzie bukiet mała i czerwona jak wisienka Jankowiakówna wyszkoliła się w dyganiu.

Najtrudniej było pogodzić obie orkiestry. Wreszcie uzgodniono, że kamieniaki zagrają Hymn Narodowy, a przedzinyaki jako bieglejsi w trąbieniu „Pierwszą Brygadę”.

Nadszedł wreszcie ów uroczysty dzień. Wszystko było

63

przygotowane. Zebraliśmy się wszyscy przy bramie tryumfalnej. Orkiestry jeszcze raz przeagrały wyznaczone im melodie. Wójt wyrecytował w obecności nauczyciela mowę powitalną. Przyjechał sam poseł na Sejm Felek Karśnicki i oczywiście Wejgocio ubrany w nieco ciasną czapkę strażacką, która z trudem trzymała mu się na czubku głowy.

Tymczasem we dworze kucharz przy pomocy podku-chennych przygotowywał pod okiem mojej żony jakieś nadzwyczajności. Miała być między innymi sławna kamieńska rolada z gęsi, wzbudzająca zawsze zazdrość wśród sąsiedztwa. Dwie wspaniałe gęsi, które wśród innego ptactwa nadal przechadzałyby się w podwórzu, położyły głowy na dzień przed tą uroczystością.

Minęło popołudnie. Staliśmy w nerwowym oczekiwaniu chwili, kiedy z obłoków kurzu wynurzy się samochód pana wojewody.

Dochodziła pierwsza, gdy do wójta podbiegł zdyszany posłaniec gminny, wykrzykując że pan starosta wzywa wójta niezwłocznie do telefonu.

Czekaliśmy z bijącym sercem co będzie. Wójt wrócił z miną zafrasowaną i oznajmił, że pan wojewoda z powodu ważnych spraw odłożył przyjazd i zjawi się w Kamieniu zapewne za dni dziesięć.

Byłem wściekły. Arogancja pochodzącej z „dołów” władzy była nie do zniesienia.

Jak się później okazało, wojewoda odłożył swoją lustrację z powodu przyjazdu do Łodzi pani senator generalowej Norwid-Neugebauer. „Przyjazd tej skromnie na pokojówkę urodzonej, a dzisiaj rozwydrzonej «gęsi» - myślałem - był dla pana Nowaka ważniejszy od zmarnowanego tyłu rolnikom czasu, i to w okresie letnim. Pseudonimami w typie Hauke i Norwid wrodzonego chamstwa się nie zmaże”.

Zaprosiłem wobec tego Felka Karśnickiego i Wejgta na obiad. Oburzenie mojej żony nie miało granic. Uprzątnięto czym prędzej nakrycia. Siedliśmy we czworo do stołu, ale ani świetne jedzenie, ani picie nie poprawiało nam na-

64

stroju. Prorządowy Felek starał się wytłumaczyć wojewodę, ale jego argumenty nie wytrzymały krytyki.

Byłem zły i unikałem spotkania ze starostą, który w gruncie rzeczy nie był temu winien i sam był nie mniej speszony od nas.

Po tygodniu starosta przyjechał do Kamienia i oświadczył, że tym razem wizyta wojewody na pewno nie będzie przełożona i wobec tego prosi nas bardzo, by jej przebieg odbył się według ustalonego programu.

Zaczęliśmy więc na nowo te same przygotowania. Wójt od nowa musiał wykuwać mowę powitalną, której treści zapomniał. Orkiestry na nowo od rana do wieczora trąbiły niemiłosiernie, przygotowując się do uroczystości, dziewczuchy zawodziły „Witajże nam, witaj...” i zbierały kwiaty na nowe girlandy. Mnie tylko głos wewnętrzny ostrzegał, abym nie śpieszył się z przygotowaniami. - Zosiu - upominałem żonę - radzę ci, daruj tymczasem życie gęsiom i poczekajmy, aż się wypadki

same potoczą.

Przecucie miałem słuszne, gdyż dwa dni przed wyznaczonym terminem starosta otrzymał z Łodzi oficjalne zawiadomienie, że pan wojewoda i tym razem zmuszony jest z powodu ważnych spraw odłożyć swój przyjazd.

Minęło parę tygodni, straciliśmy już nadzieję ujrzenia pana wojewody, gdy niespodziewanie spadła wiadomość, że za dwa dni wojewoda, tym razem definitywnie, ma przybyć do Kalisza, a od nas oczekuje się jego przyjęcia według ustalonego protokołu.

Zaczęły się więc gorączkowe przygotowania. Wójt na nowo poduczył się mowy. Orkiestry trąbiły niemiłosiernie, a kucharz kamieński przygotowywał obiad jak ustalono, na szesnaście osób, na godzinę drugą po południu.

Wreszcie nadszedł uroczysty dzień. Od rana mieliśmy wiadomość, że tym razem pan wojewoda jest już w obrębie powiatu kaliskiego i lustruje gminy położone w okolicy Brzezina, a na oznaczoną godzinę ma przybyć do Kamienia.

65

Przed południem zebraliśmy się ponownie na szosie przy bramie tryumfalnej, by jeszcze raz sprawdzić, jak mówił wójt, „czy wszystko klapuje”. Więc wójt, czerwony z przejęcia, wyrecytował mowę powitalną. Kamieniaki i przedzinyaki odegrały po kolei Hymn Narodowy i „Pierwszą Brygadę”. Dziewoje odśpiewały „Witajże nam, witaj...”

Na tych przygotowaniach zszedł nam szybko czas, a zbliżała się już godzina druga. Czekaliśmy w nerwowym napięciu na pojawienie się naszego dostojnika, ale na próżno. Przeszło pół godziny, potem godzina, półtorej godziny. Byliśmy wszyscy zmęczeni staniem, a w dodatku głodni. Żona moja raz po raz przysyłała posłańców po wiadomości, bo kucharz musiał tak wymiarkować, aby nie przypalić, aby nie przegotować, a tu ręce miał skrępowane, bo po wojewodzie w ogóle słuch zaniknął.

Nadeszła wreszcie godzina czwarta i gdy straciliśmy już nadzieję ujrzenia dostojnego gościa, ukazał się na horyzoncie obłok kurzu, z którego wyłonił się samochód pana wojewody, a za nim jeszcze kilka innych samochodów i autobus wiozący jego świtę.

Z samochodu wysunął się pan wojewoda ubrany w strój „oficjalny”, w meloniku na głowie.

Powagą i dostojnością tchnęła ta postać naszego wielkorządcy, przy którym, jak pamiętałem, car Rosji zachowywał się bardziej swobodnie i naturalnie. W dostojnym milczeniu wysłuchiwał mowy powitalnej wójta, który dzięki wielokrotnym próbom nauczył się jej jak „Ojciec nasz”. Mała Jankowiakówna, dygnawszy pięknie, wręczyła kwiaty. „Dzieuchy” odśpiewały pieśń powitalną, a orkiestry wytrąbiły Hymn Narodowy i „Pierwszą Brygadę” z taką energią, że stada spłoszonego ptactwa pociągnęły w stronę Dziecioła, aby się schronić w zaroślach.

- Panie starosto - rzekłem sucho - gdzieście tak długo zamarudzili?

- U młynarza Piechoty. On jest członkiem Sejmiku Wojewódzkiego. Zaprosił nas wszystkich do siebie, a że na tę intencję zabił dwa świnia, więc jedzenia było w bród.

66

1

Wszyscy jesteśmy przejedzeni, a szczególnie wojewoda, któremu nawet czkawka zaczęła dokuczać

- starosta starał się być dowcipny.

- Szkoda, żeście zmienili plan - powiedziałem wściekły. - Żona moja od dwóch godzin czeka z obiadem, a tymczasem widzę, że podwieczorek byłby bardziej na miejscu.

- Tak, panie prezesie, ale to siła wyższa. Wojewoda chciał podkreślić, że nie ma przesądów stanowych i nie robi różnicy między chłopem a ziemianinem, tym bardziej, że Piechota cieszy się na wsi wielką popularnością.

- To czemu przynajmniej nie daliście nam o tym znać?

- Piechota nie ma telefonu, a do gminy daleko, aby pchnąć posłańca. Niech pan prezes złoży to na karb obowiązków ciążących na barkach wojewody. Zresztą musimy się spieszyć, aby za wojewodą zdążyć do gminy.

Mimo otwartych okien powietrze w sali było „urzędo-wo-gminne”, a obecność notabli wiejskich przyczyniła się do jeszcze większej jego koncentracji.

Wojewoda otworzył oficjalnie akademię paroma komunałami, po czym usiadł w fotelu obitym ceratą, a należącym do pisarza gminnego. Wójt w swoim sprawozdaniu podkreślił osiągnięcia gminy, jak wybudowanie nowego mostu na rzece Swędrni „wedle tego traktu, co prowadzi do Koźminka” i że Koło Młodzieży Wiejskiej dostało nagrodę za wyhodowanie we wsi Morawin „fajnego świniaka”. Potem przyszła kolej na mnie i jako prezes dozoru szkolnego przedstawiłem dane dotyczące frekwencji dziatwy szkolnej, z których wynikało, że w okresie wykopków wahała się ona w okolicach zera. Na koniec Wejgt jako prezes Morawińskiej Straży Ogniowej zdał raport o wyczynach tej straży, jak i o nowych zakupach: beczkowie i dziesięciu metrach węża do sikawki ręcznej.

Na ogół lustracja wypadła pomyślnie tak dla wójta, jak i całej gminy, a wojewoda przechodząc koło przepisowo utrzymanych ubikacji, które zlustrował niemal profesjonalnym okiem, udzielił paru pochlebnych uwag i uznał gminę za wzorową.

67

Do dworu z całą świtą udaliśmy się pieszo i znowu wszystko odbyło się według ustalonego porządku, a więc strzelanie z batów, raporty wóldarza Dziubka i gajowego Dobkiewicza oraz powitanie dostojnego gościa na ganku przez samą dziedziczkę.

Niestety, sień dworu kamieńskiego wypełniła się gośćmi, których liczba prawie dwukrotnie przekroczyła zapowiedzianą. Zosię i mnie ogarnęła rozpacz, a tymczasem nadjechało jeszcze parę samochodów z urzędnikami województwa.

Nie było rady, musieliśmy naprędce dostawiać stoły i przygotować nakrycie na trzydzieści parę osób. Nastrój całej tej biesiady nie był wesoły i przyjemny. Wojewoda był bez humoru, gnębiła go czkawka i po wypiciu kieliszka starki, milczał do pierwszego dania, przegryzając rzodkiewką. Goście także mieli jeszcze w sobie niestrawione dowody gościnności naszego posła Piechoty, jednych jak wojewodę dusiła czkawka, inni byli senni, tak że nawet moja mowa na cześć „naszego wojewody” i wzniesienie toastu za jego zdrowie nie ożywiło atmosfery. Na dobitkę w czasie jedzenia usłyszeliśmy turkot motorów i przed gankiem stanęły dwa autobusy przepełnione dodatkową partią nieproszonych gości. Byli to różni kontrolerzy tak powiatowi, jak i wojewódzcy, reporterzy lokalnych dzienników, instruktorzy hodowlani i Bóg raczy wiedzieć kto. Wyszedłem na ganek, aby ich powitać i przeprosić, że nie oczekiwaliśmy ich przyjazdu i właśnie zasiedliśmy do stołu, ale po skończonym obiedzie będziemy radzi, jeżeli zechcą coś wypić i przekąsić.

- Nie ma co tu robić - ozwał się jakiś gniewny głos. - To u chłopa, pana Piechoty, tośmy byli wszyscy przyjęci z otwartymi rękami, a pan dziedzic to nawet nie raczy nas na obiad zaprosić. Usłyszałem jeszcze kilka „przyjemnych” epitetów pod moim adresem i pod adresem obszarników w ogóle, po czym szczęśliwie oba autobusy zniknęły w pomroce wieczora.

68

li Nie ma w Polsce zakątka ziemi bez szaraka, ale prawdziwą krainą zajęcy jest Wielkopolska, a rajem zajęczym jest żyzna, ciepła dolina kaliska. Na jej ciemnozielonych polach buraczanych, na pszenicznej rani, na łąkach koniczyny i rzepaku można było napotkać liczne stada zajęcy. W czasie ich wiosennych harców, pozbawionych ładu i porządku gonitw, raptownie na krańcu pola zakurzało się i kilkanaście szaraków pędziło w kółko, potem niespodzianie się wszystko uspokajało, aby nieoczekiwanie w środku pola znowu podniosła się z ziemi chmura kurzu. Czasem z tej chmury wyrwał się pojedynczy szarak, stawał słupka i bez widocznego celu kicał w stronę Zborowa lub Biernatek.

W kilka tygodni po takich harcach nadgajowy Dobkiewicz meldował przy raporcie wieczornym, że na Dzieciole widział pierwsze małe zajaczki.

Zając jest jedną z najkomiczniejszych, a jednocześnie jedną z najbardziej bezbronnych istot na świecie. Sprawy honorowe załatwiają zające pomiędzy sobą w sposób rozbrajająco nieskomplikowany. Stają słupka, popiorą się wzajemnie po pyskach i rozchodzą się w spokoju, każdy w inną stronę.

Chociaż zając jest najpospolitszą zwierzyną na ziemiach polskich, to jednak comber zajęczy z buraczkami, a w dodatku w sosie śmietanowym, jest zawsze mile widziany na stole jadalnym każdego przyjęcia. Toteż ziemianie w Kaliskiem stale mieli otwarte oko na to, co się dzieje w

świecie zajęczym, czy nie ukazały się objawy epidemii jak motyli-ca czy zajęczy pomór. Nie było środka na te zarazy, należało wystrzelać wszystkie widoczne chore sztuki i w rewirze trzymać lisy, bowiem lis spełnia rolę policji sanitarnej, niszcząc słabe lub chore sztuki.

Zwierzynie powinno się również zapewnić dostateczne pożywienie tak w ciągu lata, jak i w porze zimowej. W polu należy mieć remizy, obsadzone niską świerczyną, a obsiane trwałym łubinem. Skraje lasów trzeba zasiać słodkim łubinem i nie dopuszczać do halizn. Gdy nadejdzie zima, a śnieg pokryje grubą warstwą ziemię, gospodarz majątku

69

pilnie obserwuje czy zwierzyna nie zaczyna obgryzać kory drzew, co oznacza, że głód nastął w rewirze. Łowczy z pomocą fernali rozsypuje wtedy buraki pastewne, marchew czy pietruszkę, która jest przysmakiem zajęczym. Łowiectwo to poniekąd gałąź rolnictwa i hodowli i wymaga nie mniej pracy, cierpliwości i pilności od rolnictwa.

Łowiectwem w Polsce zajmował się ziemianin, chłop zaś tylko „żywemu nie przepuścił”.

Wszystkie te zabiegi pochłaniały sporo czasu i nawet środków, ale jaki był tryumf, gdy na dorocznym, jesiennym lub zimowym polowaniu padło w osiem strzelb około półtora do dwóch tysięcy szaraków.

Łowiectwo to również wieczna walka ze szkodnikami, z których najgorszym jest człowiek. Największym wrogiem zwierzyny, jak i całego rolnictwa w Polsce, był oczywiście sam pan minister rolnictwa Juliusz Poniatowski, dyletant rolniczy, który dla celów demagogicznych parcelował majątki. Znikała zwierzyna, spadały plony, a w prasie niemieckiej ukazywały się zdjęcia majątków zniszczonych przez przesiedlonych z Małopolski małorolnych, z tym samym zawsze podpisem „Polnische Wirtschaft”.

Polska była krajem myśliwskim, ale poza rewirami ziemiańskimi nie była jednak krajem łowieckim, a kłusownictwo było nie tylko tolerowane, ale opromienione legendą. Kłusownicy jak Sabala, który z swoimi góralami wyniszczył polskie Tatry z niedźwiedzi, kozic i świstaków przeszli do literatury, czego nie mógł zrozumieć mój znajomy książę Hohenlohe. On to, staczając walki z polskimi góralami, uchronił po słowackiej stronie rezerwat dawnej fauny tatrzańskiej.

Z kłusowników najbardziej podstępny i niebezpieczny jest sidlarz, ten złodziej kniei, który zastawia pętlę z drutu w najbardziej ukrytej gęstwinie, na przesmykach sarnich, na ścieżkach zajęczych lub w podszyciu leśnym w pobliżu remiz bażancich. Dla pętlarzy nie miałem litości, straży leśnej kazałem strzelać do nich śrutem, a wyłapanych walić po mordzie ile się dało. Nie miałem również litości dla włóczących się psów czy zdziczałych kotów i starałem

70

się ograniczać liczbę szarych wron i srok. Te ostatnie zwalczałem rozkładaniem jaj kurzych zatrutych strychniną. Z drapieżników musiałem tolerować obecność będących pod ochroną złotych orłów, które upatrzwszy sobie sterty nie-wymłóconego zboża, osiadły na stałe w Kamieniu, pustosząc stada bażantów. Tolerowałem również jastrzębie, które jak lisy spełniały rolę selekcyjnych sanitariuszy.

Natomiast nie tolerowałem kotów, których osobiście nie znoszę z powodu ich przewrotności, tchórzostwa i braku przywiązania. Kot w rzadkich wypadkach złowi mysz, a ze szczurami, tym najobrzydliwszym stworzeniem, żyje zwykle w zgodzie, po prostu się ich obawia, przypominając tym stosunek Europy do Rosji: koegzystencję wymuszoną wyolbrzymionym strachem. Kto lubi łąd w przyrodzie, a szczególnie ptactwo, ten nie powinien tolerować kotów, wygrzebujących łąpą pisklęta z gniazda.

Plagą kniei kaliskiej były króliki, które są szkodnikami pierwszej klasy tak w leśnictwie, jak i w rolnictwie. Gajowy Dobkiewicz polował na nie zazwyczaj z fretką. Fretka należy do rzędu najobrzydliwszych stworzeń. Jest to gatunek łasiczki koloru białego o czerwonych oczach. Stworzenie to kocha się we krwi. Dobkiewicz wkładał kaganiec na pysk trzymanej w klatce fretki, a na szyję dzwoneczek i wpuszczał ją do nory króliczej. Króliki jak szalone wyskakiwały, trafiając w sidła albo ginąc od strzałów. Bez kagańca fretki nie można wpuszczać, gdyż po wypiciu krwi z przegryzionego podgardla królika spokojnie zasypia w norze i trzeba kilku godzin, by wreszcie

zdecydowała się wyjść z jamy.

W Kamieniu była taka moc zwierzyny, że pola w pasie podleśnym były dosłownie wyjedzone. Gdy wypadało siał pszenicę, to trzeba było dzień cały trzymać chłopaków dla odpędzania bażantów. Osobliwością Kamienia była olbrzymia ilość saren, które pod jesień i w zimie trzymały się w wielkich stadach. Na wiosnę, w czasie rui, trzeba było dobrze pilnować granic rewiru, bo amatorów na kozła było u sąsiadów wielu.

Polowanie z podjazdu na kozła w piękny wieczór lub

71

wczesny poranek majowy ma w sobie tyle uroku, że mieliśmy dużo chętnych na odstrzał rogaczy. Przyjeżdżały do Kamienia takie znane w Polsce „strzelby”, jak hr. Władysław Komar z Bejsagoły na Żmudzi, Olutek hr. Kaszowski czy Lucio Pułaski lub Józek Radoński.

Unikałem natomiast rządowych i partyjnych dygnitarzy. Zdumiewające, jak ludzie niskiego pochodzenia, tacy jak oni, zaraz po dojściu do władzy, a w Polsce tym samym do pieniądza i przywilejów, nie znajdują zupełnie umiaru w pławieniu się niczym fretki we krwi w „pańskich uciechach”. Do myślistwa natomiast trzeba dorosnąć, a ci ludzie mimo najlepszego sprzętu ranili tylko zwierzynę i wyłamywali się z myśliwskiego kodeksu, przypominając tym Molierowskiego „mieszczanina szlachcicem”.

Jedynymi parweniuszami, których ze względów rodzinnych musiałem przyjmować, byli zięć mojej siostry gen. Sosnkowski i jego przyjaciel gen. Fabrycy. Z lasów dochodziły wtedy liczne odgłosy strzałów. Moja żona załamywała ręce:

- Mój Boże, oni gotowi wystrzelać wszystkie rogacze - denerwowała się, czekając z niecierpliwością myśliwych, ale zawsze było to samo: turkot linijki i schodzący z niej gen. Sosnkowski z mocno zażenowanym Dobkiewiczem.

- A gdzie rogacze? - nieogłędnie pytała Zosia.

- Jakoś nie miałem dzisiaj szczęścia - odpowiadał generał - może coś jest z moim sztucerem nie w porządku.

Znowuż turkot linijki.

- A gdzie rogacze? - Gen. Fabrycy w odpowiedzi macha rozpaczliwie ręką i pada ta sama przeważnie odpowiedź.

- Coś z moim sztucerem nie w porządku. Miałem kilka rogaczy na strzał, ale strzelałem pod słońce, więc chyba musiałem wziąć za nisko.

Drugi gajowy stał, milcząc, z pobłażliwym uśmiechem. Kiedy obaj inspektorzy armii wyjechali z Kamienia, gajowy Dobkiewicz relacjonował mi w wieczornym raporcie:

- Podwoziłem, jaśnie panie, generała do trzech rogaczy

72

na dystans nie dalszy niż 50 metrów, a między nimi był jeden prawdziwy „kapitalbock”, ale zaś pan generał wziął za wysoko. Także było i z drugim generałem, mówił mi jego gajowy, tylko u niego było za nisko. Widać generałowie mają do czynienia z armatami - wyjaśniał dalej - i w gruncie rzeczy powinni do każdej sztuki strzelać trzy razy. Pierwszy strzał „pierięt”, drugi „niedolot”, a dopiero trzeci centrum, czyli „popadaj”.

Jesień jest sezonem polowań, a prawidłowe polowanie i związany z tym odstrzał zwierzyny jest koniecznością. Zwierzostan nie odstrzelany na jesiennym polowaniu fizycznie marnieje i daleko łatwiej podlega różnym epidemiom.

Jesienne polowanie jest niczym żniwo, do którego gospodarz przygotowuje się cały rok.

Na początku już sierpnia wysyła się zaproszenia na polowania mające nastąpić w końcu października do początków grudnia. Najlepsze „strzelby” mają w okresie polowań czas tak zaangażowany, że łatwo ktoś może ubiec i zaprosić taką strzelbę do siebie, a przecież chodzi o to, by na takie polowania jak w Kamieniu zapraszać tylko elitę myśliwską, a nie różnych przygodnych amatorów lub fuszerów, kaleczących lub przepuszczających zwierzynę, nie trzymających się dyrektyw gospodarza polowania i „robiących w kotle gruszkę”. Na polowanie w Kamieniu zapraszałem co najwyżej osiem strzelb, za to znamienitych, wystrzegając się tłumnych polowań, nieprzyjemnych ani dla myśliwych, ani dla gospodarza. Tylko czasami liczba ta była powiększana

jakaś sławną strzelbą z innej dzielnicy, jak księżę Andrzej Lubomirski z Przeworska, prezes Świętorzecki z Wileńszczyzny, Karol Wagner z Sołecznic. Stałymi gośćmi byli myśliwi miejscowi: Józek Radoński z Żelazkowa, Lucio Pułaski z Grzemiszewa, Leonek Bronikowski z Że-gocina, Seweryn Chrzanowski z Jastrzębnik, młody Murzynowski z Kalinowej i Żywanowski z Osuchowa. Przeciężny „rozkład” wahał się zwykle od 150 do 200 sztuk zwierzyny na myśliwego do upolowania w krótkim dniu

73

późnej jesieni. Przy takim nagromadzeniu zwierzyny jak w Kamieniu, trzeba było polować przy użyciu dwóch strzelb podawanych myśliwemu przez jego strzelca.

Plan polowania układało się zazwyczaj na kilka tygodni przed oznaczonym terminem. Ze zrozumiałych względów ścisła data polowania do ostatnich dni chowana była przed miejscowymi w tajemnicy, bowiem złośliwy sąsiad, dowiedziawszy się o dacie, mógł tym lub innym sposobem przyciągnąć zwierzynę na swój teren, a kłusownik, dowiedziawszy się o polowaniu, podpilnować na granicy.

Do tajemnicy dopuszczeni byli jedynie starszy gajowy Dobkiewicz i starszy wódarz Marcin Dziubek, bo to z nimi ustalało się całe polowanie. Z Dziubkiem należało wyznaczyć po dwóch numerowych na każdego myśliwego. Numerowi byli to zwykle sprytni chłopacy, których rola polegała na podbieraniu zwierzyny, a często i podkradaniu od nieuważnego sąsiada, by tym przyczynić się do zwiększenia rozkładu swojego strzelca.

Dziubek był świetnym psychologiem i zawczasu wiedział komu jakiego przydzielić numerowego: - Ade jaśnie panie, dla pana Pułaskiego to ino Ścieżyk Szczepan będzie dobry, bo pan Pułaski to bardzo nerwowy i w zeszłym roku to mnie nawet zezwał, żem mu dał innego numerowego. Pod bezpośrednim dozorem Dziubka byli także naganiacze, skrzydłowi rozprawdzający nagonkę i dziesiętni-cy. Szczególnie przy ustaleniu kotłów trzeba było obmyślić jak rozstawić nagonkę i myśliwych, aby wszyscy posuwali się ku środkowi jednocześnie, by nie tworzyć „gruszek”, do których zbiegałyby się zające. Obowiązkiem Dobkiewicza było dać sygnał trąbką i zatrzymać kocioł, aby myśliwi nie strzelali już dalej do środka kotła, tylko na zewnątrz. Dobkiewicz, sam na koniu, miał dwóch konnych pomocników i z nimi kierował polowaniem. Na dzień polowania wkładał uroczysty strój łowczego, a więc ciemnozielony uniform strzelecki, kordelas u pasa i ciemnozielony kapelusz z piórkiem. Reszta leśnej służby miała czapki z zielonymi „ob-szlagami” z mitrą należną memu herbowi.

74

Należało także wyznaczyć bryczki rozwożące myśliwych. Wybierano najlepsze konie i najlepszych fernali poubieranych na ten dzień w burki i granatowe maciejówki, również z mitrą księżęcą. Każda bryczka miała swój numer, by każdy myśliwy znał swój pojazd, a każdy z fernali wiedział gdzie ma podwieźć swoich panów.

Kaliszanie zwykli byli przyjeżdżać na polowanie z swoimi strzelcami, którzy siadali obok woźnicy, trzymając nie nabite dubeltówki lufami do góry.

Wreszcie trzeba było wyznaczyć kilka czterokonnych fornalek na odwiezienie z lasu zwierzyny, przygotować drażki, na których zwierzyna powinna być rozwieszona, aby przez wzajemny dotyk nie „pozieleniała”, bo odbiorca takiej nie przyjmie.

Stary Dziubek, ojciec Marcina, miał poleczone, aby zebrał odpowiednią liczbę dziewczyn, by natychmiast po odwiezieniu na spichrz „dać zwierzynie tualetkę”, to znaczy wyczesać, obmyć ze krwi, odrzucić postrzałki lub zwierzynę rozwaloną niebacznie bliskim strzałem.

Zawczasu trzeba było również zawiadomić posterunkowego Graczyka, aby przybył ze swoimi policjantami do pilnowania granic i „łowienia” kłusowników.

W końcu należało umówić się z hurtownikiem z Kalisza o cenie zajęcy, bażantów oraz o dniu i godzinie dostawy.

Moja żona nie mniej była zajęta przygotowaniem polowania, odbywając długie narady z kucharzem i ochmistrzynią. Sztuka kulinarna stała w Kaliskiem bardzo wysoko i trzeba było ułożyć takie menu, aby niebacznie nie powtórzyć tego, co myśliwi mieli lub mogli mieć u sąsiadów. Trzeba było również zakupić kiełbasę, chleb i wódkę dla nagonki.

Dzień polowania zaczynał się wcześniej. Śniadanie musiało być gotowe o wczesnym, szarym jeszcze ranku, a o godzinie 12 zawożono do lasu kotły z gorącym bigosem.

Myśliwi wracali z lasu już o zmroku, tak że kolacja była podana późnym wieczorem, by panowie mogli przebrać się we fraki, a panie w stroje wieczorowe.

Już na parę dni przed polowaniem myśli spędzały mi sen

75

z oczu. Zaglądałem do lasu огоłoconego z liści, gdzie rozstawiono płotki i numery na wyznaczonych stanowiskach. Niskie, szare niebo wisiało nad ziemią, w powietrzu czuć było zapach grzybów i jesiennej zgnilizny. „Daj Boże, by dzień był pogodny” - prosiłem, bo nieprzewidziana ślota lub wichura mogła zepsuć cały doroczny dorobek rewiru.

Nadchodzi wieczór przed polowaniem. Na kolej posłano samochód po gości z daleka. Idziemy spać wcześniej. Przed wejściem do łóżka stoję jeszcze w oknie i z niepokojem patrzę na czarny firmament, na którym od czasu do czasu, poprzez płynące z wiatrem jesiennym chmury ukazują się skrawek nieba i kilka gwiazd.

Nad ranem pędzę znowuż do okna. Jeszcze ciemno, ale gdzieś daleko na zachodzie niebo zaczyna różowieć pierwszą zorzą wschodzącego dnia. W kilka minut jestem już ubrany. W dworze i podwórzu panuje ruch. Słyszę głosy zebranej nagonki, słyszę głośny bas włodarzy i gajowego Dobkiewicza. Służba krząta się koło śniadania.

Pierwszą spotkaną na dworze osobą jest stróż nocny Wałęsiak.

- Jak tam, Wałęsiaku, z pogodą? - pytam

- Ade proszę jaśnie pana, fajnie podmarzło, to pewnikiem będzie pogoda.

„Boże, co za radość - pogoda - ciężki kamień spadł z serca”. Ten nastrój udziela się i gajowemu Dobkiewiczowi, i włodarzom, i całej służbie folwarcznej. Dzień zapowiada się pogodny i cichy, bo wrony ciągnęły od Biernatek.

Już szarzej. Dwór jest rzęsiście oświetlony. Słyszę turkot podjeżdżającego samochodu. Na progu staje pierwszy z miejscowych myśliwych, Lucio Pułaski, wysoki, dorodny młody człowiek ubrany w kozuszek. Widać po nim, że wyszedł ze szkoły podchorążych kawalerii w Grudziądzu.

Podjeżdżają kolejno samochody. Strzelcy zabierają broń.

W sali jadalnej gwaro i wesoło. Apetyt dopisuje. Sprawdzam: są już wszyscy.

76

Na dworze odzywa się trąbka. Sygnał do siadania do bryczek. Nagonka czeka w polu.

Pierwsza strefa na dzierzawionych chłopskich terenach. Uprzedzam, że ten miot jest najgorszy.

Chłopi powtarzają zwykle ze śmiechem:

-A dy, polowanie to pana dziedzica, ale zajace to nasze.

Odzywa się sygnał. Ruszyła linia nagoniaczy, a wśród nich rozstawieni myśliwi.

W towarzystwie chłopca stajennego oczekują pierwszych strzałów. Przejść bez strzału pierwszy miot, choćby dzierzawiony, to przecież wielki wstyd. Z wysokości linijki widzę jednak, że na polu jest ruch. Kilkanaście szaraków przebiega pole w różnych kierunkach, ale żaden nie zawraca przez nagonkę - wszystko mknie ku terenom dworskim.

Pada pierwszy strzał, a potem drugi, trzeci, a potem cała kanonada.

Linia strzelców i nagonki wychodzi na szosę kaliską oddzielającą pola kamieńskie od chłopskich.

Wszystko staje. Za linią posuwa się fornalka, zabierając zabita zwierzyne.

- Jak na chłopskie pola to wcale dobrze - słyszę przyjemne uwagi.

- Dobkiewicz, wiele padło? - pytam z niepewnością.

- Sześćdziesiąt jedna sztuka, herr baron - melduje z niemiecką nadleśny.

Myśliwi wsiadają na swoje bryczki. Nagonkę rozwozi się fornalkami.

Zaczyna się prawdziwe polowanie... Pierwszy, mniejszy kocioł obejmuje pola od kolonii

Magdalenowa aż po drogę zborowską. Myśliwi muszą się śpieszyć na swoje stanowiska, bo co krok zrywa się szarak. Wreszcie kocioł zamknięty i obstawiony. Odzywa się sygnał.

Jadę wzdłuż zborowskiej drogi i z radością słyszę częste strzały, które wkrótce przechodzą w jedną nie milknącą kanonadę. Raz po raz przez rzadko na początku obstawioną linię wymyka się szarak i pędzi wyciągniętymi skokami na środek olbrzymiego kwadratu uprawnych pól ka-

mieńskich. Odzywa się trąbka. Pierścień otaczający miot zwęził się. Znak, że myśliwi muszą strzelać tylko na zewnątrz.

Wreszcie ostatni sygnał, wszyscy stają, numerowi znoszą zajęce na środek kotła, gdzie przy tycze z chorągiewką stoi sam Pietrzak, specjalista od układania zwierzyny.

Nadleśny zeskakuje z konia. Każdy ze strzelców podaje ilość zabitych zwierząt. Rezultat w tym najmniejszym kotle: około 200 sztuk. Czuję wielką ulgę. Polowanie zapowiada się dobrze. Józio Radoński pokrzykuje: - Zrobiłem aż dwa dublety. - Dobry nastrój udziela się i nagonce. Nie ma jednak czasu na rozmowy. Przed nami największy kocioł i owa sławna, kamieńska strefa leśna, a przecież dzień jest krótki, a przed posiłkiem trzeba zakończyć i ten kocioł, i leśną strefę. Wszystko idzie jak z płatka, bez gwałtu i zamieszania, ale mimo pośpiechu okrażenie kilkuset hektarów zajmuje jednak nieco czasu.

Wreszcie olbrzymi teren zostaje otoczony. Na początku nagonka jest tak rzadko rozstawiona, a strzelcy tak daleko od siebie, że jeden drugiego zaledwie widzi. Zwykły kłopot przy wielkich kotłach i małej ilości myśliwych.

W miarę schodzenia krąg coraz bardziej się zawęża, aż wreszcie przychodzi chwila, kiedy odległość między myśliwymi skraca się do około stu metrów. Wówczas sygnał. Myśliwi stają, a nagonka rusza od środka. Strzelcy mają prawo strzelać tylko na zewnątrz kotła. Miot się rozpoczął. Kocioł zaczyna się powoli, miarowo a równomiernie zawężać.

Obserwuję z daleka przebieg kotła. Tu i ówdzie szarak przedziera się na zewnątrz. Mała szkoda, pozostanie ich więcej na rozplód. Rudle saren krążą niespokojnie w kotle, wreszcie decydują się przerwać do pobliskich lasów. Jedna za drugą przeskakują przez nagonkę, choć zapewne wyczuwają własne bezpieczeństwo. Do saren się nie strzela, a rogaczy o tej porze nie można odróżnić od kóz, bo mają porzucane rogi.

W środku kotła roi się od szaraków. Z niedooranych jesz-

cze ostatków poplonów zrywają się barwne bukiety bażantów. Kanonada nie ustaje. Numerowi nie mogą zdążyć z podbieraniem zabitej zwierzyny. Ludzie z nagonki także wloką za skoki po kilka zajęcy. Znowu sygnał. Wszystko staje i teraz ze środka na wszystkie strony sypią się szaraki. Myśliwy odbiera kolejne strzelby od stojącego za nim strzelca, który nie nadąża z nabijaniem. Wreszcie schodzą się wszyscy na środku koło Pietrzaka stojącego z chorągiewką. Zwierzyna zostaje szybko rozłożona. Nadleśny rachuje rozkład. Z górą 400 sztuk szaraków, nie licząc kilkudziesięciu kogutów bażancich.

Nagonkę tymczasem przewożą pośpiesznie na granice lasów kamieńskich, które ciągną się na kilka kilometrów, zajmując szerokim pasem północną część majątku.

Każdy z bijącym sercem oczekuje nagonki w tej sławnej na całe Kaliskie strefie leśnej, niejeden z tej strefy wyjdzie z popuchniętym, a często pokrwawionym policzkiem.

Wreszcie nadjeżdżają myśliwi. Największe „brzytwy” stawia się w środku strefy, myśliwych starszych zaprasza się na flanki. Strzelanie w lesie do zrywających się zajęcy wymaga młodej i wprawnej ręki. Nie można się dziwić, że na środku umieszczam Lucia Pułaskiego, Józka Radońskiego, młodego Krzyżanowskiego, jest tam Przyłuski, bywał na środku i książę Andrzej Lubomirski „plujący” z dwóch brauningów, świetny strzelec mimo swego już podeszłego wieku. Głos trąbki. Szara linia powoli posuwa się wzdłuż lasu. Myśliwi są w odległości 150 metrów od siebie. Jadę z tyłu linijką z praktykantem, pilnując aby fornalki nadażały za myśliwymi.

Zaczyna się kanonada. Słysząc bez przerwy głos strażów, które zlewają się w jeden przeciągły huk. Raptem, już po 10 minutach odzywa się trąbka. Wszyscy stają.

- Co takiego? - pytam z niepokojem.

- Panie baronie, zaś trzeba podebrać zwierzynę - odpowiada Dobkiewicz.

Chwila przerwy, po czym linia rusza ponownie.

Nie przeszedł kwadrans, kiedy znowu sygnał i tak kilka razy aż do końca strefy.

Kilka czterokonných fornalek z trudem nadażało cwałem dojeżdżać do dworu i po wyładowaniu

zwierzyny wrócić do kniei po następną jej partię.

Cichy, spokojny las, w majestatycznych barwach jesieni, zmienił się dla ludzi niewtajemniczonych w jakąś straszną rzeź. Myśliwi nie mają jednak czasu, aby rzucić okiem na cały niewysłowiony czar przyrody, nie widzą jak się zmieniają poszczególne fragmenty lasu, przebiegając zaciszne zakątki, gdzie wznoszą się w niebo konary rozłożystych dębów, by po chwili wejść w złotawe kolumny gonnego boru sosnowego lub przedzierać się przez gąszcz splątanej leszczyny. Przed nimi migają tylko zające: to z prawa, to z lewa, to z przodu, to z tyłu. Strzelcom dążącym za nimi ręce mdleją od przerwania broni.

Wreszcie ostatkami sił dochodzą do skraju lasu. Sygnał. Strefa staje.

Przejeżdżam linijką wzdłuż strefy.

- Wiele masz na rozkładzie? - pytam.

- Ja już nic nie wiem - mówi myśliwy, siadając na pieńku, i ociera chustką czerwoną, wilgotną od potu twarzy.

Jedynie nadleśny zachowuje spokój. Z rozważą liczy zwierzynę. Cztery bowiem razy zatrzymywano strefę dla wyrównania i złożenia szaraków na wozy.

Z niepokojem spoglądam na zegarek.

- Panowie, teraz będzie pędzenie na bażanty i króle. Proszę za mną na stanowiska.

Przezorny Dobkiewicz, znając bażancie zwyczaje wymykania się gdzie można, zawczasu obstawił drogę oddzielającą lasy od zagajów dzięciolskich.

- Czy dużo bażantów przeszło na Dzięcioł? - pytam nadleśnego.

- Nie, panie baronie, wszystkie tutaj siedzą - mówi Dobkiewicz, wskazując na pobliskie zagajniki.

Myśliwi już rozstawieni. Każdy stoi za swoim płotkiem. Zalega raptowna cisza, wiem jednak, że to cisza przed

80

burzą. Bażanty zbiegają na nogach ku skrajowi zagaju, szelmy przycziły się. Z flanków dolatuje odgłos dwóch pojedynczych strzałów. „To pewnie lisy”, myślę. Raptem odzywa się jeden strzał, drugi, trzeci, na całej linii słychać kanonadę. Bażanty przyciśnięte do skraju zagajnika zrywają się barwnymi, złotymi bukietami. Numerowi ledwie mają czas podbierać ptactwo u siebie i u sąsiada. Trąbka. Miot skończony. Nagonka wychodzi na brzeg. Czas na posiłek. Ogarnia mnie niepokój. Szkoda każdej chwili. Ale tuż za nagonką słychać turkot bryczek. Oddycham z ulgą. To Zosia w asyście służby. W mig wyjęto kotły z bigosem. Nalewam kieliszki.

- Lej jeszcze jednego - słychać głosy. - Co za świetny bigos. - Zosia rozjaśniona:

Podchodzę do stojącej nieopodal nagonki, gdzie Dobkiewicz rozdziela kiełbasę i ciepłe jeszcze chleby. Przypi-jam do nadleśnego i włodarza, po czym puszczam „podwójną urzędową” w ruch i wracam do gości.

Nastrój jest radosny, bigos szybko znika, robi się gwarno.

- Tego koguta to mi sprzątnąłś - mówi Lucio do Józka.

- A, tak przypadkiem. - Wszystko załatwia się polubownie i nie dochodzi do ostrzejszych sporów o „bażanci ogon”. Ale czas nagli. Odzywa się trąbka. Nagonka rusza, aby się ustawić w zagajach dzięciolskich. Myśliwi przechodzą na drugą stronę szosy i zajmują stanowiska. Następuje pędzenie jedno po drugim. Są to mioty królicze.

Króliki niczym kule przelatują przez dukt. Strzał do królika należy do najwyższej sztuki strzeleckiej, ale moi goście „wałą bez pudła” i wkrótce koło każdego z myśliwych leży szara kupa tych nienawistnych dla mnie stworzeń. Dobkiewicz zawczasu zdążył pozatykać nory, więc całe to bractwo jest na powierzchni ziemi i nie ma czasu, aby się ponownie wkopać. Mioty królicze to jedynie przyjemność dla myśliwych, aby wykazać swą zwinność i celność.

Słońce już się zniża. Gdzieś na północy zbierają się

6 - Requiei

81

ciemne chmury zapowiadające szarugę. „Jakie to szczęście, że Bóg dal na dziś pogodę” - spoglądam w niebo z wdzięcznością.

Połowanie zbliża się ku końcowi. Pozostaje jeszcze kilka świetnych miotów na bażanty w remizach

na Dzieciole.

Myśliwi stają w jednej linii w odległości kilkudziesięciu metrów od siebie. Nagonka zachodzi cicho od zagajników i powoli posuwa się ku remizom przylegającym do skraju niewielkiego, brzozonego gaju.

Dobkiewicz z trudem utrzymuje ciszę, bo nagonka jest po paru „urzędowych”.

- Ade lis, lis! - wola ktoś.

- Cicho, gdzie ten lis? - pyta nadleśny

- Ade, wyłazi z „chęców” - jeden z nagonki pokazuje na chłopaka z Przedzyna o nazwisku Lis. Śmiechy.

- Ciszej, wy selery - upomina wódarz Dziubek. Wreszcie wszystko się „wyrzytowało”, uciszyło. Sygnał.

Nagonka rusza.

Martwa cisza zalega miot. Każdy z myśliwych ściska w garści dubeltówkę i półgłosem zapytuje swojego strzelca czy ma jeszcze dosyć naboju w torbie. Z tym nie ma kłopotu, przygotowałem ich dostatecznie dużo.

Wciąż cicho, bażanty na piechotę zmykają w stronę linii strzelców.

Raptem zaszumiało od skrzydeł i barwne bukiety bażantów jak fajerwerki zaczerwieniły się na tle szarzejącego już nieba.

Zaczyna się kanonada. Strzelają celnie. Kogut trafiony dobrym strzałem łamie się w powietrzu i ciężko spada na ziemię. Koło każdego z myśliwych piętrzy się sterta tych pięknych ptaków. Jest wśród nich niestety i kilka starych kur, które czasem w pośpiechu trudno rozróżnić od koguta, szczególnie gdy strzela się pod słońce. Trudno.

Czas kończyć, robi się już szaro, ale nie można przepuścić ostatniego jeszcze kotła na polach dzieciolskich. Jest tam sporo szaraków i bażantów ukrytych w remizach młodej jedliny.

82

Nagonka znowu rozstawiona jak do kotła. Ponownie sygnał.

Zanim okrążono Dziecioł, mrok wieczorny zapada już nad ziemią. Zabłyły światelka w oknach chat wsi Kamień. Mimo trudności myśliwi rulują jednego zająca za drugim. Strzelanina nie ustaje. Wreszcie koniec kotła. Znow na rozkładzie paręset zający. Polowanie skończone. Dobkiewicz bierze za trąbkę i misternie oznajmia powrót do domu.

Jest już ciemno, kiedy podjeżdżamy pod boczny zajazd dworu. Kilka dziewczuch wyciera obuwie, aby nie nanieść błota do pokojów.

- Panowie, zdejmujcie buty, wkładajcie pantofle - proszę - i chodźcie na podwieczorek.

Sień napełnia się myśliwymi. Wszyscy są umęczeni, ale radośni. W holu pachnie aromatyczną, mocną herbatą, którą Zosia nalewa ze srebrnych czajników. Na stołach wypieki, owoce.

Po podwieczorku jedni zasiadają do brydża w bibliotece, inni zmęczeni idą się przespać do swoich pokoi.

Nadchodzi Dobkiewicz. Polowanie się udało. Ogólna liczba zabitej zwierzyny: 1600 sztuk, nie licząc królików. Kłopot, kto ma najwięcej na rozkładzie, bo panowie Ra-doński i Pułaski mają po równo... dobrze, będzie dwóch króli i mało zawiści.

Gdy myśliwi odpoczywają, mnie czeka jeszcze niemało roboty. Trzeba zajrzeć w podwórze, sprawdzić czy wszystko jest tam w porządku, trzeba zajrzeć na spichrz, gdzie kilkanaście dziewcząt robi zwierzynie „tualetkę”, trzeba zobaczyć czy fornalki przygotowane do wczesnego wyjazdu ze zwierzyną na kolej.

Tymczasem telefon się obrywa: to hurtownik, to do gości, to dostawcy.

Trzeba jeszcze pamiętać o zającach dla proboszcza, dla pisarza gminnego, dla posterunku policji w Cekowie, trzeba też obesać tego lub innego przyjaciela z sejmiku lub starostwa, nawet posłać zająca panu Cichemu, mistrzowi

83

fryzjerskiemu w Kaliszu. Prawda, jeszcze organista i zakrystian.

Żona ma również sporo spraw na głowie i coraz zagląda do kuchni sprawdzić, czy szef nie wypił dla animuszu zbyt wielu kieliszków.

Zbliża się dziewiąta. Już we fraku obchodzę pokoje gościnne przypominając, że jest pora na przebranie się.

Zajeżdżają samochody z zaproszonymi gośćmi. Wśród nich pani Chełkowska obwieszona egzotyczną biżuterią z Sumatry czy Jawy, oraz Wanda, piękna siostra mojej żony.

Dwór zajaśniał dziesiątkami świateł, które łamią się i grają ogniami na kryształach kandelabrow i brylantach pań. Salon się zapełnia. Robi się gwarno. Każdemu na usta cisną się opowiadania o chwilach przeżytych w kniei; ten zrobił dubleta do lisów, tamten zastrzelił bażanta z odległości 80 metrów...

Służba tymczasem wtacza do salonu stoliki z półmiskami małych kanapek z kawiozem i różnymi innymi dodatkami. Ja krzątam się koło wódek i nalewek. Służba sprząta stoliki z tacek i naczyń. Przechodzi kilkanaście minut. Drzwi do sali jadalnej otwierają się na rozcież. W drzwiach staje stary Marcin w odświętnym fraku liberyjnym.

- Proszę jaśnie państwa do stołu.

Goście siadają na oznaczonych miejscach. Przychodzi pora egzaminu umiejętności kulinarnych Zosi, której policzki różowią się z podniecenia. Ja zrywam się coraz od stołu, by sprawdzić temperaturę burgunda i czy szampan jest dobrze zamrożony.

Podają zupę. Rozmowy milkną. Goście z aprobatą dają sobie znak głową. Ja nalewam rudesheima. Nadchodzi drugie danie. Ponownie grobowa cisza, a potem szept: - Co to może być, że jest takie niezrównane?

Dania następują jedno po drugim. Służba rusza się cicho i sprawnie pod dyskretnym okiem Zosi. Jedno skinienie i w mig jest zrozumiana.

84

Marcin nalewa do szerokich kieliszków perlisty szampan.

Wstaję i wznoszę zdrowie królów polowania.

Po deserze wszyscy przechodzą do salonu. Część gości zasiada do brydża. Podają czarną kawę, koniak, likiery i modną ostatnio whisky & soda.

Misterium polowania zbliża się ku końcowi. Wywołują mnie dyskretnie z salonu.

- Proszę jaśnie pana, posterunkowi z Cekowa chcą się pożegnać.

- Bardzo się łoży panu dziedzicowi udały - winszuje Graczyk. Uściśnienie dłoni i wręczenie małego upominku.

- Panie Dobkiewicz, czy pan wydzielił panom posterunkowym zajęcy?

- Żeby zaś nie - mówi już dobrze podchmielony i przepełniony tryumfem nadleśny.

Wracam do gości. Mimo zmęczenia rad jestem z polowania, rad jestem z nastroju, z widoku tego całego miłego towarzystwa. Zabawa zaciąga się dobrze po północy.

Goście rozjeżdżają się lub udają na zasłużony odpoczynek. Zostaję z Zosią na chwilę sam, aby odświeżyć miłe wspomnienia tego jesiennego dnia. Nie czuję już teraz nawet znużenia, choć mam za sobą dwie bezsenne noce i cały dzień prowadzenia polowania.

Nazajutrz z samego ranka, kiedy jeszcze szaro, Dobkiewicz z wyżłem i kilku ludźmi przeszukuje cały las, zbierając postrzałki lub chore sztuki.

Goście się rozjechali. Cisza zaległa we dworze, cisza zaległa i w kniei. Pogoda się zmieniła. Po szarym niebie jesienny wiatr pędzi ciężkie, ołowiane chmury, miota zeschniętym liściem i wyje po kominach. Ale jakże miły jest odpoczynek po polowaniu, gdy czuję, że każdy z zaproszonych gości wywiózł w sercu coś, co pozostaje na zawsze w duszy ludzkiej - miłe wspomnienie... Hej, te wspomnienia...

Głapy ciągną od Biernatek.

85

Od dzieciństwa miałem sentyment do munduru i wojska. Ojciec mój był wojskowym, stryj Wojciech był wojskowym, stryj Stefan był wojskowym, pradziad był wojskowym, a przedtem był cały szereg chorążych dawnych wojsk polskich.

Oczywiście należałem do Związku Oficerów Rezerwy, do Pogotowia Konnego, czas jakiś byłem prezesem Białego Krzyża i brałem zwykle udział we wszystkich świętach wojskowych w Kaliszu. Gdy osiadłem w Kamieniu, a szczególnie, gdy objąłem prezesurę Związku Ziemian, utrzymywałem

przyjacielskie stosunki z wojskiem i jak mogłem, współpracowałem z garnizonem kaliskim. Garnizon kaliski składał się z pułku artylerii polowej, którym dowodził pułkownik Czesław Szystowski rodem z Mińszczyzny i z Pułku Piechoty Strzelców Kaniowskich, którym pierwotnie dowodził pułkownik Górski, a po nim pułkownik Okulicz-Kazaryn.

Część tych pułków kwaterowała w Kaliszu, część zaś w dawnych koszarach w pobliskim Szczypiornie, dawniejszym pogranicznym punkcie rosyjskim.

W Szczypiornie były składy intendentury i magazyny wojskowe, a że byłem jednym z poważniejszych dostawców owsa dla garnizonu kaliskiego, przeto zaprzyjaźniłem się z tamtejszymi oficerami prowiantowymi, których w skrócie nazywałem „owsiarzami”.

Sztab dywizji mieścił się w Kaliszu. Pierwszym dowódcą dywizji był generał Wróblewski z dawniejszej służby austriackiej, a po nim nastąpił generał Albin Jasiński z dawniejszego wojska rosyjskiego.

Tak swoim zachowaniem, jak i pracą nad żołnierzem i jego wyszkoleniem bojowym garnizon kaliski służyć mógł przykładem. Nie było tu nigdy awantur ani pijaństwa, ani strzelania z rewolweru w nocnych lokalach, co nieraz przytrafiało się w stolicy.

Wojsko było świetną szkołą dla młodzieży wiejskiej i każdy, kto wrócił z wojska po odbyciu owych trzech lat służby

był już innym człowiekiem, dobrze piśmiennym, a głównie dobrze myślącym. Najchętniej też przyjmowałem do pracy takich młodych chłopaków po wojsku, gdyż swoim zachowaniem i godnością wyróżniali się spośród rówieśników.

Byłem więc głęboko oburzony nietaktownymi wypowiedziami starej pani Jabłonowskiej, która swoim złośliwym językiem obraziła w obecności rodzin wojskowych miejscowy korpus oficerski.

Skorzystałem wobec tego, jako prezes Związku Ziemian, z zaproszenia do wzięcia udziału w uroczystym spotkaniu Nowego Roku w garnizonie, by w imieniu ziemian sprawę załagodzić.

Ubrałem się we frak, zawiesiłem moją komandorię na szyi i stawilem się przed północą w kasynie garnizonowym. Była to już ostatnia chwila, gdyż z galerii zagrzmiały naraz trąby na znak, że Nowy Rok już się rozpoczął.

Złożyłem gen. Jasińskiemu życzenia dla korpusu oficerskiego w imieniu całego ziemiaństwa, po czym wyczekawszy odpowiedniej chwili wzięłem na stronę generała, aby mu wytłumaczyć całe nieporozumienie spowodowane nietaktem jednej osoby.

- Najzupełniej pana rozumiem, panie prezesie - rzekł generał. - Po pańskich wyjaśnieniach uważam sprawę za zakończoną, o czym nie omieszkam zakomunikować korpusowi oficerskiemu... Czuję się jednak nieco przeziębiony - dodał - wobec tego proponuję, abyśmy korzystając z przerwy wypili kieliszek koniaku.

Przeszliśmy do pustej jeszcze sali bufetowej i stanęliśmy przy bufecie gęsto obstawionym butelkami i zakąskami.

- Proszę o dwa kieliszki martela, tego z trzema gwiazdkami - zarządził generał. - Pańskie zdrowie! - trąciliśmy się kieliszkami.

- Pan generał pozwoli, że wypijemy jeszcze po jednym - rzekłem.

- Oczywiście - odparł generał - z panem prezesem zawsze chętnie służę do kompanii.

- Zdrowie pańskie, panie generale! - rzekłem, trącając się kieliszkiem.

87

W tej właśnie chwili wkroczył na salę Felek Karśnicki, prezes Związku Oficerów Rezerwy i nieodzowny uczestnik wszystkich uroczystości wojskowych.

- Co za miły zbieg okoliczności - zawołał Felek - pan general razem z naszym prezesem. Panie, proszę trzy kieliszki - zwrócił się do bufetowego. - Trzy kieliszki i trzy gwiazdki martela to dobry początek nowego roku. Zdrowie pana generała, za pomyślność Nowego Roku! - rzekł Felek, trącając się kieliszkiem.

- Proszę o trzy tego samego - rzekł generał wychyliwszy kieliszek. - Rad jestem, że widząc panów mogę wznieść zdrowie ziemian kaliskich!

- Panie generale - rzekłem, mrugając do Felka - pan generał nas uprzedził, to my raczej powinniśmy wznieść zdrowie korpusu oficerskiego na ręce pana generała. Proszę o trzy martele - zwróciłem się

do bufetowego.

- Oczywiście - zawołał Felek - niech żyje korpus oficerski garnizonu kaliskiego! Wychyłam ten kielich z podwójnym entuzjazmem, bo właśnie widzę naszych dwóch dowódców: pułkownika Szystowskiego i pułkownika Okulicz--Kazaryna.

- Proszę o jeszcze dwa kieliszki - uprzedziłem bufetowego.

- Niech żyje korpus oficerski! - zawołaliśmy z entuzjazmem.

- Pan generał i panowie pułkownicy pozwolą, że pojęciowo rozszerzę wygłoszony przed chwilą toast, bowiem w takim gronie z piersi wyrывa mi się okrzyk: Niech żyje Wojsko Polskie! - zawołał Felek.

- Niech żyje, niech żyje, niech żyje! - powtórzyliśmy trzykrotnie.

- Pan generał zezwoli, że podkreślę ową więź, która łączy artylerię polową z ziemią i ziemiaństwem, bo cóż byśmy robili bez owsa i bez koni. Każdy artylerzysta ma w sercu ziemianina. Proszę o pięć kieliszków - powiedział pułkownik Szystowski.

- A każdy ziemianin ma w sercu artylerzystę - pośpiesznie dodał Felek. - Proszę więc o następną kolejkę, która będzie nasza.

- Ale prawdziwą podstawą, tą opoką, na której spoczywa wojsko, jest nasza dzielna piechota, a szczególnie okryty chwałą Pułk Strzelców Kaniowskich. Pan generał zezwoli, że następną kolejką wzniesiemy toast za zdrowie piechoty i jej dowódcy. Proszę o pięć kieliszków - powiedziałem po toaście wzniesionym przez Felka.

Płk Okulicz-Kazaryn już zwracał się do bufetowego, gdy na salę wbiegł adiutant prowadzący tańce. Do munduru miał przypiętą białą kokardę z szerokimi wstęgami.

- Panie generale - zameldował - wszyscy już czekają otwarcia zabawy polonezem, który pan prowadzi z panią pułkownikową Szystowską w pierwszej parze, a pan Jało-wiecki w drugiej parze z panią pułkownikową Okulicz-Kazaryn.

Felek mrugnął na bufetowego. Na bufecie natychmiast pojawiło się sześć kieliszków.

- Zdrowie naszego wodzireja - wykrzyknął - w ręce pańskie, poruczniku... A teraz jesteśmy gotowi do rozpoczęcia tańców.

Z pewnym trudem odnalazłem moją damę. Rozległy się poważne tony poloneza. Starłem się nie popełnić najmniejszej omyłki. Kiedy polonez się skończył, ozwała się rzewna melodia walca. Zakotłowało mi się nieco w głowie. Walc był z figurami, zmianą tancerzy, dobieraniem. Czulem w swych ramionach jakąś wiotką kibić, a ta wkrótce ustąpiła miejsca zażywej majorowej, którą z trudem zdołałem otoczyć ręką. Powoli jednak odzyskiwałem potrzebną świadomość rzeczywistości i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie raptowne ukazanie się na sali Leonka Bronikow-skiego z Zegocina, za którym ujrzałem rozjaśnioną twarz jego sąsiada Sewera Chrzanowskiego.

- Przyjechaliśmy - zawołali - żeby ci pomóc w stworzeniu jak najprzyjaźniejszej atmosfery pomiędzy zie-

89

mianstwem a wojskiem. Mamy już na dole zamówiony stolik i parę butelek „ampy”. Chodźmy zaprosić generała i obu pułkowników na szklaneczkę tego dobroczynnego napoju.

Zasiedliśmy przy stoliku, po tańcach byliśmy wszyscy spragnieni wypoczynku. Zjawiała się jedna, potem druga butelka szampana, a za nią kolejno pojawiły się następne. Nastrój był wesoły i prawdziwie przyjacielski, jako że „wojsko i rolnik to jedno, to opoka, na której wznosi się piękny gmach Rzeczypospolitej”... i tu spotkała mnie następna katastrofa. W czasie opowiadania generała Jasińskiego o jego pobycie na „Kawkazie”, na salę wkroczył oficer ubrany w mundur KOP-u. Rozejrzawszy się po sali spostrzegł mnie i podszedł nieco chwiejnym krokiem.

- Panie prezesie - zawołał - czy pan mnie nie poznaje? Był to jeden z moich „owsiarzy”, który przeszedł do

Korpusu Ochrony Pogranicza i przyjechał na urlop do rodzimego Kalisza.

- Panie prezesie - powtórzył, gdyśmy się serdecznie uściśnieli - proszę mi wybaczyć, ale teraz jestem w KOP-ie i pan prezes robi mi osobisty afront, jeżeli zwyczajem KOP-u nie wypije ze mną szklaneczkę białej wzmocnionej.

Na myśl o wypiciu jednej wzmocnionej jako interludium „ampy” włosy stanęły mi na głowie.

Niestety, nie było rady. Musiałem wstać od stolika, podejść do bufetu i wychylić szklaneczkę, potężnych rozmiarów, „wzmocnionej kryształowej”.

W moim „fordziaku” przed kasynem spał smacznie szofer Józef, gdyż bufetowy nieco przekroczył moje zalecenia, by nim się zaopiekował. Mimo pomocy dyżurnego starszego kaprała, nie zdołałem go doprowadzić do pełnej przytomności. Ani on, ani ja nie nadawaliśmy się do prowadzenia samochodu. Trzeba było dzwonić do Kamienia, by przysłali konie.

Bryczką powoził Ryś Manteuffel, praktykant ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, który widząc mnie mocno zamroczonego, wziął się na fortel i powiedział:

90

- Nie chcę psuć panu nastroju, ale dzwonił naczelnik urzędu skarbowego, żeby zechciał pan skomunikować się z nim zaraz po Nowym Roku.

Słowa „urząd skarbowy” niczym wylany na głowę kubeł zimnej wody od razu wyrwały mnie z błogiego stanu.

Rzeczywistość stanęła w oczach w całej swojej nagości.

Widziane ze wsi

W nowej Polsce czułem się obco i nieswojo. Nowi ludzie, z którymi się zetknąłem, razili mnie tak swoim podejściem do spraw państwowych, jak i ciasnotą pojęć. Nie było w tych ludziach, zajmujących miejsca w parlamencie czy rządzie, ani tego rozmachu, w którym wyrosłem, ani najmniejszego dążenia do podniesienia poziomu gospodarczego własnego kraju, ani do rzetelnej, realnej pracy. Wszystko było niepowiązane, dorywcze, „błyskotliwe”, obliczone na pokaz. Dbano jedynie o upiększenie sceny i kurtyny „na podziw świata”, zapominając, że za kulisami zbierały się zwały brudu, kurzu i łachmanów.

Polska zaczęła się wyludniać z ludzi pokroju mego ś.p. szwagra Władysława Żukowskiego, czy ludzi dawnego pokolenia Centralnego Towarzystwa Rolniczego, czy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Ci ludzie, z którymi spotykałem się dawniej na gruncie petersburskim odeszli gdzieś w cień, a na ich miejsce pojawiło się pełno politycznych karłów wyniesionych wypadkami dziejowymi, jak zięć mojej siostry gen. Sosnkowski, czyjego ówczesny przyjaciel gen. Sikorski, czy Witos, Daszyński i Stanisław Grab-ski.

Raziło mnie polskie wydanie kiereńszczyzny przy jednoczesnym rozszalałym karierowiczostwie, jakiego nie spotykałem w Rosji.

Nie widziałem i nie spotkałem w Polsce mężów stanu o pokroju Stołypina, Muromcewa, Rodzianki, księcia Tru-

92

bieckiego, Kokowcewa, Kriwoszeina, Sazonowa, Izwolskie-go; tych ludzi, którzy mimo caratu w ciągu siedmiu lat doprowadzili Rosję do stanu kwitnącego, a którzy, gdyby nie wojna i rewolucja, przekształciliby ten naród i państwo w obiekt zazdrości innych narodów.

Sądziłem, że tragiczny przykład sąsiedniej Rosji wpłynie na ukształtowanie się stosunków w Polsce. Rzeczywistość rozwiąła szybko moje nadzieje. Zapewne gdyby nie twarde stanowisko Marszałka Piłsudskiego, cała ta hołota z panem Moraczewskim, Thuguttem, Rydzem-Śmigłym, Miedzińskim opanowałyby Polskę i w dążeniu do władzy wsiąkłyby razem z panem Juliuszem Poniatowskim w trzęsawisko bolszewickie.

Coraz bardziej wyczuwałem moją obcość, coraz bardziej przychodziłem do przekonania, że ludzie, którzy wyszli z wielkich interesów dawnej, carskiej Rosji, z wielkiego przemysłu, handlu i rolnictwa, w nowej Polsce nie mają pola do pracy.

Widziałem prezesa Edwarda Woyniłłowicza mieszkającego w ciasnych izdebkach gdzieś w Bydgoszczy i noszącego wiadra z wodą na swoje piéterko, widziałem prof. Wodzińskiego, jednego z najzdolniejszych konstruktorów budowy dróg i mostów, rektora Politechniki Ryskiej, pozbawionego katedry na Politechnice Warszawskiej. Wreszcie tragiczna śmierć człowieka innych niż ja przekonań, ale człowieka wielkiej miary, jak Aleksander Lednicki otworzyła mi ostatecznie oczy na smutną rzeczywistość.

Marzyłem o kraju, w którym panowałby rząd konserwa-tywno-liberalny w oparciu o spokojne ciało parlamentarne, kraju w którym panowałyby skromność jak w Szwecji lub Danii i atmosfera, w

której mógłby każdy spokojnie pracować w swoim zawodzie.

Oczywiście tych warunków w Polsce nie było.

Chciałem z Polski wyjechać, ale wolą Opatrzności Boskiej pozostałem w kraju i znalazłem się na wsi polskiej i to w przededniu wyborów do pierwszego Sejmu. Wybory te miały się odbyć na zasadach konstytucji uchwalonej

93

przez Sejm Ustawodawczy, której autorem był poseł Du-banowicz. Ta konstytucja, błyskotliwie arcydemokratyczna, obliczona na efekt, kosztowna i zabójczo centralistyczna, była dopasowana do warunków polskich niczym czapka frygijska do kozucha.

Znalazłem się na wsi polskiej w okresie rozbijałego de-mokratyzmu i kadzichłopstwa. Inteligencja na wyścigi zapisywała się do partii ludowych, choć nie miała z chłopem nic wspólnego. Różni doktorzy, adwokaci lub urzędnicy występowali w imieniu ludu polskiego, by po karkach chłopskich dostać się do Sejmu lub na dobrze płatne stanowiska.

W tym okresie zacierała się wartość człowieka jako jednostki, jedynie przynależność partyjna i szyld coś znaczył. Najzdolniejszy, o ile nie był członkiem jakiejś koterii czy partii, najlepiej lewicującej, nie mógł liczyć w ówczesnych warunkach na żadne odpowiedzialne stanowisko.

Zauważyłem, że Polacy lubią przeciętność, że są dziwną kombinacją indywidualizmu pomieszanego z skrajnym oportunizmem i zazdrością. Każdy Polak ma w sobie coś z geniusza, ale nigdy nie dopuści, aby kto inny, mądrzejszy lub zdolniejszy wysunął się o cal wyżej od poziomu przeciętności. Partyjniactwo jest w naturze polskiej, bowiem partia niweluje człowieka do jednego poziomu. Polak nie znosi ludzi o wybitnym, indywidualnym charakterze, ludzi o niezależnych poglądach, natomiast daje pierwszeństwo blagierom i krzykaczom pokrywającym się płaszczem patriotyzmu lub socjalizmu. Dla mężów stanu w prawdziwym znaczeniu tego słowa, w Polsce nie było miejsca. Wynikiem takiego podejścia była polityczna niekonsekwencja różnych partii i ich programów. Na czele Demokratycznej Unii Państwowej stał na przykład socjalista Julian Filipowicz i oportunistą hr. Krystian Ostrowski. Ta kombinacja razem wzięta wytworzyła coś, co było odbiciem skrótów nazwy tego stowarzyszenia.

Proboszcz w Dębem, zacny ksiądz Cyranowski był kapłanem ruchliwym, działaczem na terenie sejmiku i zwo-

94

lennikiem endecji. W okresie wyborczym miał ręce pełne roboty, aby swoich parafian przekonać, by głosowali na stronnictwa katolickie i musiał nieraz dawać odprawę różnym agitatorom nasyłanym ze stolicy przez partie ludowe i komunistów, którzy potrafili przeniknąć nawet do dewotek parafialnych.

- Bo to, proszę dobrodzieja - mówiły one do księdza -oni namawiają, aby na nich głosować, bo komuniści to wielcy katolicy, a nazwali się komuniści, bo mówią, że często do Komunii Świętej przystępują.

Ponieważ lewicowa demagogia cieszyła się powodzeniem, to kadencja tak wybranego Sejmu stała się okresem rozpanoszenia protekcji, niebywałym bałaganem w dziedzinie administracji i finansów oraz zupełną bezkarnością, bo sądownictwo w Polsce zeszło z drogi bezstronności i zamiast być niezależne, uległo naciskowi wszechpotężnych posłów lewicowych.

Wśród posłów nowego Sejmu nie miałem wielu znajomych. Z okręgu kaliskiego został wybrany pan Ignacy Chry-stowski, wzorowy ziemianin, człowiek nad wyraz porządny i uczciwy, ale zagorzały endek. Wśród ziemian obdarzono go przezwiskiem „Hrynia”.

Pierwszym zadaniem nowego Sejmu był wybór prezydenta. Piłsudski odmówił stanowczo kandydowania. Wobec usunięcia się Naczelnika Państwa większość liczącej się opinii publicznej, a w szczególności ziemiaństwa, widziała jedyne godnego kandydata, a był nim ordynat hr. Maurycy Zamoyski. Jego kandydatura wydawała się nam, siedzącym na wsi, stuprocentowo pewna. Zamoyski był popularny nie tylko wśród ziemiaństwa, ale i wśród chłopów, szczególnie wśród gospodarzy starszego pokolenia, wychowanych w ideologii Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Byłem na równi z innymi oburzony, gdy równolegle zostały wysunięte kandydatury: Stanisława Wojciechowskiego, Gabriela Narutowicza, Daszyńskiego i prof. Baudouina de Courtenay. Nie

ubliżając nikomu ze współzawodników

95

ordynata, wiadomym było, że poza Wojciechowskim, który miał za sobą piękną kartę pracy nad rozwojem spółdzielczości w Polsce, wszyscy ci kandydaci nie mogli się wykazać najmniejszym dla Polski dorobkiem. Profesor Baudouin de Courtenay bezsprzecznie był wybitnym uczonym, ale nie miał nigdy styczności z życiem realnym, nie miał pojęcia o zadaniach ekonomicznych, żył w świecie naukowym oderwany od rzeczywistości. Już bliższym tej rzeczywistości był Gabriel Narutowicz, który jako inżynier i konstruktor o światowej sławie miał wiele styczności z życiem praktycznym i zagadnieniami ekonomicznymi. Niestety, całe swoje dorosłe życie spędził poza krajem, był profesorem na Politechnice w Zurychu, wreszcie obywatelem szwajcarskim. Gabriel Narutowicz pochodził ze Żmudzi, a jego rodzony brat Stanisław uważał siebie za Litwina i był znanym działaczem litewskim. Narutowicz był spokrewniony z rodziną mojej matki, a mianowicie z Witkiewiczami z Powa-sza, a tym samym z Marszałkiem Piłsudskim. Jako również były konspirator, siłą rzeczy był bliższy Piłsudskiemu niż Zamoyski i cieszył się jego poparciem. Wiedziałem, że profesor Narutowicz to człowiek o szerokich horyzontach, świetnie wychowany, o ujmującej postaci, ale był nam obcy...

O wyborze profesora Narutowicza zamiast hr. Zamoyskiego dowiedziałem się od mojej siostry Ady telefonicznie i odebrałem to jako moralny policzek.

Narutowicz padł szybko ofiarą stosunków panujących w Polsce. Kazimiera Iłłakowiczówna, przyjaciółka naszego domu jeszcze z czasów petersburskich, pierwsza rzuciła się z pomocą rannemu prezydentowi. Zabójstwo Narutowicza wywarło straszne wrażenie w całym kraju i to nieobliczalne w skutkach morderstwo stało się wodą na młyn lewicy, która zaczęła dla swoich celów obwiniać ugrupowania narodowe o inspirowanie zamachu. Nie brakło agitatorów i różnych podżegaczy, operujących na ciemnocie, którzy głośno szerzyli wiadomości, że to „obszarnicy wraz z księżami” zamordowali prezydenta.

96

Na Litwie, gdzie brat zmarłego cieszył się wielką popularnością, komentowano zabójstwo Narutowicza jako wyraz polskiego szowinizmu i nienawiści do Litwinów, bowiem zmarły prezydent był przez Litwinów uważany za Litwina.

Ze Stanisławem Wojciechowskim, który został prezydentem, poznałem się w czasie mojej delegatury w Gdańsku. Zapewne wolałbym widzieć na czele państwa Zamoyskiego, ale wobec wkroczenia polityki polskiej na tory „demokratyczne” był on zapewne najlepszym kandydatem. W moim pojęciu był to człowiek uczciwy, bezstronny i nad wyraz skromny. Jako minister spraw wewnętrznych dostarczył mi broni dla uzbrojenia konwojentów, kiedy organizowałem ochronę transportów żywnościowych i dzięki temu straty w transporcie były minimalne.

Na prezesa rady ministrów powołano generała Sikorskiego. Do niego od pierwszych chwil nie miałem sympatii. Być może przyczyniła się do tego sprawa Ryszarda Świętochowskiego, jego przyjaciela z Politechniki Lwowskiej. Otóż pan Świętochowski, nie mogąc dać sobie rady na studiach w Instytucie Technologicznym w Petersburgu, przeniósł się na Politechnikę Lwowską, gdzie w atmosferze kawiarniano-politycznej zaprzyjaźnił się z Władysławem Sikorskim i Kazimierzem Sosnkowskim. Z tych trzech panów jedynie Sikorski ukończył studia, chyba z tytułem inżyniera od kanalizacji i wodociągów.

Pan Świętochowski bywaj w domu mojej siostry Ady i w najpodlejszy sposób nadużył jej zaufania, wykradając z domu małąletnią, młodszą córkę Teresę. Wziął z nią potajemnie ślub i wyjechał na wyspę Majorcę.

Jak się okazało, p. Świętochowski korzystał z pomocy życzliwego kolegi, a ówczesnego premiera Sikorskiego, który wyrobił mu zawczasu wszelkie potrzebne dokumenty i paszporty, czyli wziął udział w tej niedzientelmeńskiej konspiracji. Wszelkie starania mojej siostry uderzyły w próżnię. Oczywiście małżeństwo rozpadło się po półtora roku, a moją siostrę kosztowało to grube pieniądze.

7 - Requie

97

Chamów i parweniuszy poznaje się po czynach. Niskiego jak i Sikorski pochodzenia byi Kazimierz Sosnkowski, który na rok przed wykradzeniem Teresy ożenił się z jej siostrą Jadwigą „Kuka”. Wziąwszy wraz z jej ręką spory posag, kupił majątek na Pomorzu, który później sprzedał, by jako minister wojny w gabinecie Sikorskiego otrzymać od państwa za bezcen prześliczne dobra Bukowiec w Poznańskim, skonfiskowane hakatyście Tiedemanowi. Dowiedziałem się, że jako uzasadnienie dla otrzymania tego majątku na takich warunkach Sosnkowski podał, że „w czasie wojny postradał rodzinny majątek swojej żony, Sył-gudyszki, wraz z folwarkami itd., które pozostały poza granicami Polski”. Było to oszustwo, gdyż zgodnie z testamentem mojego ojca gen. Jałowieckiego ja byłem jedynym spadkobiercą klucza syłgudyskiego, a moje siostry zostały prawnie i sownie spłacone przy zawieraniu związków małżeńskich.

Te kilka szczegółów nie działało na mnie zbyt zachęcająco do utrzymywania stosunków z tym odłamem zasłużonych mężów legionowych. Czy gen. Sosnkowski był wtajemniczony w wykradzenie swojej szwagierki, tego nie wiem i zresztą nigdy się o to nie dopytywałem, uważając go i tak za człowieka pozbawionego honoru.

Sosnkowski był w towarzystwie, o ile chciał lub miał ku temu powody, bardzo ujmujący, zdolny, ale był to „aktor”, który potrafił zdobyć sobie popularność i otoczyć swoją osobę legendą. Koło swoich interesów chodzić umiał dobrze, wydawać pieniędzy nie lubił, a mimo swojego skromnego pochodzenia miał, niestety, taki wpływ na moją siostrę, że stała się jego „agentem” i objęła wszystkie progi dla „biednego, przemęczonego Kazika” i jego małżonki Kuki, która zupełnie niezasłużenie była oczkiem w jej głowie. Gdyby wypadki dziejowe same nie wyniosły jego, jak i Sikorskiego na tak wysokie stanowiska, niewymierne do ich wartości i charakterów, to sądzę, że obaj byłiby przeciętnymi ck urzędnikami przejadającymi posagi żon.

Najstarszymi wiekiem wśród moich krewnych, którzy

98

znalezli się w Polsce i z którymi mógłbym te sprawy omówić byli Ignacy Witkiewicz i Marszałek Piłsudski. Chciałem otwarcie porozmawiać z Marszałkiem o Sosnkowskim, ale zrezygnowałem z tego planu, gdy dowiedziałem się, że Marszałek sam dość krytycznie patrzył na tę sytuację i odezwał się o mojej siostrze:

- Ada, Ada, taka dzielna, miła i piękna kobieta, a stała się faktorem tego Sosnkowskiego...

Zresztą w całym obozie legionowym jedynym człowiekiem, z którym znajdowałem zrozumienie był pułkownik Walery Sławek. Musiał mieć w swoich żyłach jakąś dobrą, starą krew rycerską, był bowiem nie tylko gentlemanem, ale i rycerzem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Siedząc na wsi pochłonięty gospodarstwem, nie miałem możliwości zrozumieć polityki rządu ani samego Marszałka, któremu tak z prawej, jak i z lewej strony nie szczędzono ostrej krytyki, paszkwili i obelg. Prawica przypisywała mu tolerowanie demagogii, wypominano nieudaną wyprawę kijowską, traktat pokojowy, Litwę - słowem wszystko, co tylko stało się nie po myśli endecji, wszystkiemu był winien Marszałek.

Sikorski jako premier się nie wykazał. Bałagan administracyjny zaczął dochodzić do absurdów.

Wszystkie stanowiska obsadzone były według partyjnego klucza. Nie było najmniejszej stabilizacji, nikt z urzędników administracyjnych nie był pewien jutra i nie mógł zrobić najmniejszego posunięcia bez narażenia się jednej lub drugiej stronie.

Wobec zupełnego braku odpowiedzialności indywidualnej zaczęła się zbiorowa nieodpowiedzialność. Do tego dochodził brak stabilizacji walutowej, wzrastająca z dnia na dzień inflacja, chwiejność cen i chaos tak na rynku wewnętrznym, jak i eksportowym.

Wszelkie operacje finansowe na wsi oparte były na cenie żyta, a ponieważ cena żyta ulegała również daleko idącym wahaniom, więc faktycznym miernikiem obiegowym stał się dolar amerykański.

W tych warunkach życie gospodarze kraju nie mogło

99

się rozwijać, a premier Sikorski był zbyt przeciętnym człowiekiem, zresztą bez kwalifikacji, by tej sytuacji podołać.

Ponieważ w Polsce na ogół nie szuka się przyczyn katastrofy, ale szuka się winnego, to na wsi tym winnym stał się ziemianin określony nowym mianem obszarnika.

Nadszedł okres szerokiej nagonki na ziemiaństwo. Tak jak w polityce wszystkiemu winien był Marszałek, to w dziedzinie agrarno-gospodarczej wszystkiemu winien był ziemianin. Szczęśliwie gabinet Sikorskiego z Sosnkowskim jako ministrem wojny nie trwał długo.

Nowy gabinet pod auspicjami Witosa był kompromisem endecji z ludowcami, a jego głównym programem była idiotyczna z ekonomicznego punktu widzenia reforma rolna.

Ministrem wojny został bezbarwny Szeptycki, „galicyjski hrabia” o ukraińskim rodowodzie.

Marszałek wraz ze Sławkiem wystąpili z wojska.

Minister skarbu Kucharski wbił ostatni gwóźdź do trumny waluty polskiej, a do gabinetu Witosa przyłączyli się Dmowski i Stanisław Grabski. Dmowski był bezsprzecznie wielkim wodzem dużej partii, ale przyjąwszy na siebie kierownictwo Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie zdał egzaminu i był to najgorszy minister tego resortu, jakiego Polska miała. O Stanisławie Grabskim nie mówiliśmy zaś inaczej, jak o koniunkturalnej kanalii, która służyć będzie każdemu i umie pływać na każdej fali.

Do popularności rządu Witosa nie przyczyniła się sprawa majątku Dojlidy położonego w Grodzieńszczyźnie, który stał się zerowiskiem ludowców i wykazał, że nawet Witos nie mógł się wstrzymać od skosztowania smaku pieniądza i maczania swych rąk w mętnej wodzie.

Gabinet Witosa trwał zaledwie osiem miesięcy. Był to nie rząd, a raczej jego parodia służąca jako temat do dziesiątek anegdot i dykteryjek krążących po Warszawie. Odwiedziny bułgarskiego premiera Stambolijskiego u jego ideowego przyjaciela Witosa i wymiana grzeczności pomiędzy tymi dwoma mężami stanu oraz ich swoisty „wersal ludo-

100

wy” był tematem niejednego artykułu w pismach humorystycznych.

Po ustąpieniu Witosa premierem zostaje Władysław Grabski, Sosnkowski jest ministrem wojny, a ministrem spraw zagranicznych ordynat Maurycy Zamoyski, którego potem zastępuje Aleksander Skrzyński.

Władysława Grabskiego znałem dobrze. W czasie wojny bywał często w domu moich szwagrostwa Żukowskich w Petersburgu, a należąc do komitetu pomocy uchodźcom miałem możliwość często się z nim stykać. Wspólnie przeprowadziliśmy utworzenie biura rejestracji szkód wojennych wyrządzonych obywatelom Królestwa, Litwy i Białej Rusi. Tylko dzięki ogromnej pracy i uporowi Władysława Grabskiego udało się to osiągnąć i po wojnie polsko-bol-szewickiej wielu rodaków otrzymało odszkodowania.

W moich oczach Grabski był człowiekiem o podejściu gospodarczym, doświadczonym rolnikiem, jednym z wybitniejszych członków dawnego Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Jako stary przyjaciel jego i jego żony niezwłocznie wysłałem mu z Kamienia telegram z życzeniami. Niestety, Grabski zawiódł mnie na odcinku ekonomiczno-rolniczym. Poszedł po linii wyraźnie antyziemiańskiej, toteż okres jego rządów był dla ziemiaństwa okresem najcięższym. Władysław Grabski wiedział jednak czego chciał i energicznie potrafił przeforsować reformę walutową, potrafił uzdrowić skarb polski, wprowadził mocną walutę, choć ta jednostka równa frankowi szwajcarskiemu okazała się zbyt wysoka na warunki polskie.

Ustabilizowanie złotego wymagało ze strony narodu znacznych ofiar. Tak się stało, że główny ciężar spadł na barki ziemiaństwa, które musiało znaleźć sposoby na zapłacenie wysokich podatków majątkowych i leśnych, a na dobitkę jak piorun z jasnego nieba spadła na ziemiaństwo przewalutowana pożyczka Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Pożyczka, której w moim przypadku mogłem się pozbyć kosztem kilku wagonów żyta, jednego dnia obciążyła Kamień sumą około 80.000 franków szwajcarskich.

101

się rozwijać, a premier Sikorski był zbyt przeciętnym człowiekiem, zresztą bez kwalifikacji, by tej sytuacji podołać.

Ponieważ w Polsce na ogół nie szuka się przyczyn katastrofy, ale szuka się winnego, to na wsi tym

winnym stał się ziemianin określony nowym mianem obszarnika.

Nadszedł okres szerokiej nagonki na ziemiaństwo. Tak jak w polityce wszystkiemu winien był Marszałek, to w dziedzinie agrarno-gospodarczej wszystkiemu winien był ziemianin. Szczęśliwie gabinet Sikorskiego z Sosnkowskim jako ministrem wojny nie trwał długo.

Nowy gabinet pod auspicjami Witosa był kompromisem endecji z ludowcami, a jego głównym programem była idiotyczna z ekonomicznego punktu widzenia reforma rolna.

Ministrem wojny został bezbarwny Szeptycki, „galicyjski hrabia” o ukraińskim rodowodzie.

Marszałek wraz ze Sławkiem wystąpili z wojska.

Minister skarbu Kucharski wbił ostatni gwóźdź do trumny waluty polskiej, a do gabinetu Witosa przyłączyli się Dmowski i Stanisław Grabski. Dmowski był bezsprzecznie wielkim wodzem dużej partii, ale przyjąwszy na siebie kierownictwo Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie zdał egzaminu i był to najgorszy minister tego resortu, jakiego Polska miała. O Stanisławie Grabskim nie mówiliśmy zaś inaczej, jak o koniunkturalnej kanalii, która służyć będzie każdemu i umie pływać na każdej fali.

Do popularności rządu Witosa nie przyczyniła się sprawa majątku Dojlidy położonego w Grodzieńszczyźnie, który stał się żerowiskiem ludowców i wykazał, że nawet Witos nie mógł się wstrzymać od skosztowania smaku pieniądza i maczania swych rąk w mętnej wodzie.

Gabinet Witosa trwał zaledwie osiem miesięcy. Był to nie rząd, a raczej jego parodia służąca jako temat do dziesiątek anegdot i dykteryjek krążących po Warszawie. Odwiedziny bułgarskiego premiera Stambolijskiego u jego ideowego przyjaciela Witosa i wymiana grzeczności pomiędzy tymi dwoma mężami stanu oraz ich swoisty „wersal ludo-

100

wy” był tematem niejednego artykułu w pismach humorystycznych.

Po ustąpieniu Witosa premierem zostaje Władysław Grabski, Sosnkowski jest ministrem wojny, a ministrem spraw zagranicznych ordynat Maurycy Zamoyski, którego potem zastępuje Aleksander Skrzyński.

Władysława Grabskiego znałem dobrze. W czasie wojny bywał często w domu moich szwagrostwa Żukowskich w Petersburgu, a należąc do komitetu pomocy uchodźcom miałem możliwość często się z nim stykać. Wspólnie przeprowadziliśmy utworzenie biura rejestracji szkód wojennych wyrządzonych obywatelom Królestwa, Litwy i Białej Rusi. Tylko dzięki ogromnej pracy i uporowi Władysława Grabskiego udało się to osiągnąć i po wojnie polsko-bol-szewickiej wielu rodaków otrzymało odszkodowania.

W moich oczach Grabski był człowiekiem o podejściu gospodarczym, doświadczonym rolnikiem, jednym z wybitniejszych członków dawnego Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Jako stary przyjaciel jego i jego żony niezwłocznie wysłałem mu z Kamienia telegram z życzeniami. Niestety, Grabski zawiódł mnie na odcinku ekonomiczno-rol-niczym. Poszedł po linii wyraźnie antyziemiańskiej, toteż okres jego rządów był dla ziemiaństwa okresem najcięższym. Władysław Grabski wiedział jednak czego chciał i energicznie potrafił przeforsować reformę walutową, potrafił uzdrowić skarb polski, wprowadził mocną walutę, choć ta jednostka równa frankowi szwajcarskiemu okazała się zbyt wysoka na warunki polskie.

Ustabilizowanie złotego wymagało ze strony narodu znacznych ofiar. Tak się stało, że główny ciężar spadł na barki ziemiaństwa, które musiało znaleźć sposoby na zapłacenie wysokich podatków majątkowych i leśnych, a na dobitkę jak piorun z jasnego nieba spadła na ziemiaństwo przewalutowana pożyczka Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Pożyczka, której w moim przypadku mogłem się pozbyć kosztem kilku wagonów żyta, jednego dnia obciążyła Kamień sumą około 80.000 franków szwajcarskich.

101

Lata „grabszczyzny” były dla nas rolników koszmarem, który poderwał niejednego z warsztatów rolniczych i wprowadził nienawistny, zagmatwany system podatkowy.

Złym duchem Władysława Grabskiego i szarą eminencją w Ministerstwie Skarbu był niejaki Kauzik, figura o skrajnie lewicowych poglądach i specjalista od rujnowania ziemiaństwa. Ten

okres, zwany popularnie „zakauzicze-niem Polski”, trwał kilka lat i pozostawił po sobie okropną spuściznę podatkową. W pismach pojawiły się rysunki przedstawiające Grabskiego na piedestale z napisem: „Nowemu Twórcy Dziadów”.

W tym czasie doszło do zatargu między Sosnkowskim a premierem i na stanowisko ministra wojny wkroczył się jak zawsze usłużny w takich przypadkach gen. Sikorski. Starał się on wciągnąć wojsko w orbitę rozgrywek partyjnych i uzależnić naczelne dowództwo od Sejmu. Tą drogą chciał uzyskać dla siebie łaskawość posłów i popularność w parlamencie. Takiej „kieręższczyzny” stanowczo przeciwstawił się Marszałek, nie chcąc dopuścić do rozkładu wojska, które sam stworzył.

Marszałek słusznie uważał, że wojsko nie jest instytucją demokratyczną, jest trwałym dorobkiem narodu i nie może ulegać chwilowym rozgrywkom partyjnym, a ma być podległe bezpośrednio prezydentowi, bez ingerencji Sejmu.

Od tego czasu rozpoczęła się zażarta nienawiść gen. Sikorskiego do Marszałka, jak i do gen. Sosnkowskiego. Nienawiść małego człowieka i parweniusza, który już nigdy w życiu nie mógł oswobodzić się od nienawiści, na dnię której tkwił kompleks niższości powiatowego inżyniera, którego niezasłużona kariera opierała się tylko na koniunkturze dziejowej.

Gabinet Władysława Grabskiego upada. Wojciechow-ski proponuje Aleksandrowi hr. Skrzyńskiemu utworzenie nowego gabinetu. Ministrem skarbu zostaje zażarty endek Jerzy Zdziechowski rodem z Ukrainy.

Zdziechowskiego spotykałem w Petersburgu w czasie wojny. Znałem go jednak bardzo mało, ale na tyle, by

uznać, że nie mógł się w życiu niczym wykazać. Dla pewnej kategorii ludzi miał być to „ekonomista”.

O działalności ministra Zdziechowskiego wiedzieliśmy na wsi, że podobno budząc się rano, w pierwszym rzędzie biegł do barometru, bowiem lato tego roku było dżdżyste. Miało to oczywiście świadczyć o trosce i zainteresowaniu pana ministra rolnictwem.

Sam minister Zdziechowski swoje osobiste interesy prowadził dość nieoględnie. Nabył ładny majątek na Pomorzu, gdzie jeden z naszych praktykantów dostał posadę administratora. Po kilku miesiącach zmuszony był wypowiedzieć swoje stanowisko, bowiem znalazł tam taki bałagan i takie zadłużenie, z którego niepodobna było nawet geniuszowi się wyplątać.

Na ministra spraw wojskowych Skrzyński, podobno za poradą Marszałka, powołał już nie Sikorskiego, lecz gen. Żeligowskiego, człowieka zacnego, ale o mentalności „ba-taljonowego komandira” jakiegoś dawniejszego pułku rosyjskiej piechoty liniowej.

Ministra spraw zagranicznych i premiera Aleksandra Skrzyńskiego nie znałem, chociaż nadal byłem „en dispo-nibilite” Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Społeczeństwo знаło go jedynie z jego entuzjazmu do paktu Locarno i jego zachwycie nad „duchem Locarno”.

Nas rolników najbardziej obchodziła osoba ministra rolnictwa. Tu jednak nie mieliśmy ani jednego prawdziwego obrońcy, który wykazałby najmniejsze zainteresowanie podniesieniem poziomu upraw i hodowli oraz uporządkowaniem chaosu agrarnego panującego w kraju. Nawet Stanisław Janicki, mój starszy kolega z Arkonii i osobiście dobry rolnik szedł po utartej drodze reformy rolnej wytkniętej przez Poniatowskiego, drodze zniszczenia własności folwarcznej. Może najmniej szkodliwym, ale bynajmniej nie pożytecznym był Raczyński, zamożny ziemianin z Małopolski Wschodniej.

Gabinet Skrzyńskiego nie był gabinetem poważnym, była to również jakaś komedia, w czasie której ministrowie

102

103

zmieniali się niczym na scenie w letnim teatrzyku. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie płaciło za to społeczeństwo.

Ludzie o poglądach konserwatywnych z niepokojem mogli skonstatować, że partia, która miała reprezentować umiar i porządek, a mianowicie Narodowa Demokracja była w gruncie rzeczy podszyta nie mniejszą demagogią niż ludowcy, szczególnie gdy chodziło o rozgrywki sejmowe.

Nie było już w Polsce żadnego autorytetu, wszystko było płynne, pełne chaosu. Polska szła w dół.

W czasie jednej z moich wizyt w Warszawie, zaszedłem do mieszkania mojej siostry Ady.

Otworzyła mi drzwi sama.

- Mój drogi - rzekła szeptem, wskazując na wiszącą w korytarzu błękitną maciejówkę Piłsudskiego i generalską czapkę Sosnkowskiego - teraz toczą się u mnie w gabinecie decydujące narady.

Było to na parę tygodni przed przewrotem majowym.

Mimo, a może właśnie dzięki postępującej demokracji, na wsi działo się coraz gorzej.

Chłopomańskie hasła obrońców ludu temu ludowi zupełnie nie służyły, a wszelkie nie przemyślane odgórne akcje sytuację tylko pogarszały.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej był znanym działaczem i propagatorem spółdzielczości w Polsce i w jego opinii spółdzielczość była jedynym radykalnym środkiem na wszystkie dolegliwości gospodarcze kraju. W imię spółdzielczości starostowie powiatowi otrzymali nakaz tworzenia spółdzielni mleczarskich i tępienia prywatnego handlu mlekiem i produktami mleczarskimi. Niestety, kooperatywy stały się szybko żerowiskiem protegowanych różnych partii i różnych półinteligentów, którzy niczym wszy obsiedli polską spółdzielczość. Koszta administracyjne związane z rozbudową różnych zarządów spółdzielni, pensje dyrektorów i biurokracji były tak niepomierne wysokie, że gdy na rynku cena mleka wahała się około 12 groszy za litr, to spółdzielnie płaciły chłopom tylko 8 groszy. Jednakże chłopcy byli pod stałym naciskiem administracji i wójtów, by

104

mleko dostarczać tylko do spółdzielni, a prywatne mleczarnie, które dostawcom płaciły cenę rynkową starano się zlikwidować za pomocą wyśrubowanych podatków.

Skutki tej spaczony polityki państwa, by całą produkcję wiejską oprzeć na spółdzielczości okazały się, jak na przykładzie mleka, dla wsi fatalne.

Spółdzielnie mleczarskie, nie bojąc się już konkurencji, płaciły swoim członkom za mleko w zależności od procentu tłuszczu, który uzyskiwano przez przepuszczanie mleka przez wirówki. Odtłuszczone mleko zwracano. To pozbawione wartości mleko chłopcy zaczęli gremialnie używać do karmienia swoich dzieci i niemowląt. Rzecz można, że w zagrodach chłopskich jedynie cieleta w pierwszych tygodniach dostawały pełnowartościowe mleko. Ten system odbił się fatalnie na rozwoju dzieci wiejskich. Matki udające się w dni targowe do pobliskiego miasteczka na zakupy i do spółdzielni po pieniądze usypiały swoje małe dzieci na czas nieobecności, dając im do ssania zawinięte w woreczki pokruszone makówki.

Mimo wielkiej liczby agitatorów przysyłanych z miasta takie stosunki na wsi polskiej nie były znane. Wiedział o tym miejscowy proboszcz, wiedziała akuszerka wiejska, wreszcie ziemianka należąca do koła gospodyń. Liczba zidiociałych dzieci wiejskich rosła, a w Warszawie wciąż gloryfikowano „spółdzielczość polską”, posługując się fałszywą statystyką. Dyrektorowie Centrali Spółdzielni Warszawskich pobierali olbrzymie pensje, nie oszczędzono przy tym różnych broszur i plakatów, którymi obklejano ściany dworców kolejowych, głosząc hasło „Swoj do swego”, a tymczasem liczba rekruta zdolnego do noszenia broni zmniejszała się w zastraszającym tempie. Jako przewodniczący dozoru szkolnego nie mogłem zamknąć oczu na widok niedokarmionych, anemicznych dzieci. Samorzutnie wprowadziłem podkarmianie dzieci w szkole w Kamieniu.

Kosztowało mnie to sporo, ale dzieciaki dostawały pełnowartościowe śniadanie. Po paru latach moja akcja podkarmiania dzieci rozszerzyła się, ale

105

jedynie tam, gdzie w pobliżu szkoły były folwarki, bo bogaci chłopcy patrzyli na to dosyć obojętnym okiem. Chłop zaś, szczególnie małorolny, jak mógł to dziecko do szkoły nie posyłał. Raz w miesiącu dozór szkolny w osobie ks. proboszcza, mnie i paru gospodarzy rozpatrywał sprawy związane z nieobecnością dzieci w szkole. Dozór szkolny był uprawniony do wyznaczania kar pieniężnych rodzicom, toteż gdy w porze jesiennych wykopków lub wczesnego wypasania była ławki szkolne były puste, wezwani rodzice bronili się różnymi sposobami:

- Ade proszę pana prezesa i księdza dobrodzieja, to moja kobita miała ból, to ją dziewucha musiała zastąpić.

- Ade proszę księdza dobrodzieja, ja bym sam chcioł, aby mój chłopak był w szkole, ale on zamiast

do szkoły iść to ino loto, tom mu nawet przyłożył, ale nic nie pomaga.

Starałem się utrzymać jak najprzyjaźniejsze stosunki z nauczycielami wiejskimi i gdzie mogiem, broniłem tych biedaków rzuconych gdzieś na odludzie, spędzających całe dnie w dusznych, często nie przewietrzanych lokalach, narażonych wiecznie na nieposłuszeństwo i grubiaństwo tak ze strony dzieci, jak i - dzięki agitatorom - rozpuszczonego niczym bicz dziadowski chłopstwa. Byłem niemy świadkiem różnych tragedii nauczycieli wiejskich, samotnych panienek chorych na gruźlicę, wiecznie pod obawą zdymisjonowania, a zależnych od łaski czy niełaski inspektora szkolnego.

Większość tych ludzi pracowała sumiennie, z całym zaparciem, a że niektórzy z nich byli podszyci lewkową demagogią wypływającą z ich sytuacji, to trudno się dziwić. Wynagrodzenie nauczycielstwa było liche, a w większości przypadków warunki mieszkaniowe bardzo prymitywne. Przez szereg lat przewodniczyłem w dozorze szkolnym gminy Kamień i mogłem się napatrzeć różnych objawów będących rezultatem frazeologii i demokratycznej błagi, która niczym pajęczyna oplatała Polskę.

Pewnego dnia służący zaanonsował mi pana Wróblewskiego, nauczyciela szkoły powszechnej w kolonii Dębe.

106

- Panie prezesie - rzekł zmieszany pan Wróblewski, gdy usadziłem go obok w fotelu - ja już nie mam sił do walki z tym chamstwem. Stale jestem narażony na takie grubiaństwo, a działwa szkolna na takie napaści, że myślę rzucić szkołę i szukać innego zajęcia.

- Ale o co chodzi? - spytałem.

- Ja mam w szkole małego Kasprzaka, syna tego gospodarza z Magdalenowa - wyjaśniał wyraźnie zdenerwowany - którego krewny jest posłem na Sejm i należy do partii chłopskiej. Ten Kasprzak z reguły nie posyła chłopca do szkoły, ale jeżeli ten chłopak czasem się w szkole zjawi to po to, by bić inne dzieci i zabierać im co się da. Zachowuje się w klasie głośno i wyzywająco, namawia inne dzieci do nieposłuszeństwa, a gdy ostatni raz zrobiłem mu uwagę, to mi powiedział: „Stul gębę, bo mój ojciec każe ciebie w 24 godziny wyrzucić”... Muszę jeszcze nadmienić, że Kasprzak przychodzi do klasy uzbrojony w nóż i że tym nożem skaleczył już kilkoro dzieci... Byłem u pana inspektora, to mi powiedział, abym lepiej siedział cicho, bo mnie poseł Baryła każe z posady wyrzucić.

- Hm... - mruknąłem, wysłuchawszy tego smutnego opowiadania. - Wyślę umyślnego do Kasprzaka, aby jutro po południu stawił się w szkole, to z nim porozmawiamy.

Po wyjściu Wróblewskiego kazałem zawołać do siebie młodego Dziubka.

- Niech Dziubek podjedzie zaraz do Kasprzaka co jest na Magdalenowie i powie, że kazałem mu się stawić jutro na trzecią po południu w szkole na kolonii Dębskiej. Jeno niech Dziubek powie mu po ułańsku, a jak będzie się stawiał, nie pożałuje pięści.

Nazajutrz po obiedzie kazałem zaprząć do bryczki i pojechałem do szkoły.

Na progu spotkał mnie pan Wróblewski.

- Kasprzaka jeszcze nie ma. Co robić, panie prezesie? - powiedział zastraszony.

- Poczekamy - rzekłem - gdy się nie zjawi, mam obmyślane inne sposoby.

107

Po kwadransie oczekiwania drzwi się otworzyły i w drzwiach stanął Kasprzak. Nie powiedziawszy dobrego słowa na powitanie i nie zdjęwszy czapki odezwał się do nas:

- A czego to mnie panowie fatygujo do szkoły?

- Sąsiedzie - rzekłem, z trudem panując nad sobą - może byście tak zdjęli czapkę. Przecież tu jest szkoła i sami widzicie, krzyż wisi na ścianie. Nawet nie bardzo wypada, żeby gospodarz zachowywał się jak poganin.

- Co mnie pan od pogan będzie wymyślał - burknął Kasprzak, ale sięgnął jednak ręką po czapkę. - To w jakim interesie pan dziedzic mnie sprowadził?

- Siadajcie gospodarzu - rzekłem - chcieliśmy z wami pogadać wedle waszego chłopaka... Przecież chcecie go wychować na porządnego gospodarza, a nie na bandytę. Zapamiętajcie moje słowa, jeżeli zawczasu nie nauczycie go dobrego, to jak dojdzie do lat, to was pierwszego wraz z matką z

chaty wyrzuci, a jeszcze gorzej, gdy w końcu znajdzie się w więzieniu... Ja zaś nie mogę pozwolić, aby wasz chłopak lżył nauczyciela i rzucał się z kozikiem na inne dzieci.

Chłop wstał i wsparł się w boki.

- Co mnie pan dziedzic tu będzie uczył, ja wiem co robię. Teraz tu nie Moskal, ani nie Niemiec, teraz tu Polska i swoboda, a chłop będzie rządził, a nie obszarniki z księża-mi. Niech pan dziedzic baczy, aby jego nie wyrzucano z Kamienia. Ja mam kumotra w Sejmie, sam poseł Baryła to mój kompan, to lepiej niech mnie pan dziedzic nie zaczepia.

- Panie Wróblewski - rzekłem, starając się zapanować nad sobą - niech pan na razie pozostawi mnie z sąsiadem, to my sobie lepiej we dwoje, po sąsiedzku pogadamy.

Gdy Wróblewski wyszedł, zamknąłem drzwi na klucz i klucz schowałem do kieszeni. Chłop patrzył na mnie spode łba. Podszedłem do Kasprzaka.

- Powtórzcie, gospodarzu, coście powiedzieli.

- Ady pan dziedzic ma uszy, toć słyszał.

108

Cierpliwość moja jednak już się wyczerpała. Przesunęły mi się przed oczyma znajome z okresu rewolucji mordy rozbistwionego chamstwa. Bezwiednie chwyciłem chłopca za kołnierz i zacząłem walić jego łbem w ścianę.

- To tobie, bydlaku jeden, taka Polska, to tobie jeno rozbój w głowie? Ty mnie swoim Baryłą nie strasz, skurwysynie, bo to samo zrobię z tobą.

Nie wiem, skąd mi się siły wzięły. Zwaliłem chłopca na podłogę i zacząłem kopać to ludzkie bydło.

- Ady proszę jaśnie pana - zapiszczał Kasprzak - już ino więcej tego robić nie będę, a swego chłopaka to wychło-stam.

- Pamiętaj - rzekłem, z trudem łapiąc oddech - tym razem wyszedłeś żywy, ale jak to się powtórzy, to już ciebie żywego, bydlaku, nie wypuszczę.

- Ady proszę jaśnie pana, już obiecuję, ino niech mnie jaśnie pan puści.

- Dobrze - rzekłem - teraz możemy pogadać po ludzku... Panie Wróblewski - zawołałem, otwierając drzwi -niech pan przyjdzie, bośmy już z gospodarzem tak po sąsiedzku pogadali - powiedziałem, częstując Kasprzaka papierosem i zapalając mu zapałkę. - Gospodarz obiecał, że będzie miał baczenie na swego chłopaka, a gdyby się to powtórzyło, to niech pan nauczyciel zaraz mnie jako prezesa dozoru szkolnego zawiadomi.

Wsiadłem do bryczki z poczuciem spełnionego obowiązku, starając się nie myśleć o następstwach mojej „sąsiedzkiej rozmowy”. Mimo to widziałem już organ partii chłopskiej z czerniejącym tytułem: „Obszarnik bije chłopca”.

Uratowałem jednak małego Kasprzaka od zejścia na złą drogę. Zaczął regularnie chodzić do szkoły, stał się posłuszny, a pan Wróblewski miał spokój i odzyskał swój autorytet.

W parę tygodni potem, już po przewrocie majowym, z mównicy sejmowej Marszałek jak biczem rzucił w kierunku posłów słowa: „Ja, moi panowie, złodziei w Polsce tolerować nie będę”.

109

Rok 1926 zastał Polskę dławiącą się w dusznej, jakby przepelnionej elektrycznością atmosferze. W powietrzu czuć było zbliżającą się burzę. Obserwując tylko wieś, sytuację gospodarczą można było uznać za złą i budzącą sprzeciw społeczny. Ziemiaństwo i gospodarstwa folwarczne, a więc najbardziej produktywny odłam rolnictwa, były systematycznie rujnowane przez niewspółmierne podatki, przez brak tańszego kredytu, przez reformę rolną, która coraz bardziej wżerała się we własność powyżej 50 hektarów i rokrocznie zagarniała za bezcen ziemi folwarczne. Niemieckie ziemiaństwo w tym czasie korzystało z jak najdalej idącej pomocy ze strony Rzeszy, z niskoprocentowych pożyczek, z pomocy w postaci nawozów mineralnych, maszyn i narzędzi rolniczych.

Natomiast w Polsce na majątkach niemieckich, których właściciele wyemigrowali do Vaterlandu, majątkach o wysokiej kulturze rolnej, uprzemysłowieniu i produkcji pan minister rolnictwa Poniatowski osadzał małorolnych z Małopolski, którzy za cały sprzęt przywieźli z sobą jakieś drobne koniki i jednokonne pługi i tymi to narzędziami zaczęli drapać ciężkie, pszenno-buraczane gleby pomorskie. Pan Poniatowski osadzał tych swoich pupili w naprędce skleconych domkach,

podczas gdy obok zabudowania folwarczne szły w ruinę. Ten bezmyślny, głupi proces reformy rolnej wzbudził do rządu polskiego jawną nienawiść zamożnego, przywiązanego do tradycji chłopca pomorskiego i niejedną z nich wzdychał do przedwojennych czasów dobrej pruskiej administracji i opieki nad rolnictwem.

Widok tych „poniatówek”, tych zrujnowanych, dawniej pięknych zabudowań, widok porośniętych chwastami ugorów, tam gdzie dawniej złościły się łany pszenicy i ciemną zielenią odbijały pola buraczane, był dla każdego zdrowo myślącego rolnika czymś, co można określić jednym słowem: obrzydliwość.

Było to prawdziwe „Polnische Wirtschaft”, za które się wstydzilem w czasie mojego pobytu w Genewie, skierowany tam przez MSZ do negocjacji z Litwą w sprawie żeglu-

110

gi na Niemnie. Oglądałem oficjalne raporty do Ligi Narodów, opatrzone danymi liczbowymi i fotografiami, stwierdzające zniszczenie rolnictwa na ziemiach dawnego zaboru pruskiego.

Brak nawozów stał się również poważnym problemem. Rolnictwo polskie było prawie z nich ogołocone. Na Śląsku rząd polski przejął od Niemców zakłady chemiczne produkujące azotniak i saletrę wapniową. Osiadł tam prof. Mościcki jako naczelny dyrektor i pseudowynalazca metody produkcji azotniaku, która to metoda była już wynaleziona przez Norwega, prof. Hegelunda. Mimo tej produkcji, nie można było jednak uzyskać potrzebnych ilości nawozów azotowych.

Rolnik miotał się jak ryba w sieci, ale korzyści polityczne brały przewagę nad interesem gospodarczym. Gdy podczas gwałtownego spadku cen na zboże otworzono szerokie wrota dla importu żyta węgierskiego, rolnicy polscy po interpelacji w Sejmie otrzymali prostą odpowiedź: „Panowie nie znają się na polityce zagranicznej. Rządowi polskiemu chodzi o utrzymanie jak najlepszych stosunków z Węgrami”.

Wiosna 1926 roku była wyjątkowo ciepła i obfita w opady. Ukończono wcześniej siewy.

Siedziałem na koniu, przyglądając się świeżo wyrzędo-wanym burakom, gdy nadbiegł zdyszany chłopak kredensowy i oznajmił, że wzywają mnie do telefonu.

Usłyszałem głos pana Skowrońskiego, sekretarza Związku Ziemian.

- Panie prezesie - informował mnie dosyć chaotycznie - nie mamy dokładnych wiadomości, ale komunikacja kolejowa i telefoniczna jest przerwana. Podobno w Warszawie wybuchło powstanie, na czele którego stanął Marszałek Piłsudski. Tłum jest uzbrojony, wojsko strzela do tłumu, a uzbrojeni robociarze do wojska. Mówią, że w stolicy anarchia. Tutaj w Kaliszu jest spokojnie, ale podobno garnizon kaliski otrzymał rozkaz ostrego pogotowia.

- Panie Skowroński - odparłem, gdy w słuchawce nastąpiła chwila ciszy - dziękuję za informacje, ale na razie

111

czekajmy jak się wypadki rozwiną i nie angażujemy się ani w jedną, ani w drugą stronę.

Wiedziałem, że sympatie pana Skowrońskiego, który większość życia spędził na Ukrainie, gospodarząc na dochodowej dzierżawie, były po stronie Piłsudskiego.

Na wieczór byliśmy zaproszeni przez marszałkostwo Niemojowskich do Marchwacza.

Po południu siadłem z Zosią do samochodu i pojechaliśmy szosą na Błaszki i Sieradz.

Po drodze nie zauważyłem nic, co by wskazywało na jakąś „ruchawkę” czy podniecenie. Wsie były ciche, tylko na przedmieściu Kalisza mineliśmy niewielką grupę ludzi żywo rozprawiających. Za Opatówkiem jednak wyskoczyło z rowu kilku uzbrojonych w karabiny żołnierzy, by zatrzymać samochód groźnym okrzykiem: „Stój, bo będziemy strzelać”. Do samochodu podszedł kapral.

- Kim państwo są? - zapytał - i czy macie przepustkę na przejazd?

- Żadnej przepustki nie mamy. Jestem ziemianinem z Kamienia i nie wiem w ogóle o co chodzi.

- Panie dziedzicu, tu jest linia graniczna pomiędzy DOK Poznań i DOK Łódź i mam rozkaz nie przepuszczać nikogo bez przepustki lub wiarygodnych dokumentów. - Podałem mu legitymację Związku Oficerów Rezerwy, a że byli to żołnierze Pułku Strzelców Kaniowskich, więc bez zbędnych wyklócań przepuszczono nas w dalszą drogę, wypisując nawet przepustkę na powrót. Państwa Niemojowskich zastaliśmy nie mniej zakłopotanych od nas samych. Wiadomości o wypadkach warszawskich, jakie tu przeniknęły, wydawały się nam nieco wyolbrzymione. Cały

wieczór rozprawialiśmy o tych zdarzeniach. Pan Niemojowski, będąc za czasów Regencji marszałkiem Rady Stanu, poznał dobrze Piłsudskiego i był raczej skłonny przypuszczać, że zamach pociągnie za sobą dyktaturę tłumu i że anarchia ogarnie cały kraj. Było już dobrze po północy, gdyśmy wrócili do Kamienia.

112

Rano uznałem za swój obowiązek zebrać radę Związku Ziemiaków, aby naradzić się nad sytuacją. Zamierzałem telefonować do niektórych poważniejszych ziemian, gdy zameldowano mi, że na polu lądował samolot wojskowy.

Pośpieszyłem na to miejsce. Samolot otoczony był już tłumem chłopów i wyrostków wiejskich. Z trudem przedostałem się przez tłum i podszedłem do dwóch lotników. Zapytali mnie, czy mogą skorzystać z telefonu i zatelefonować do sztabu dywizji w Kaliszu. Zaprosiłem ich wobec tego na śniadanie, poleciwszy wójtowi, który był na miejscu, aby wokół samolotu rozstawił posterunki straży ogniowej i nie dopuszczał nikogo do maszyny.

Po dłuższej rozmowie ze sztabem jeden z oficerów poprosił mnie o nocleg dla nich, gdyż dopiero wieczorem dowództwo nadeśle benzynę i nad ranem będą mogli startować do dalszej drogi.

Odłożyłem wobec tego zebranie Związku Ziemiaków do następnego dnia i pozostałem w domu, aby towarzyszyć moim gościom.

Nie byli rozmowni i pod różnymi pretekstami unikali rozmowy o aktualnej sytuacji, jak i o polityce. Nie mogłem nawet zorientować się do jakiego obozu należą. Większość dnia spędzili zresztą majstrując koło samolotu.

Nazajutrz wczesnym rankiem formalnie wyciągnęli kołmi samolot na odpowiednią równinę, pożegnałem obu oficerów, śmigło nabrało obrotów i samolot po dość trudnym przebiegu na nierównym polu poderwał się z ziemi, wzniósł się na pewną wysokość i wtedy posypały się z niego jakieś białe papierki, a sam samolot zniknął nam z oczu. Chłopi rzucili się tłumnie na ulotki i jakiś wyrostek przyniósł mi jedną z nich. Była to odezwa Marszałka Piłsudskiego do wojska.

Krótko potem z odezwą w kieszeni jechałem samochodem do Kalisza.

W lokalu Związku Ziemiaków było już zebranych kilkanaście osób. Nikt nie miał dokładnych informacji, a puszczona przeze mnie w obieg ulotka wywołała niemałą sensację. Po dłuższych rozważaniach namówiliśmy Józka Radon-

113

skiego, by swoim olbrzymim „benzem” postarał się przedostać do Warszawy i zasięgnąć języka w zarządzie Związku Ziemiaków.

Wkrótce po jego odejściu niespodziewanie otworzyły się drzwi i na salę wkroczył pan Ignacy Chrystowski z Tłokini, jeden z najbardziej fanatycznych endeków, jakich w życiu spotkałem. Złośliwe języki podawały, że zacy pan Ignacy, zwany Hryniem, ma w swoim pokoju butelkę napełnioną wodą z wanny, w której kąpał się Dmowski i że co dzień przelyka kilka kropel tego płynu, co ma go pokrzepić na duchu.

Pan Ignacy był nieco upośledzony fizycznie i nie nadawał się ani na wojaka, ani na dyktatora. Toteż ze zdziwieniem przyjęliśmy jego wkroczenie na salę w postawie senatora rzymskiego, w czapce kroju wojskowego i z orzełkiem; przy kłapie jego ubrania błyszczał emblemat endecji, srebrny miecz z owiniętą dookoła ostrza żmiją.

- Panowie - rzekł - właśnie... tego owego - Hryń nigdy nie grzeszył wymową - jestem wyznaczony przez władze wyższe delegatem na okręg kaliski. Pełnomocnictwa moje są bardzo szerokie i wzywam panów jako członków Związku Ziemiaków do ścisłego wykonywania moich poleceń. Przede wszystkim muszę mieć stale samochód do dyspozycji przed lokalem związkowym. Panowie między sobą ustalą godziny dyżuru, a pan Jałowiecki nie zwlekając odwiezie swoim samochodem dwie osoby do pana Orłowskiego pod Turkiem. Pan Wyganowski zawiezie mnie na godzinę do Ostrowa i wróci. O dalszych moich zarządzeniach panowie usłyszą w swoim czasie.

Zdumieni spojrzeliśmy po sobie.

- Hm... mam wrażenie, że Hryń postradał zmysły - rzekł z cicha Kostek Murzynowski z Kalinowej - ale nie mamy na razie innej rady jak udawać, że go słuchamy.

- Panie Karśnicki - rozległ się już władczy ton pana Ignacego - pan jako komendant straży ogniowej

ma polecenie trzymać swoich strażaków w ostrym pogotowiu.

- Panie Chrystowski - rzekł czerwony z oburzenia Fe-
114

lek. - Ja jestem oficerem rezerwy, jestem prezesem Związku Oficerów i uprzedzam, że będę wykonywał jedynie rozkazy wydane przez dowództwo dywizji, a nie przez pana.

- Panowie - mówił dalej niezrażony Hryń - o godzinie szóstej wieczorem przybędzie do Kalisza sam poseł Kawec-ki, pełnomocnik na Wielkopolskę, który da panom potrzebne wyjaśnienia i instrukcje. Proszę panów, aby wszyscy stawili się w sali obrad Banku Ziemi Kaliskiej. Panie Jałowiecki - zwrócił się do mnie - ponieważ każda minuta jest droga, niech pan nie zwlekając odwiezie obydwu panów do pana Orłowskiego, pełnomocnika na powiat turecki - rzekł, ostatnimi słowami zaznaczając ważność swojej misji i wskazał na dwóch młodych ludzi o wyglądzie pocziwych bałwanów.

- A pan, panie Wyganowski, niezwłocznie odwiezie mnie do Ostrowa.

Spojrzelśmy z panem Stanisławem Wyganowskim po sobie.

Już chcieliśmy wyhamować go w jego zapędach rozkazodawczych, ale Hryń jakby opadł z sił. -

Jestem tak przepracowany - dorzucił - że właśnie... tego... nawet nie miałem czasu zjeść śniadania ani obiadu.

Zrobiło się go nam żal. Posadziłem więc obydwu bałwanów na tylnym siedzeniu i ruszyłem w drogę. Kiedy mijaliśmy Kamień, dzwoniło na rozpoczęcie robót po przerwie obiadowej. Byłem głodny i zły. Z Kamienia do Turka miałem jeszcze 30 km.

Dwór pana Orłowskiego leżał tuż przy miasteczku. Przywitałem się z panem Orłowskim, na którego twarzy malował się przestach zmieszany z zakłopotaniem i oddawszy pod jego opiekę dwóch „bałwanów”, należących chyba do bojówki endeckiej, co prędzej wróciłem do Kalisza.

Gmach Banku Ziemi Kaliskiej położony przy ulicy Józefiny wypełniony był publicznością. Oprócz ziemian byli tam adwokaci, lekarze, przemysłowcy, kupcy.

Wśród licznych zebranych jak „mucha w ukropie” kręcił się pan Ignacy.

115

- Właśnie mam wiadomość, że poseł Kawecki wyjechał już z Pleszewa i dąży do Kalisza. Lada chwila możemy się go spodziewać - uspakajał niecierpliwych.

Tymczasem przeszedł kwadrans, pół godziny, godzina, a posła Kaweckiego wciąż nie było.

- Kto wie czy poseł Kawecki nie został porwany przez piłsudczyków - rzekł Kostek Murzynowski.

- Właśnie... tego... właśnie chciałem powiedzieć, że właśnie w takiej chwili panowie pozwalacie sobie na żarty - wykręcał się Hryń. - Poseł Kawecki ma tyle na głowie, że ma prawo się spóźnić.

Ja wyznaczyłem kilku moich ludzi, którzy czekają u wejścia i natychmiast powiadomią nas o pojawieniu się posła Kaweckiego.

- Prezesie - zwrócił się do mnie Leonek Bronikowski, nie zważając na uzalania się Hrynia - oboje z Sewerem Chrzanowskim doszliśmy do wniosku, że posła Kaweckiego się nie doczekamy, a jesteśmy z powodu tych dyżurów niezwykle głodni. Tak że mamy gdzieś pana posła, jak i naszego dyktatora, i proponujemy by przejść się do „Europy” na kieliszek i przekąskę.

Mieliśmy już wstawać z naszych miejsc, gdy z dołu rozległy się głosy, że poseł Kawecki zbliża się do sali zebrań. Przypominało mi to Pałac Zimowy w Petersburgu, gdzie warta trzymając straż podawała od sali do sali przejście cesarza głosem: „Gosudar Impierator, Gosudar Impiera-tor...”, tak i tu: „poseł Kawecki...poseł Kawecki...” było podawane z ust do ust. Wreszcie na salę wkroczył sam pan poseł poprzedzany przez samego pana Ignacego, który oznajmił:

-Właśnie chciałem... tego... właśnie... zakomunikować panom, że poseł Kawecki przyjechał.

Po raz pierwszy w życiu ujrzałem posła Kaweckiego. Był to mąż dorodny o twarzy rzymskiego trybuna, niezachwiana potęga i siła biła z całej postaci. Stał w pozycji wodza przy stole prezydialnym.

- Panowie - rzekł nieustraszonym głosem - czas mam więcej niż ograniczony, bowiem na moich barkach spoczy-

116

wa dziś poważne zadanie ukrócenia anarchii i warcholstwa. Panowie, zachowajcie, proszę, spokój i

wykonujecie rozkazy płynące ze źródeł praworządnych. Nasz delegat Chry-stowski będzie cały czas trzymał rękę na pulsie. Zbuntowane rzesze rebeliantów są w ucieczce, a winni - zawołał poseł Kawecki - poniosą zasłużoną karę!

To powiedziawszy uderzył pięścią w stół, obrzucił tryumfującym, ale surowym wzrokiem zebranych i poprzedzany przez Hrynia opuścił salę, pozostawiając nieme z osłupienia zgromadzenie.

Nie minęło pięć minut od wyjścia posła Kaweckiego, gdy na salę wpadł zdyszany i czerwony z podniecenia Felek Karśnicki.

- Panowie - zawołał już w drzwiach - przed chwilą rozmawiałem przez telefon z Józkiem Radońskim. Siedzi teraz w „Bristolu” w towarzystwie Koźmiana i kilku lubliniaków i przy kieliszku święcą koniec sejmowładztwa. Prezydent Wojciechowski zgłosił rezygnację i opuścił Belweder w towarzystwie Witosy i generała Andersa. Wojska zrezygnowały z dalszej walki. Wszyscy zgłosili akces do Piłsudskiego. W stolicy panuje teraz spokój, a straty są nieznaczne... Ale to nie wszystko. Ziemiaństwo w osobie prezesa Steckiego otrzymało zapewnienie poszanowania własności prywatnej, poszanowania stanu ziemiańskiego i zaproszenie do współpracy w odbudowie rolnictwa zniszczonego przez partyjniactwo i demagogię sejmową.

Tymczasem Hryń, odprowadziwszy posła Kaweckiego, wrócił na salę i właśnie miał wydać jakieś nowe zarządzenia, gdy mu przerwano i poinformowano o najnowszych wiadomościach ze stolicy.

- To nie jest prawda, to złośliwe rozsiewanie defetyzmu, to jest zdrada, panowie poniosą za to odpowiedzialność - wołał czerwony z oburzenia Hryń.

- Panowie - rzekł Leonek Bronikowski - pozostawmy w spokoju pana Chrystowskiego razem z posłem Kawec-kim. W każdym razie ja mam już powyżej gardła dyktatury pana Ignacego i proponuję, byśmy przeszli do „Euro-

117

m

py” i za przykładem Józka Radońskiego wypili po kieliszku czegoś mocnego. Sądzę, że nasz prezes

- Leonek uklonił się w moją stronę - nie będzie sprzeciwiał się naszej propozycji.

- Oczywiście - odrzekłem - ja też mam już dosyć dyktatury endeków i z chęcią podtrzymuję wniosek pana Leona.

Po tych moich słowach obrażony Hryń pośpiesznie opuścił zebranie i na parę miesięcy zaszły się w swojej Tłokini, unikając spotkania z nami i przyjazdów do Kalisza.

Nazajutrz wróciłem do miasta, aby zasięgnąć dalszych wiadomości. Pana starostę Tułeckiego zastałem w stanie wielkiego niepokoju z powodu braku dalszych instrukcji z województwa.

Starosta zgodnie z uświęconą w Galicji tradycją obrał drogę trochę za daleko posuniętej ostrożności; chciał według rosyjskiego przysłowia „i kapitał nażył”, i niewinność sochranit”, co mu się nie udało i w rezultacie po paru tygodniach został usunięty ze stanowiska.

Natomiast dowódca dywizji w Kaliszu, generał Albin Jasiński był człowiekiem prostolinijnym, słuchał rozkazów płynących z DOK Poznań i wiedział od razu co go czeka.

- Tak ja, panie prezesie, wraz pójdę do odstawki. - Generał się nie pomylił, bo również w parę tygodni po przewrocie został przeniesiony w stan spoczynku i osiadł w swoich rodzinnych stronach gdzieś pod Lida.

Miałem już pożegnać się z generałem, kiedy zadzwonił telefon. Generał skinął na mnie ręką, abym nie wychodził. Gdy odłożył słuchawkę, zakomunikował mi z powagą, że w tej właśnie chwili dostał wiadomość o tragicznym wypadku dowódcy DOK Poznań gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Nie mógł dowiedzieć się szczegółów; powiedziano mu tylko, że Sosnkowski jest ciężko ranny wystrzałem z rewolweru, bowiem kula przeszła płuca w okolicy serca.

Wróciłem do Kamienia, aby powiadomić o tym Zosię i nie czekając, tegoż popołudnia pierwszym pociągiem pojechałem do Poznania. W „Bazarze”, gdzie się zatrzymałem, nasłuchiwałem się różnych wersji o tym wypadku; z jed-

nych wynikało, że generał został postrzelony przez któregoś z oficerów, z innych, że generał targnął się na własne życie, znalazłszy się w kolizji pomiędzy sumieniem a oddaniem i przyjaźnią, jaka go łączyła z Marszałkiem Piłsudskim. Jak się okazało, ta druga wersja była słuszna. Nazajutrz rano

byłem w szpitalu i rozmawiałem z moją siostrzenicą generałową Sosnkowską. Od niej dowiedziałem się, że moja siostra Ada przyjechała zaraz po wypadku do Poznania, ale została aresztowana i wydalona z miasta. Poznań z wojewodą Bnińskim do końca był wierny rządowi. Doktor Jufasz, który zajmował się rannym poinformował mnie, że grożące generałowi niebezpieczeństwo minęło, ale kuracja będzie długa i uciążliwa. Zaprosił mnie do swojego gabinetu i tam poufnie powiedział mi, że generał celował w serce, ale w kieszeni jego munduru znajdowała się gruba, metalowa papierośnica, która odbiła kulę, przy czym doktor uśmiechnął się znacząco. Przypomniałem sobie czapkę generalską Sosnkowskiego obok maciejówki Piłsudskiego, jaką widziałem parę tygodni przedtem w mieszkaniu Ady.

Samobójstwo jest dla mnie nie tylko ostatecznym grzechem, ale również dowodem tchórzostwa i ucieczki przed obowiązkami. W tym wypadku jednak był to szczytowy popis aktorstwa generała w dramacie złego gustu. W Poznaniu do końca nie można było się zorientować po czyjej stronie jest zwycięstwo, więc generał wybrał gest hamletowski, zabezpieczając się przedtem papierośnicą, której nie można było nie wyczuć przez sukno munduru. Gest ten mógłby być interpretowany jako dowód lojalności tak przez jedną, jak i drugą stronę. Piłsudski nie był jednak naiwny i odtąd jego stosunek do Sosnkowskiego uległ wielkiemu ochłodzeniu i wyraźnie zaczął usuwać generała w cień.

Z uwagi na siostrę nadal utrzymywałem stosunki rodzinne z Sosnkowskimi, ale po tym wypadku Sosnkowski jako wojskowy i mąż stanu przestał się dla mnie ostatecznie liczyć.

118

119

Nie sądzono mi było pozostawać dłużej w domu, bo otrzymałem telegram podpisany przez prezesa Zarządu Głównego Związku Ziemian, abym jako członek rady natychmiast przybył do Warszawy na posiedzenie.

Senator Stecki złożył sprawozdanie z przebiegu owych kilku krytycznych dni przewrotu. Dowiedzieliśmy się, że w Warszawie walki były zacięte. Niektóre gmachy po kilka razy przechodziły z rąk wojsk rządowych do wojsk Piłsudskiego. Po obu stronach zginęło na ulicach około tysiąca osób. Młodzież uniwersytecka wzięła udział w walkach, a Arkonia jak zawsze lojalna wobec złożonej przysięgi walczyła po stronie rządowej. Zginął między innymi wiceprezes Arkonii, młody Adam Ma-linowski. Zrozpaczeni rodzice przyjęli wiadomość o śmierci jedyne go syna z prawdziwie chrześcijańską pokorą. Na grobie zmarłego umieszczono napis „Bóg tak chciał”. Padł też młody Gliński z Boniewa, członek korporacji Sarma-cja.

Wszystkie te wiadomości rozwiały moje optymistyczne, a spowodowane oddaleniem od stolicy, zapatrywania na przebieg wypadków.

Prezes Stecki był już przyjęty przez Marszałka Piłsudskiego, który zapewnił go, że nie dopuści do żadnych ekscesów tłumu lub naruszenia własności prywatnej. Jednakże wyraźnie podkreślił, że żąda od ziemiaństwa lojalnej współpracy nad uporządkowaniem kraju, który samo-władztwo doprowadziło do skrajnej przepaści.

Informacje i argumenty przytaczane przez senatora Steckiego były przez zebranych, z których znaczna część sympatyzowała z endecją, przyjmowane dość sceptycznie.

Dały się słyszeć głosy, że są już wiadomości o napadach na dwory, o działalności różnych komunistycznych agitatorów, przytoczono przypadek zajęcia przez chłopów obszarów dworskich w Kutnowskiem. Nikt jednak nie mógł dokładnie potwierdzić wiarygodności tych pogłosek.

Po dłuższych naradach zebrani postanowili zainicjować samoobronę dworów i zaproponowano powołanie jedne-

go z ziemian na pełnomocnika do tej sprawy, obdarzonego bardzo szerokimi uprawnieniami. Ku mojemu zaskoczeniu senator Stecki postawił moją kandydaturę, którą zebrani poparli jednomyślnie. Poprosiłem przewodniczącego o głos i kategorycznie odmówiłem przyjęcia ofiarowanego mi mandatu, oraz zwróciłem uwagę na konsekwencje zapadłej uchwały.

Uważałem, że jest za wcześnie na taką organizację, skoro Marszałek zapewniał o zachowaniu praworządności i że ze strony ziemian nie należy wywoływać wilka z lasu organizacją, która byłaby jawnie skierowana przeciw Piłsudskie-mu i może być interpretowana jako „bojówka ziemiańska”

dając „wodę na młyn” lewicowej demagogii.

Moje oświadczenie odniosło pewien skutek i zdecydowano na razie przyjąć postawę wyczekującą. Prezes Stecki miał natomiast bez żadnych oporów informować natychmiast Marszałka o wszelkich przejawach anarchii na wsi i żądać niezwłocznej interwencji.

Było dość późno, gdy wydostałem się wreszcie z zebrania i pośpieszyłem do Hotelu Europejskiego na kolację. Sala była przepelniona i z trudem znalazłem wolny stolik. Zamierzałem już złożyć zamówienie, gdy podszedł do stolika maitre d'hotel, pan Franciszek, z oznajmieniem, że ks.

Seweryn Czetwertyński prosi mnie do siebie.

Sewer jako właściciel hotelu i dobry administrator siedział zwykle przy stoliku w rogu sali, skąd mógł śledzić czy wszystko jest w porządku.

Chociaż po ostatnim zjeździe ziemiańskim stosunki nasze nieco ochłodziły, skorzystałem z tego zaproszenia, aby wy badać stanowisko endeków, jako że Czetwertyński był zagorzałym zwolennikiem endecji.

Przywitaliśmy się serdecznie.

- Znając twoje zapatrywania, Miechu - rzekł Sewer - z góry jestem przekonany o tym, co mi powiesz. Czy wasz romans wileńskiej konserwy z Piłsudskim długo potrwa - to rzecz przyszłości. Dziwi mnie tylko łatwość, z jaką zrezygnowaliście z praworządności i wy, konserwatyści, po-

120

121

daliście rękę demagogii i warcholstwu. Poczekajcie, a przekonacie się co was czeka i jak się sprawy obróca. Pomijam osobę Piłsudskiego, którego jestem jawnym oponentem, ale mimo to cenię w nim odwagę i stanowczość; być może, że póki on żyje, jako taki ład utrzyma się w kraju, ale czy pomyślałeś co stanie się z Polską na wypadek jego śmierci? Czy te same elementa, które tworzyły rząd lubelski i chciały pogрузić Polskę w komunizm nie dojdą znowu do głosu? Przecież takie osobistości jak Rydz-Smigły, jak Mie-dziński i inni są najbliższymi doradcami i otoczeniem Piłsudskiego. Wreszcie zobaczycie kogo wam wyznaczą na prezydenta, na pewno ani Zamoyskiego, ani Bnińskiego, wyznaczą wam Mościckiego, tego ex-Weleta, dla którego nawet ta dla nas - Arkonów, mało sympatyczna, lewicująca korporacja okazała się zanadto prawicowa. Szanuję wszelkie przekonania, ale socjaliści jak Mościcki przekonani w ogóle nie posiadają i zobaczysz, że z chwilą, gdy zasiądzie „przy korycie”, na pewno zapomni o swojej przeszłości i będzie się płał w dobrobycie i reprezentacji. Zapewniam cię, że będzie to kosztowny prezydent, za którego i ja, i ty będziemy płacić.

Przytaczałem argumenty, że endecja sama jest sobie winna, tracąc władzę swoim kumoterstwem i brakiem fachowości i że zamach był konieczną, może ryzykowną operacją, która uchroniła Polskę od anarchii i gospodarczego chaosu połączonego z zubożeniem ludności.

- Przecież Sejm, gdzie różniły was od lewicy tylko hasła, a nie postępowanie, zmieniał Polskę w nie do zniesienia „kraj koleżków” - dowodziłem.

Argumentacja ta mało Sewera przekonała. Rozstaliśmy się mimo to serdecznie, ale każdy pozostał przy swoim zdaniu.

Nazajutrz rano zaszedłem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdyż dowiedziałem się, że mój dobry znajomy z czasów petersburskich pan Roman Knoll został wyznaczony na tymczasowego kierownika tego resortu.

Lubiłem pana Romana za jego wesołe usposobienie i

122

niezrównany dowcip. Był to przemiły leń, ale jakoś nie dopatrywałem się w nim męża stanu, a tym bardziej kierownika spraw zagranicznych, na które to stanowisko fala wypadków majowych go wyniosła.

Spotkałem go w holu ministerstwa, w chwili, gdy właśnie z gmachu wychodził. Był ubrany w świetnie skrojone, szare ubranie, wiało od niego dobrą wodą kolońską i beztróską. Zobaczywszy mnie podszedł, ściskając serdecznie rękę.

- Panie Mieczysławie - rzekł - rekomenduje się „nowy komissar po inostrannym diełam Roman Adamowicz Knoll”.

-V

Sanacja

Nie zamieniłem z prof. Mościckim bodaj jednego słowa, ani będąc kilkakrotnie zaproszony na przyjęcia na Zamku, ani w Kaliszu, gdy jako prezes Związku Ziemian witałem go na granicy powiatu, ani siedząc naprzeciw przy stole w czasie przyjęcia prezydenta na ratuszu tego miasta. O Mościckim słyszałem natomiast wiele od ś.p. Matki mojej. Było to w roku 1905. Matka z młodszą moją siostrą Anielką spędzała zimę w Lozannie, a Mościcki ze swoim przyjacielem Suligowskim prowadzili prace naukowe na uniwersytecie we Fryburgu i nieraz odwiedzali moją Matkę, która zawsze lubiła młodzież.

Z tych dwóch uczonych Suligowski był wołem roboczym, a Mościcki potrafił zbierać laury wyłącznie dla siebie i umiał zręcznie usunąć w cień Suligowskiego, któremu zawdzięczał jeżeli nie wszystko, to wiele.

Spotykałem Suligowskiego później często: spotkałem go w Syługudyszkach, gdy przyjechał złożyć uszanowanie mojej Matce, spotkałem go w Strzelcach u mojego szwagra Be-liny, spotkałem go wreszcie w Łodzi jako człowieka bardzo rozgoryczonego. Mościcki był już wówczas prezydentem i pławił się we własnej chwale, w zbytku i „reprezentacji”.

Mościckiemu zależało bardzo, aby nie dopuścić imienia Suligowskiego do zasług związanych z ich pracami chemicznymi i tępił swojego byłego kolegę gdzie mógł i jak mógł. W efekcie Suligowski, wybitny uczonek, zajmował jakieś podrzędne stanowisko w przemyśle łódzkim.

124

Miałem więc do Mościckiego, tego parweniusza i eks-socjalisty nieprzewyciężony wstręt i daleko posuniętą antypatię.

Kto Marszałkowi sugerował wybór Mościckiego, tego nie wiem, podobno była to inicjatywa Bartła, niech mu Bóg ją wybaczy; Marszałek wysunął jeszcze jedną kandydaturę zacnego prof. Mariana Zdziechowskiego, jednego z rzadkich już dziś, kryształowo czystych ludzi. Narodowcy wysunęli kandydaturę hr. Bnińskiego.

W czasie wyborów głupota wyborców i socjalistyczna demagogia zwyciężyły. Ludowcy oddali swoje głosy na Mościckiego i w dniu 1 czerwca 1926 roku Ignacy Mościcki został prezydentem. Zaczął się nowy, nie mniej tragiczny okres Rzeczypospolitej, okres życia nad stan, okres szastania publicznymi pieniędzmi na utrzymanie dworu prezydenta, na rozdmuchane do wielkości ambasad placówki zagraniczne, zaczęło się życie na pokaz, kilkanaście samochodów osobistych prezydenta, rezydencje, polowania i różne reprezentacyjne zbytki, na które nigdy nie pozwoliłaby sobie ani bogata Szwecja, ani Dania, ani Holandia.

Typowy dla parweniuszy brak umiaru pociągnął innych. Córka Jodko-Narkiewicza szastająca tysiącami dolarów w Paryżu, pan Przedpełski, szef półpaństwowego koncernu „Wspólnota Interesów” przywożący z Moskwy łupy w postaci biżuterii i innych kosztowności, to tylko czubek góry lodowej, w jakiej niegdyś skromni socjaliści i legionowe wywiałki mościły się na posadach o wielotysięcznych pensjach.

Zaczął się nieprzebierający w środkach nepotyzm, obsadzanie miejsc przez krewnych Mościckiego. Uszy były wiecznie prześwidrowane wiadomościami o bohaterskich wyczynach inżyniera Bobkowskiego, zięcia Mościckiego, a skandal z Michałem Mościckim, synem prezydenta, którego zrobiono ambasadorem w Brukseli, mógł oburzyć każdego uczciwego człowieka. Jak większość dzieci parweniuszy dopuszczonych do władzy, synek Mościckiego wsławił się tam rozwiązłym życiem i przegraniem w karty znacz-

125

nych sum opłaconych z funduszy dyspozycyjnych MSZ czy fundacji kórnickiej.

Hołota na ogół degeneruje się już w pierwszym pokoleniu. Nie czułem jednak w sobie „schadenfreude”, widząc tego obraz, bo wszystko to nie przynosiło zaszczytu Polsce, a zagrażało jej bezpieczeństwu.

Może jedyną dodatnią cechą, ale bynajmniej nie charakteru, lecz czysto zewnętrzną pana Ignacego Mościckiego była wyniosła postać i dobra mina. Zaroiło się od jego fotografii i portretów już to we fraku przepasanym wielką wstęgą Orderu Orła Białego, już to na koniu, już to ze strzelbą w rękę na

stanowisku w kniei.

„Wiry, wiry, i to piaskowe. Piasek zasypuje Polskę całą, zmieniając ją w pustynię, na której rodzić się będą jeno szakale” - myślałem często o tych słowach Sienkiewicza.

Pieniądże publiczne pochodziły z podatków, a urząd skarbowy jak dawniej czynił wszystko, by je pomnażać kosztem obywatela produkującego.

Dwójka pomnożona przez dwójkę daje w rezultacie pięć, a jedynka pomnożona przez jedynkę daje w rezultacie dwójkę. Miałem w życiu i na wyższych studiach dużo do czynienia z matematyką, ale matematyka polskiej skarbowo-ści pozostała dla mnie na zawsze czymś niezrozumiałym, co może teoria względności mogłaby zgłębić.

Podstawą piramidy, do której można było porównać system podatkowy stosowany do wsi polskiej, a raczej do pełnorolnych gospodarstw był podatek gruntowy. Od wysokości tego podatku, który niestety nie miał ściśle ustalonych granic, bo zależał od klasyfikacji gruntu według „widzimisie” naczelnika urzędu skarbowego, naliczało się dalsze podatki: gminne, samorządowe i drogowe.

W Kaliskiem, jednej z najbardziej obciążonej podatkami części Polski potrafiłmy jakoś utrzymać się na powierzchni tylko dlatego, że kaliscy ziemianie gospodarzyli sami bez pomocy rządów i licznej administracji. Mimo to

126

wizyty panów ubranych w czapki z zielonymi obszyciami świadczące o ich inkwizytorским urzędzie, tak zwanych „sekwestratorów” nie należały do rzadkości. Jednocześnie im kto punktualniej płacił podatki, tego urząd skarbowy obarczał coraz większymi stawkami. Płaci, a więc może płać, i do zamożniejszych i lepszych gospodarzy urzędy skarbowe wyciągały swoje macki na kształt polipa, hamując tym samym rozwój gospodarczy wsi.

Naczelnikiem urzędu skarbowego w Kaliszu był niejaki pan Rusin z którejś tam „brygady Legionów”, który od pierwszych dni poczuł do mnie nienawiść, zwierzając się na mieście, że on już potrafi zniszczyć „tego jaśnie pana, tego ministra, itd.” i nie był gołosłowny.

Pewnego dnia siedziałem sam przy spóźnionym śniadaniu. Byłem już od szóstej rano na koniu, więc rozkoszując się jedzeniem, sięgnąłem machinalnie po pocztę. Między innymi natrafiłem na pismo urzędu skarbowego z nowym wymiarem podatku gruntowego. Momentalnie straciłem cały apetyt, gdy ze zdumieniem znalazłem nakaz na opłatę podatku gruntowego od 3600 morgów, a więc trzy razy więcej niż Kamień posiadał.

Zerwałem się od stołu i pobiegłem do telefonu, wywołując naczelnika urzędu.

- Panie naczelniku - rzekłem zemocjonowany - w wymiarze podatku gruntowego zaszła z waszej winy pomyłka. Kamień posiada 1200 morgów, a nie 3600.

- Nie, panie prezesie - usłyszałem pewny siebie głos Rusina. - My mamy wiadomości, że Kamień właśnie tyle gruntów posiadał.

- Niech panowie sprawdzą w hipotece, być może, że Kamień zawierał 3600 morgów przed uwłaszczeniem, albo z końcem osiemnastego wieku. - Moje zdenerwowanie wzrastało. Przy takim podatku prowadzenie majątku traciło sens.

- Nas hipoteka nie obowiązuje, tylko skarb państwa - odpowiedział twardo Rusin, dając mi tonem do zrozumienia, że sprawa jest skończona.

- To co pan robi, panie Rusin, to jest jawne nadużycie i

127

ja będę na to niezwłocznie reagował - krzyknąłem, czując jak dygoczę ze złości.

Rzuciłem słuchawkę i wróciłem do jadalni. Sam nie poczułem, jak w pewnej chwili straciłem przytomność i osunąłem się na podłogę. Dopiero po chwili ocknąłem się, słysząc głos Marcina: „Jaśnie pan żyje, bo ma uszy czerwone i mruga powiekami” - i ujrzałem w drzwiach wystraszone twarze pokojowej, kucharza i praczki.

- Niech Marcin poleci Józefowi, by zaraz podjechał samochodem, bo jadę do Kalisza - krzyknąłem, zrywając się na nogi.

Z furią wpadłem do gabinetu naczelnika i nie mówiąc ani słowa złapałem za słuchawkę jego telefonu i kazałem się połączyć z Wacławem Koszką, dyrektorem departamentu podatkowego, filistrem Arkonii, z którym byłem na ty. Rusin zerwał się gwałtownie, ale pchnąłem go z powrotem

do fotela.

- Słuchaj - rzekłem do Waclawa - jeżeli nie zabierzecie z Kalisza tego bandyty, to doczekacie się, że tak miasto, jak i powiat będzie doszczętnie zrujnowane. Jeżeli o mnie chodzi, to poruszę sprawę tego bandytyzmu nie tylko u ministra, ale i w Sejmie.

Rusin zbladł. To nie był już pewny siebie arogant, tylko „szmata”.

- Panie prezesie - jękał się przymilnie - służbowo chciałem jak najlepiej i dlatego pozwoliłem sobie zabezpieczyć zawczasu wymierzony podatek na hipotece Kamienia. Oczywiście naprawimy pomyłkę, ale niestety nie mogę teraz skasować zastrzeżenia w księgach hipotecznych bez wyraźnego polecenia prezesa Łódzkiej Izby Skarbowej. Ja bardzo pana prezesa przepraszam...

Zarówno prezes Izby Skarbowej w Łodzi, jak Waclaw Koszka, starali się usprawiedliwić Rusina.

- Bardzo żałuję tego, co się stało, ale pan Rusin chciał jak najlepiej działać dla skarbu państwa. Winna tu jego gorliwość - powiedział prezes - i pan rozumie, że nie mogę za to karać pracownika.

128

- Panie prezesie, pan nazywa to gorliwością, a ja bandytyzmem - rzekłem wychodząc z jego gabinetu.

Zajął mi parę miesięcy i dużo straciłem nerwów zanim skasowano zastrzeżenie hipoteczne i jak orzeczenie twierdziło, „przywrócono do pierwotnie wymierzonego podatku”. W tym czasie pan Rusin doprowadził do samobójstwa pana Mystkowskiego, bardzo poważanego właściciela sklepu kolonialnego i zrujnował jego brata, który posiadał wzorową piekarnię parową.

Pewnego dnia, jadąc z Kalisza, ujrzałem chłopów z toporami w ręku ścinających piękne jabłonie i grusze.

- Gospodarzu - spytałem jednego z nich - czyście poszaleli ścinać takie handlowe odmiany dobrze rodzących drzew?

- Ade proszę jaśnie pana, co mamy robić, kiedy ten bandyta, naczelnik urzędu skarbowego obłożył nasze drzewa takim podatkiem od każdej jabłoni i gruszy, że się one nam nie kalkuluja.

Podatkami można było również straszyć dla politycznych celów. W czasie wyborów do Sejmu kandydatami z okręgu kaliskiego byli Felek Karśnicki z listy Ozonowej i pan Antoni Piątkowski z listy Stronnictwa Narodowego. Pan Piątkowski był doskonałym rolnikiem i świetnie umiał przemawiać do chłopów. Cieszył się wśród nich dużą popularnością, chociaż dla swojej przewlekłej wymowy był przez nich zwany „Gęgała”. Spytałem wójta Witczaka co myśli o wyborach.

- Ja bym tam, panie prezesie, głosował za Gęgała, boć to i dobry gospodarz, i umie przemówić do chłopów, ale mam polecenie, aby przeprowadzić dziedzica z Majkowa, pana Karśnickiego, wedle tego „ozonu”, bo inaczej to nam pan wojewoda podatków dołoży.

Ze wsi mogłem obserwować wiele rzeczy. Ku ogólnemu zdumieniu stosunki na prowincji po przewrocie majowym zmieniły się jednak nie do poznania... Minęła or-

9 - Requie

129

gia sejmowładztwa i bałagan administracyjny. Czuć było silną rękę.

Starostowie zajęli się poważnie administracją, zniknęli gdzieś agitatorzy Wyzwolenia i partii chłopskiej, przycichły różne figury spod ciemnej gwiazdy, będące widocznie na usługach komunistów.

W Związku Ziemian przewrót majowy nie wywołał rozdwojenia. Dwóch naszych nieobliczalnych endeków: pan Ignacy Chrystowski i pan Sokolnicki chcieli prawie przemocą wciągnąć związek w orbitę walki z Piłsudskim i poddać pod wpływy Obozu Wielkiej Polski, ale się im to nie udało.

Kaliszanie jako ludzie praktyczni mieli już dość bałaganu i cieszyli się, że nowe rządy potrafiły unieszkodliwić lewicę, jak i ochronić kraj od dyktatury endeckiej, która i nam dobrze dała się we znaki.

Mieliśmy niejedno bardzo burzliwe posiedzenie Związku Ziemian, które wymagało z mojej strony wiele spokoju i wysiłku, aby nie dopuścić do rozpętania namiętności. Niestety, obaj panowie: Chrystowski i Sokolnicki ostentacyjnie wystąpili ze związku, zarzucając mi oportunizm.

W tym czasie płk Sławek organizuje BBWR, Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem.

Blok miał piękne cele, które odpowiadały całkowicie szlacheckiej, rycerskiej naturze Sławka. Chciał

on przeciąć gadulstwo, szafowanie, a zarazem profanowanie najwznioślejszych haseł w imię interesów danej partii, chciał zgromadzić do pracy wszystkie twórcze siły spośród ludności Rzeczypospolitej. Udało mu się to, niestety, bardzo połowicznie. Ziemiaństwo zajęło stanowisko wyczekujące, aczkolwiek w znacznej mierze przychylnie. Mało było ziemian, którzy otwarcie zapisali się do BBWR. Czynnikiem odpychającym był fakt, że koło Bloku zaczęli się kręcić karierowicze polityczni, dla których każda droga była dobra, o ile doprowadzała do ich osobistych celów. Wszystkimi szparami zaczęli się do Bloku wciskać różni podskakiewicze i różna hołota, którą trudno było odseparować. Blok można było porównać do świeżo wymłóconego i

oczyszczone-

130

go ziarna, do którego niewidzialna ręka dosypywała coraz więcej plew i pośladu.

Chociaż prestiż Marszałka znacznie wzrósł i coraz więcej ludności zaczynało uznawać, że tylko Piłsudski ma siłę moralną do podźwignięcia państwa, to z drugiej strony chamstwo niektórych dawnych oficerów legionowych i ich brutalne wyczyny, jak pobicie Nowaczyńskiego, Jerzego Zdziechowskiego, a później Cywińskiego wywoływały oburzenie i dyskredytowały obóz legionowy. Krzywo też patrzono na wyznaczanie na stanowiska dygnitarzy i wojewodów nieznanych figur, których jedyną zasługą była ich przynależność do Pierwszej Brygady Legionów. Mimo to kraj się podniósł, uspokoił, zakwitł przemysł, rolnictwo, handel, rzemiosło, nauka, sztuka. Kraj ochłonął z rozpolitykowania i zwrócił swoją uwagę na życie gospodarcze. Nasze koleje żelazne, nasza poczta działały bez zarzutu i mogły innym krajom za przykład służyć. W Polsce znacznie więcej zaczęło być dobrego niż złego.

Wzorowa gmina Kamień posiadała wśród swojej ludności dwóch mężów cieszących się zaufaniem sfer rządowych, a co najważniejsze samego premiera generała Sławoj--Składkowskiego: wójta Witczaka i mnie.

Droga, którą premier zwykł był przejeżdżać do Kalisza, prowadziła przez Kamień. Każdorazowo premier zatrzymywał się na kilkanaście minut i sam naocznie mógł się przekonać, że w gminie tej panował ład, porządek i dyscyplina. Nawet drobne niedociągnięcia, jak niepobalenie murowanych parkanów z czerwonej cegły w majątku Kamień nie uchodziły uwagi premiera.

Pod takim okiem gmina Kamień została wkrótce zaliczona do „gmin wzorowych”, a wójt Wojciech Witczak był przez generała nazwany „byczym wójtem”, zaś ja cieszyłem się przychylnością premiera z powodu mojej społecznej prezesury w Międzykomunalnym Związku Szpitali Kaliskich.

131

Obaj z wójtem byliśmy udekorowani Krzyżami Zasługi, a więc wójt srebrnym, a ja jako członek rady gminnej złotym i nam było poręczane przeprowadzanie kolejnych wyborów w gminie.

Wójt Wojciech Witczak był jakby małym odzwierciedleniem polskiej urzędowej reprezentacji. Jeżeli prezydent urządzał dożynki w Spale, a wojewoda w Łodzi, to oczywiście w gminie Kamień odbywały się również uroczyste dożynki we wsi Przedzyń, gdzie składano wójtowi wieńce i poszanowania. Gmina mogła się również poszczycić przenośnym podium skleconym z desek na wzór podobnej platformy, którą wójt widział na dożynkach w Spale, gdzie chór przedzyniaków zdobył trzecią nagrodę za śpiewy, a pierwszą za tańce ludowe.

Jeżeli prezydent urządzał przyjęcie w parku, tak zwane „garden party”, to nie byłem zdziwiony, gdy otrzymałem od wójta drukowane, oficjalne zaproszenie:

„Do pana prezesa Jałowieckiego.

Wójt gminy Kamień uprzejmie zaprasza pana Prezesa na „garden party” i „w ogóle”, mające się odbyć we wsi Przedzyń dnia... Strój codzienny odświętny.”

W oznaczony dzień pojechałem samochodem do Przedzyna ubrany w „strój codzienny odświętny” i przezornie zabrałem z sobą szofera Józefa.

Wójt zaprosił nas do honorowego stołu, przy którym stał już Graczyk, posterunkowy z Cekowa. Na stole był świeżo upieczony chleb i pięknie po gospodarsku przyprawiona kiełbasa oraz wielki kosz porządnie przykryty białym obrusem, spod którego wyglądały „urzędowe” szyjki od butelek.

Wójt nalał z butelki sporą szklaneczkę jakiegoś trunku.

- Panie prezesie, na ręce pana prezesa - rzekł wychylając szklaneczkę - za pomyślność i za zdrowie!
- Po czym podał mi pełną szklanekę i czekał na efekt.
Pociągnąłem porządny haust. W oczach stanęły mi świece. Zaniemówiłem i dopiero po odzyskaniu przytomności spytałem wójta:

132

- Panie wójcie, co to za jakaś bardzo mocna wódka?
- Panie prezesie - odrzekł wójt z dumą - to mój własny sekret... czysty „spyrt” z lemoniadą.
- Panie władza - zwrócił się wójt do posterunkowego - teraz kolej na pana.
Przedstawiciel władzy wychylił szklanekę jednym tchem, ale poczerwieniał na twarzy i przez czas dłuższy słowa nie mógł wykrztusić.
- Czy pan prezes pozwoli zaprosić Józefa na poczęstunek? - spytał mnie wójt.
- Naturalnie - odrzekłem.

Józef, który za kołnierz nie wylewał, tym razem po wychyleniu szklanki osłupiał, a oczy wylazły mu na wierzch.

Wójt proponował po „powtórce”, ale wszyscy zaoponowaliśmy przeciw temu. Zakąsiliśmy więc doskonałą kielbasą i wyjechaliśmy przed rozpoczęciem drugiej części „w ogóle”, w czasie której dzielne przedzinyaki wzięły się za łeb ze swymi sąsiadami ze wsi Kuszyn.

- Jak się Józefowi podobała wódka? - spytałem w samochodzie milczącego Józefa.
- Okrutna wódka, proszę jaśnie pana, prawdziwa woj-tówka - odrzekł z uznaniem.
Miał rację. Nasz wójt był to prawdziwy sanacyjny wójt: umiał pić i jak Sławoj umiał trzymać porządek. Ubikacje, „sławojki wedle gminy Kamień”, służyły wzorem nieskazitelnej czystości, bowiem klucz od tej urzędowej instytucji znajdował się w gminie pod opieką pisarza gminnego i kto ośmieliłby się korzystać z tych udogodnień, miałby do czynienia z samym wójtem.

W dniu wykończenia budowy „sławojek” wójt miał w gminie przemowę tej treści:

- Słuchajta, chłopcy, nie ważta mi się psocić wedle tych nowych budynków, bo jak którego tam ino znaję, to taką latarnię wyświecę, że ino tydzień będzie chodził popuch-nięty.

133

Rzadko bywałem w Warszawie. Był to okres załamania się cen i daleko sięgającego kryzysu w rolnictwie, który wymagał stałego trzymania ręki na pulsie gospodarstwa. Z gazet dowiadywałem się o zmianach na stanowiskach premierów i o sprawie Centrolewu. Podobnie jak za czasów rozwiązania Dumy Państwowej przez Stołypina, kiedy to kadeci wraz z lewicą zebrał się w Teriokach w Finlandii, by protestować przeciw jego zarządzeniom, tak i Centrolew zebrał się w Krakowie, ale już nie w celu protestu, tylko dla dokonania kontrzamachu stanu.

W sali krakowskiego Teatru Wielkiego zasiedli więc przywódcy opozycji, a pomiędzy nimi Witos, ludowiec Kiernik, Bagieński - poseł Wyzwolenia, Lieberman z PPS oraz posłowie socjalistyczni: Ciołkosz, Mastek i Pragier, Dubois - redaktor „Robotnika”, znany demagog i bezwyznaniowiec Putek, wreszcie przyjaciel osobisty Sikorskiego, działacz Narodowej Partii Robotniczej Popiel. Wiadomości o tym zjeździe, zapewne wyolbrzymione, przeniknęły na prowincję i doszły do naszych uszu, wywołując wrażenie, że Polska stanie w obliczu nowego zamachu stanu, a może i wojny domowej w okresie trudnych warunków gospodarczych i wzmożonej pracy przemysłu i rolnictwa, które z wielkim natężeniem woli i przedsiębiorczości walczyło z kryzysem.

Jako prezes kaliskiego Związku Ziemian wysłałem do premiera długi telegram, podając obawy produktywnej części społeczeństwa i wyrażając nadzieję, że rząd zapobiegnie machinacjom Centrolewu i użyje odpowiednich środków w celu przecięcia knowań nieuleczalnych demagogów, działających chyba na korzyść wschodniego sąsiada.

Sprawa Centrolewu potoczyła się jednak całkiem niespodziewaną dla nas drogą, która doprowadziła wreszcie do potwornej omyłki czy tragedii Brześcia.

W kilka dni po objęciu urzędu premiera przez Marszałka Piłsudskiego uczestnicy krakowskiego zjazdu Centrolewu zostali aresztowani i uwięzieni w więzieniu fortecznym w Brześciu Litewskim. Było to jeszcze sprawą zrozumiałą,

134

że ludzi oskarżonych o zamach stanu, czy nawet kontra-mach należało czasowo unieszkodliwić, aż

do chwili rozprawy sądowej. Tymczasem zaczęły przenikać wiadomości, które wywołały wśród wszystkich sfer narodu polskiego głębokie oburzenie. Chodziło o traktowanie więźniów.

Jak się okazało, metody traktowania więźniów były tak brutalne, tak pozbawione zasadniczego poszanowania godności ludzkiej, tak potworne, że nawet w dawnej carskiej Rosji byłyby nie do pomyślenia. Były to metody jakby żywcem skopiowane z systemu bolszewickiego, gdzie ludzi deptano i plugawiono bez żadnych skrupułów; ale żeby coś podobnego mogło stać się w kraju wolnym, w narodzie, w którym godność osobista i poczucie honoru zawsze było szanowane, tego nikt z nas nie mógł pojąć.

Okazało się, że więźniów bito, zmuszano do wykonywania różnych upokarzających czynności, jak sprzątanie rękami ustępów, wymiatanie brudów i innych podobnych rzeczy.

Były premier Polski Wincenty Witos, człowiek odznaczony Orderem Orła Białego symbolizującym godło narodowe, byli ministrowie, profesorowie zostali potraktowani gorzej niż przestępcy kryminalni, gorzej, bo na każdym kroku plugawiono ich i poniżano.

Obóz legionowy twierdził, że Marszałek nic o tym nie wiedział. Niestety, osobiście nie wierzę temu. Była to dla mnie nie rozwiązana zagadka, jaka tkwiła w tym tak trudnym do zrozumienia człowieku.

Nawet najbardziej przezorni mężowie stanu nie są nieomylni i popełniają błędy.

Jednym z błędów, który popełnił Marszałek Piłsudski w okresie jego walki z endecją była likwidacja Centralnego Towarzystwa Rolniczego, owej historycznej spuścizny hr. Andrzeja Zamoyskiego, wspaniałej instytucji, której rola i znaczenie nie są doceniane.

Dla nas, ziemian, było to tym smutniejsze, że ta przymusowa likwidacja nastąpiła na wyraźne żądanie Marszałka i w sposób, który był w sprzeczności z godnością ludzi

135

pełniących od wielu lat bezinteresowną, a owocną pracę w służbie ziemi.

W zaborze rosyjskim Centralne Towarzystwo Rolnicze imponowało Rosjanom, było stawiane za wzór przez rosyjskie ministerstwo rolnictwa, obdarzane było olbrzymimi subsydiami, a nawet tacy ludzie jak Stołypin nieraz powoływali się na działalność tego towarzystwa i nieraz zwracali się o poradę w sprawach fachowych.

Centralne Towarzystwo Rolnicze zatrudniało kilkuset pierwszorzędnych fachowców, instruktorów i instruktorek, organizowało wystawy rolnicze, pokazy maszyn i narzędzi, kursy dla włościan.

Po odzyskaniu niepodległości stan ten trwał nadal, ale tak władze naczelne, jak i liczący się personel składał się wyłącznie z endeków. Po przewrocie majowym wywołało to wrogie stanowisko Marszałka względem tej instytucji. Należało więc w pierwszym rzędzie stworzyć jakąś rywalizującą organizację. Pan Poniatowski, minister rolnictwa, wyszukał jakiegoś komunizującego kontrolera obór Związku Hodowców Bydła nazwiskiem Przedpełski i jemu to polecił zorganizowanie Związku Kółek Rolniczych, w którym zebrały się wkrótce najgorsze męty i socjalizujące elementy. Zastęp pseudoinspektorów o niskich kwalifikacjach rolniczych był za to doborowy jako zespół agitatorów i mówców.

Zadaniem tej całej bandy było szkoderstwo działalności Towarzystwa Rolniczego, a bynajmniej nie podniesienie poziomu produkcji na wsi. Konkurować jednak było trudno.

Toteż jak piorun z jasnego nieba spadło na Centralne Towarzystwo Rolnicze ultimatum: albo połączenie się Towarzystwa Rolniczego ze Związkiem Kółek Rolniczych, albo pozbawienie towarzystwa subsydiów rządowych, bez których nie mogło ono istnieć. To ultimatum, czy raczej rozkaz wyszedł bezpośrednio od Marszałka i rzecz oczywista wywołał w całym kraju burzę. Było to posunięcie mające na celu nie tylko zniszczenie wieloletniego dorobku tej instytucji, ale i upokorzenie ludzi, którzy włożyli tyle bezinteresownej pracy dla polskiego rolnictwa.

Po fuzji obu organizacji miałem rozmowę z Przedpełskim, który kurtuazyjnie deklarował:

- Musieliśmy czepiać się wszystkich środków, aby dojść do ugody z wami, ale teraz mogę oświadczyć, że osiągnąwszy cel, sam dołożę wszelkich starań, aby podtrzymać ciągłość i tradycje dawnego Centralnego Towarzystwa Rolniczego... Nam, a raczej Marszałkowi chodziło głównie, aby rozwodnić nieco zbyt mocne, chociaż stare a upojne wino, dolaniem młodsze wino z

ostatnich roczników winobrania. Czyż nie mam racji, panie prezesie? - dokończył Przedpełski zadowolony z poetycznego porównania.

- Nie wiem, co pan nazywa młodym winem. Co do mnie, to widzę tylko same męty - odrzekłem wiedząc, że Przed-pełskiemu mniej chodziło o dobro instytucji, a więcej o swoją osobistą karierę. Tak też się stało i ten dawny kontroler obór dostał w nagrodę za przeprowadzenie likwidacji CTR poważną synekurę w przemyśle śląskim, która go wyprowadziła na prezesa najpotężniejszego koncernu hutniczo-górniczego zwanego Wspólnotą Interesów.

Od dłuższego czasu krążyły plotki o nieuleczalnej chorobie Marszałka, a różne niespodziewane nominacje na premierów, na przykład Jędrzejewicza czy Kozłowskiego, świadczyły, że Marszałek coraz bardziej odsuwał się od życia. Jednakże śmierć jego wywarła w całym kraju wstrząsające wrażenie. Na równi z innymi byłem poruszony i przygnębiony.

Gazety pojawiły się z portretami zmarłego otoczone czarną obwódką, zamilkły orkiestry, zamknięto na znak żałoby wszystkie teatry, zaniechano prywatnych przyjęć, kraj pograżył się w żałobie, nawet najzjadliwsi przeciwnicy Marszałka byli speszeni jego śmiercią.

Niestety, żona naszego głównego politycznego oponenta, pana Ignacego Chrystowskiego z Tłokini miała na imię

136

137

Zofia. Pan Ignacy, zacietrzewiony endek, nie odwołał imienin swojej żony, które przypadały w pierwszych dniach

żałoby.

Pan Ignacy zwany Hryniem nie odznaczał się ani taktem, ani umiarem, był niepopularny wśród wojska, urzędników, starozakonnych i wśród chłopów z sąsiedniej wsi. Wobec tego nieprzyjaciele Hrynia rozpuścili plotkę o prowokacyjnym przyjęciu w Tłokini, o tańcach, muzyce itd.

W Kaliszu zawrzało, a najbardziej oburzony był korpus oficerski. Szczególnie oficerowie „Dwójki” zawzięli się na Hrynia i uznali, że „szkoda czasu na gadanie, tylko należy pojechać do Tłokini i nabić gębę Chrystowskiemu”.

Pogróżka ta niechybnie wprowadzona byłaby w czyn, gdyby nie moja i Felka Karśnickiego interwencja u dowódcy dywizji, jak i bezpośrednio w kasynie oficerskim. Atmosfera była tak napięta, że tylko stanowisko Felka jako prezesa Związku Oficerów Rezerwy i posła na Sejm z ramienia BBWR uratowało Hrynia „od mordobicia”.

Na nadzwyczajnym posiedzeniu sejmiku wybrano tymczasem delegatów na uroczystości złożenia zwłok Marszałka do krypty na Wawelu. Wśród wybranych znalazłem się ja i wójt gminy Kamień, Wojciech Witczak.

W przeddzień wyjazdu wójt zjawił się u mnie z miną zakłopotaną:

- Panie dziedzicu - rzekł - przyszedłem po radę według tego ubrania, bo jak mam się ubrać, czy po miastowemu, czy po gospodarsku? Mam fajne długie buty i piękne spodnie, jestem nie żadnym miejskim patałachem, ale gospodarzem, to mi się nie widzi wkładać to miastowe ubranie, bo to nikt mnie nie pozna, a tak to będę po gospodarsku, jak na wójta przystoi.

- Naturalnie, panie wójcie - odrzekłem.

- Bo to, panie prezesie - mówił dalej zadowolony z poparcia Witczak - moja kobita to raz przyjechała w miastowym kapeluszu, tom jej zapowiedział, żeby ten kapelusz spaliła, to nawet płakała, ale potem przywiozłem jej jedwabną chustę, co mnie kosztowała pięćdziesiąt złotych i

138
powiedziałem: „Kobito, nie waż się mi więcej wkładać tych koszulek miejskich na giowę, bo jesteś gospodynią i gospodarską córką. To znaj swój honor”.

Nazajutrz wieczorem siedliśmy z wójtem i innymi delegatami do „trzeciaka”, który nas miał zawieźć wprost do Krakowa. W sąsiednim wagonie ujrzeliśmy puciołowatą fizjonomię wiceprezydenta Kalisza Siwka, który widząc nas, ukrył się pośpiesznie.

- Ade panie prezesie, to miastowi Kalisza wysłali na pogrzeb takiego patałacha - skwitował to spotkanie pan Wojciech.

Kiedy koło północy pociąg zatrzymał się na dłuższy postój na stacji w Wieluniu, praktyczny wójt widząc, że nie śpię poradził:

- Ade pan prezes to taki dziś zaalertowany, co ino spać nie może, to może byśmy wyszli na stację i wypili na pociechę.

Skorzystałem z rady Witczaka i wychyliwszy z nim po wielkiej „urzędowej” i zakąsiwszy parówkami, położyłem się na twardej ławie trzeciaka i spałem aż do Krakowa.

Na dworcu pożegnałem wójta. On udał się na miejsce zakwaterowania delegowanych, a ja do mieszkania prof. Axentowicza, gdzie zatrzymałem się ze względu na przepełnienie tego dnia krakowskich hoteli.

Nazajutrz rano dołączyłem do pochodu żałobnego obok mojej siostrzenicy Kuki, której mąż gen. Sosnkowski prowadził pod rękę Marszałkową ubraną w ciężką żałobę.

Będąc na początku pochodu, mogłem napatrzeć się do woli na różne figury, począwszy od grubego Goeringa obwieszzonego orderami, na oficjalnych przedstawicieli różnych krajów, dygnitarzy, generałów, długiego orszaku duchowieństwa i zakonników, wśród których wyróżniali się swoim zaiste niechlujnym wyglądem ojcowie bernardyni.

Ku swojemu zdumieniu ujrzałem Witczaka wśród grupy ministrów, tuż za premierem.

- Jakżeście tam, wójcie, trafili? - spytałem go po spotkaniu na dworcu.

139

- Ade ja zrobiłem jak pan prezes, czekałem, by może kogoś znajomego zobaczyć. To jakem zobaczył naszego generała Składkowskiego, to podeszłem do niego i zameldowałem jako ten wójt z Kamienia, a powiedziałem zaraz, że pan prezes to idzie na przedzie jako ten krewniak ś.p. Marszałka. To generał Składkowski tylko się uśmiechnął i powiedział idźcie, wójcie, z tyłu za mną. Tak tylko my z panem prezesem, co byli na honorowym miejscu, a inni to się tam patoczyli w ogonie.

Po śmierci Marszałka Piłsudskiego zaczął się okres nadużywania jego pamięci wśród obozu legionowego, a szczególnie wśród tych, którzy do tego obozu się przyczepili, a więc „trzeciej, czwartej” brygady. Szastano imieniem Marszałka dla różnych celów osobistych, a w Polsce zaroilo się od ortodoksyjnych legionistów, którzy często popełniali czyny niegodne ani z jego pamięcią, ani z szacunkiem dla osoby zmarłego.

Na tym tle zdarzały się niesłychane wybryki chamstwa, a często jedno źle zrozumiane słowo prowadziło do wydobycia rewolweru z oficerskiej kabury lub do karczemnej burdy.

Rozpoczął się również okres wybujałego wazeliniarstwa. Wokół miernot wyniesionych na dygnitarskie pozycje jedynie koniunkturą wypadków krystalizowało się niebывale pochlebstwo i z patosem te miernoty wznoszono na szczyty.

W Polsce zabrakło ludzi dużego pokroju, zabrakło prawdziwego autorytetu. Do Legionów ciągnęli nie tylko ludzie ideowi, ale w zamieszaniu wojennym wcisnęły się tam w znacznej mierze szumowiny społeczne, wykolejeńcy życiowi, jacyś niedoszli malarze bez talentu, lekarze, którzy siedząc po kawiarniach obcięli się na egzaminach, jacyś pseu-doinżynierowie, których geometrią wykreślną był stół bilardowy.

Z dawnych, najbliższych współpracowników Marszał-

140

ka usunął się w cień szlachetny płk Sławek, zniechęcony i rozczarowany dekadencją, która zapanowała w stworzonym przez niego obozie zjednoczenia. Rozwiązał BBWR, który stał się żerowiskiem dla karierowiczów, podsłakawa-czy i różnych kanalii, a sam po paru latach, zawiedziony do swoich ludzi, zakończył tragicznie życie.

Na miejsce BBWR płk Adam Koc utworzył Obóz Zjednoczenia Narodowego zwany Ozonem. Ozon jest to bardzo aktywna odmiana tlenu, ale ozon z laboratorium Koca zapachem swym był raczej zbliżony do siarkowodoru.

Ten nowy twór polityczny nie próżnował i starał się zjednać sobie różne wpływowe odłamy społeczeństwa, w tym i ziemian. Tadeusz Sułowski, dyrektor Banku Ziemiańskiego urządził w tym

celu zebranie w swoim mieszkaniu przy ulicy Mazowieckiej w Warszawie, na które zaprosił ziemian spośród władz i prezesów związków.

Na zebraniu przemawiał sam twórca Ozonu płk Koc. Byliśmy bardzo zaskoczeni arbitralną jego postawą. Jego mowa zrobiła wrażenie, jakby przemawiał do nas jakiś Gauleiter, tyle w niej było pewności siebie, tyle słów o dyscyplinie, o obowiązkach; było to pouczenie zamiast ideowej deklaracji.

Gdy jeden z ziemian zadał pytanie: „Czy Ozon potrafi utrzymać władzę w swoim ręku?“, otrzymaliśmy odpowiedź, że „Ozon prędzej utopi Polskę w krwi niż władzę odstąpi“.

Wyszliśmy rozczarowani. Polska zaczynała wstępować na drogę rządów totalitarnych, a przy tym miała dwa obozy równoległe do totalitaryzmu dążące, a więc endecję i Ozon, który w znacznej mierze na endecji się wzorował i wiele przejął z jej ideologii.

Stanowisko zajęte przez generała Kazimierza Sosnkow-skiego, drugiego bliskiego współpracownika ś.p. Marszałka i przy tym Inspektora Armii, wobec tego co się działo w kraju było dla mnie niesmaczne. Te „laissez faire, laissez allere“ również względem zagadnień wojskowych budziło we mnie sprzeciw. Sosnkowski był człowiekiem zdolnym,

141

inteligentnym, nie pozbawionym pięknych porywów i tego, co potocznie nazywamy patriotyzmem. Wydaje mi się, że przyczyną jego życiowej inercji i obrania drogi nie wymagającej najmniejszego wysiłku z jego strony był być może dobrobyt, który go całkowicie pochłonął po jego młodości połączonej z ciężkimi warunkami materialnymi. Tak to często bywa z ludźmi, którzy wyszli z biedy, a dorwali się do pieniędzy, majątków i zaszczytów.

Miałem możliwość obserwowania jego życia i mam wrażenie, że pozycja „ziemianina“ w nabytym za bezcen pięknym Bukowcu, polowania po kniejach arystokracji polskiej, do której jako parweniusz miał dziwny sentyment, wreszcie inne słabostki ludzkie, które każdy z nas w mniejszym lub większym stopniu posiada, całkowicie go pochłonięły.

Trudno mi było uwierzyć, aby Inspektor Armii miał oczy do takiego stopnia zaślepione własną osobą, że nie widział tego, co się dzieje na szczytach wojskowych i administracyjnych. W każdym razie ani razu nie słyszałem, aby się postawił sztorcem, aby stuknął pięścią w stół, aby wywalił prawdę Mościckiemu lub Rydzowi-Śmigłemu... Nie zrobił tego, bo było mu to osobiście niewygodnie, bo to wymagało natężenia woli, której ten człowiek nie posiadał.

Gdy zabrakło w Polsce autorytetu, to trzeba było sztucznie ten autorytet stworzyć. Użyto więc statysty, któremu pod patronatem pana Mościckiego dano w rękę buławę marszałkowską. Tą kukłą był generał Rydz-Śmigły.

Jako żołnierz bił się dobrze w czasie wojny bolszewickiej, ale był inspirowany wolą Marszałka.

Gdy Piłsudski zabrał do grobu całą moralną i ideową treść, Rydz-Śmigły stał się nieużytecznym już akcesorium ekwipunku osobistego Marszałka, nadającym się do upiększenia ściany Muzeum Wojska Polskiego.

Mościckiemu zależało jednak, aby mieć przy boku marionetkę i dnia 13 czerwca 1936 roku gen. Składkowski jako premier wydaje okólnik, w którym powołując się na rozkaz

142

prezydenta Mościckiego ogłasza Rydza drugą po prezydencie osobą w państwie.

Pewnej jesieni Józek Radoński zaprosił mnie na polowanie do swojego Żelazkowa, na którym miał być marszałek Rydz-Śmigły.

W Żelazkowie oprócz Rydza-Śmigłego zastałem panów: Miedzińskiego, Michałowskiego, sanacyjne eminencje i wpływowych dyrektorów banków: Janiszewskiego, Sułow-skiego i Staniszewskiego. Spędziłem w tym towarzystwie dwa dni i byłem przygnębiony poziomem rozmów toczących się przy obiedzie, poziomem anegdot i całym ich zachowaniem.

Rydz-Śmigły zachowywał się może najlepiej, bo z dużą skromnością. Robił wrażenie człowieka nieśmiałego i widocznie zażenowanego własną pozycją, na którą wyniosła go fala wypadków. Na jego raczej dobroduszej twarzy igrał również „dobroduszny“ uśmiech. Był to człowiek cichy, skromny, ale nad wyraz przeciętny, a tej przeciętności graniczącej z pewnym odcieniem tępoty nie mogła wyrównać ani buława marszałkowska, ani stanowisko drugiej osoby w państwie.

Najgorsze wrażenie zrobił na mnie pan Michałowski. Był to ograniczony, zarozumiały cham. Było coś przerażającego w systemie, że człowiek tak tępy mógł stać się ministrem sprawiedliwości. Michałowski nade wszystko lubił polowania, ale mam wrażenie, że niejako myśliwy, ale jako kłusownik. Za czasów swojego urzędowania jak mógł i gdzie mógł korzystał z zaprosin. Jako cham nie pasował jednak kompletnie do ziemiańskich dworów.

W Wielkopolsce, w której służba zatrudniona była od pokoleń i traktowana z należnym szacunkiem, Michałowski zwrócił się raz po polowaniu z rozkazem do starego, zasłużonego kamerdynera, który zjawił się w holu:

- Ściągnij mi buty. - Kamerdyner osłupiał.
- Ściągnij mi buty, bałwanie, przecież mówię do ciebie,

143

bałwanie - powtórz! Michałowski. Kamerdyner obrócił się na pięcie i zawołał chłopaka kredensowego, mówiąc:

- No, dopomóż temu „nowemu jaśnie panu”, co gdyby nie wojna, to niechybnie innym by buty zdejmował.

Może najbardziej inteligentnym człowiekiem był w tym gronie Miedziński. Miał cięty dowcip, dużo wiedział, rozmowa z nim była ciekawa; było w nim jednak sporo cynizmu.

Nie mogłem też dobrze zrozumieć polityki gen. Sławoj-

-Składkowskiego jako premiera.

Z jednej strony jego stosunek do starostów, często przypominający zachowanie się kaprała wobec rekrutów, a z drugiej strony tolerowanie bezgranicznej samowoli i egocentryzmu niektórych wojewodów, jak Bociańskiego, zarozumiałego chama, który na Wileńszczyźnie rządził za pomocą „Berezy”, nie dopuszczając najmniejszej krytyki, jak Grażyńskiego, który rządził Śląskiem z całą nietolerancją półinteligenta, jak Józewskiego, który Wołyniem rządził jak własnym folwarkiem.

Wiele pozostawało w Polsce do życzenia, ale główną zasługą sanacji pułkowników było jednak utrzymanie władzy i niedopuszczenie do powtórnego opanowania rządów przez wzajemnie zwalczające się partie i przez demagogię. Rządy pułkowników w wielu sprawach nie były tak złe i mimo szeregu śmieszności w sprawach wewnętrznych, rządy Składkowskiego przyniosły pewien ład w kraju.

Polsce potrzebna była operacja, ale operacje niestety prowadzili nie chirurdzy, ale konowały.

Po śmierci Marszałka i po odejściu Sławka, gdy obóz legionowy przestał być pod kierownictwem ludzi idei i patriotyzmu, patrzyłem z coraz większym niepokojem na rosnące w siłę Niemcy i z podświadomym wyczuciem zagrożenia myślałem, czy nadchodzące żniwa nie będą żniwami ostatnimi.

Zejście

Lato jest brutalne, często nieobliczalne, hałaśliwe brzękiem kos, śpiewem żeńców, warczeniem żniwiarek i traktorów, turkotem wozów drabiniastych pędzących w cwał po mendle zboża, przed nadciągającą z zachodu czarną chmurą zwiastującą nawałnicę.

Nie lubię trzasku piorunów i błyskawic rozdzierających niebo, nie lubię łuny pożarów na widnokręgu lub gradów lipcowych niszczących plony, nie lubię nawet owych tradycyjnych, a tak dla rolnika męczących dożynek.

Dla rolnika okres żniw bywa czasem największej harówki, największego napięcia promieni słonecznych, raptownych burz, wytężonej pracy i zapotrzebowania rąk roboczych.

Żniwa w Kaliskiem zaczynają się od rzepaku. Rzepak jest to ów klasyczny „pierwszy pieniądz”, ale jest to również loteria, na której niedoświadczony rolnik może tak wiele przegrać.

Rzepak dojrzewa pod koniec czerwca. Nie można jednak czekać na dojrzewanie, tylko trzeba uchwycić moment, kiedy na zielonych jeszcze strączkach pokazują się ciemniejsze plamki w miejscach osadzenia ziarenek. Nawet nie dzień, ale parę godzin opóźnienia zbioru może spowodować wysypanie się całego plonu.

Rzepak nie nadaje się do zbioru maszynowego i zbiór musi być dokonany kosą, i to nocą, aby uniknąć niebezpie-

10-Requie

czeństwa wysypiania się ziaren z powodu oddziaływania słońca.

Tego dnia już od południa w majątku panuje spokój. Ludzie muszą wypocząć przed męczącą, bezsennością.

- Czyście, Dziubku, przygotowali robociznę? - pytam.

- Ade proszę jaśnie pana, ludzi będzie dosyć, bo to i fornale, i „rabjata”, i wszyscy sezonowi, i nasze „kobity” wyjdą w pole.

Zwracam się wobec tego do pisarza podwórzowego:

- Czy dosyć przywieźli kielbasy, chleba, wódki na nocny poczęstunek?

- Tak jest, proszę jaśnie pana. Ścieżyk wrócił już dawno z Kalisza i wszystko jest w kancelarii jak trzeba.

- A czyście nie zapomnieli papierosów? - pytam dalej.

- A dyć starczy, przywieźli trzy setki.

- A kagańce?

- Mamy przygotowane wszystkie sześć i nalane naftą. Ale noc zapowiada się pogodna. Stary Antoni wróży, co będzie „fajn”.

Słońce już zaszło, ale letnie, pogodne niebo roziskrzone gwiazdami przepowiada noc jasną.

Zaturkotały wozy i dziesięć fornalek czterokonnych pociągnęło w pole. Po drodze rozbrzmiewa wesola piosenka żeńców.

Ludzie stają do pracy. Miarowo brzęczą kosy, kobiety idące z tyłu zręcznie podbierają ścięty rzepak i układają go w snopki, a za nimi spieszą chłopaki, wiążąc snopki powro-złem słomianym, jak to w porządnym gospodarstwach zawsze bywa.

Ja również nie śpię i całą noc spędzam na polu. Ludzie pracują bez wytchnienia, tak jak tylko kaliski robotnik rolny pracować potrafi.

Na wschodzie niebo już błednieje letnim prześwitem.

- Chłopy - woła włodarz - podkurek!

Pisarz już nadjechał, rozdziela kielbasę i chleb. Ja przy-pijam do włodarza, który puszcza szklaneczkę w obieg. Chłopy piją na schwał, „kobity” i „dzieuchy” skromnie

spuszczają oczy, zakrywają wstydliwie twarz fartuchem, ale piją niezgorzej od chłopów.

Pół godziny wytchnienia i znowu do pracy. Pole rzepaku topnieje w oczach niczym śnieg na wiosnę.

Niebo się już różowi, wreszcie czerwień ogarnia cały horyzont. Wstaje letni, upalny dzień.

O szóstej robota skończona, rzepak ścięty, związany w snopki ustawione porządnie w proste linie.

Ludziska są spracowani i głodni. Śniadanie z podwójną porcją kielbasy i chleba, no i po właściwej szklance wódki na dobry sen. Fornale już wcześniej wrócili w podwórze „wedle oprzętu koni” i teraz przyjeżdżają po ludzi, słysząc turkot wozów drabiniastych.

Ludzie wracają na słusznie należny im odpoczynek. Tego dnia dopiero po podwieczorku powrócą do pracy.

Po dwóch, trzech dniach rzepak gotowy jest do zwózki. Ta zwózka wymaga wielkiej ostrożności, a wozy drabiniaste wysłane są płachtami. Sterty z rzepakiem trzeba układać umiejętnie i prześcielać warstwami suchej słomy, gdyż przy „poceniu” rzepak może łatwo zwilgotnieć i spleśnieć.

Dopiero po sześciu do ośmiu tygodniach, po wypoceniu rzepaku i ostudzeniu sterty można przystąpić do młócki. Wtedy wydzwania telefon:

- Czy pan dziedzic już rzepak wymłócił? - pyta kupiec.

Muszę dobrze wykalkulować czas sprzedaży, bo z rzepakiem nigdy nie wiadomo. Bywa, że zaraz po wymłóceniu cena jest niska; jest to bowiem przednówek i każdy żądny jest gotówki potrzebnej na żniwa i zwiększone koszty robocizny. Ale bywa i inaczej, że cena zamiast podnosić się - spada.

Ledwo skończyłem ze zbiórką rzepaku, a już nadchodzi pora na jęczmień.

O ile uprawa jęczmienia konsumpcyjnego lub pastewnego mieści się w granicach elementarnej uprawy zbóż, o tyle uprawa jęczmienia browarnego należy już do „szkoły wyższej” wymagającej doświadczenia i umiejętności, by sprostać wszystkim wymaganiom stawianym przez sło-downie i browary.

W przeciwieństwie do rzepaku jęczmień należy zbierać w okresie zupełnego dojrzenia. Ziarno musi być twarde, w stanie, który Niemcy określają „Todtreif”, a pogoda w czasie zbiorów jest sprawą pierwszej wagi. Ścięty jęczmień nie powinien ani chwili leżeć w pokosach na ziemi, gdyż dojrzałe ziarno w zetknięciu nawet z suchą ziemią natychmiast zwilgotnieje. Jęczmień w sterty lub do stodoły należy zwozić „na sucho”, po paru słonecznych dniach, kiedy słoma już przyschła, i rozpocząć zwózkę koło południa, by uniknąć rosy. Młócić należy bardzo ostrożnie, na „luźnym bębnie”, aby nie nadwyręzać ziarna, bo pogruchotane nie nadaje się już do słodowni.

Zjawia się kupiec. Ogląda w spichrzu przygotowany i oczyszczony jak złoto jęczmień. Następuje teraz próba nerwów. Kupiec ma ze sobą wagę holenderską dla określenia ciężaru gatunkowego ziarna i ja mam taką również, by w obecności kupca, który w środkach nie przebiera, sprawdzać czy nie zrobił jakiejś „machlojki”. Potem kupiec wyjmuję maszynkę, którą przepoławia wzięte na próbę ziarna. Wreszcie następuje chwila dobiecia targu.

Kupiec jednak bierze w garść kupkę jęczmienia i zaczyna wachać.

- Przepraszam pana, ale jęczmień ma trochę „stichu”. - Co ma oznaczać stęchliznę.

- Sam ma pan „sticha” w głowie - mówię już zirytowany. - Niech pan dobrze wytrze nos i jeszcze raz powącha.

Wreszcie po długich targach i wachaniach, i kiwaniach głową kupiec decyduje się nabyć partię jęczmienia, ale naturalnie o kilka złotych na metrze taniej „wedle tego stichu”.

Jednak i ja stoję się nieustępliwy.

- Panie dziedzicu, to tak dla równego targu może te „dyferencje” po połowie - mówi starozakonny.

- Nie - odpowiadam - ani grosza taniej.

Po pół godziny takich przyjacielskich rozmów kupiec widząc, że już nic nie wskóra, wydobywa z bocznej kieszeni gruby, dobrze zatłuszczony pugilares naładowany setkami złotych i wypłaca należność.

- To tylko dla pana dziedzica ja taką cenę płacę - dodaje przy tym. - Pojutrze podstawię wagony i będę czekał na bocznicy przy stacji towarowej. To pan dziedzic dostawi dwieście pięćdziesiąt metrów przed południem, a drugie dwieście pięćdziesiąt na godzinę czwartą.

Gdy uporałem się z jęczmieniem, już nadchodzi żyto. Od rana do wieczora jestem na koniu lub linijce i nadstawiam ucha, aby sprawdzić miarowe trajkotanie żniwiarek.

Co dwie godziny zmieniają się czwórki ciągnących je koni, a załogi żniwiarek trzy razy dziennie.

W ślad za żniwiarkami i ludźmi wiążącymi snopy idą dwuskibowe pługi podorując ścierniska, za pługami idą bronny, a za bronami siewniki z poplonem składającym się z łubinu, wyki, grochu; wszystko razem zmieszane, by jako zwarta masa zieleni dać poplon na jesienne przyoranie.

W jednym dniu pole zmienia się nie do poznania. Zamiast falujących łąnów żyta widać równe, wąskie rzędy ze stojącymi na nich mendlami, a między rzędami szerokie pasy świeżo przyoranej, obsianej poplonem i przywałowa-nej ziemi.

Kiedy żyto w mendlach już przeszło, wychodziłem w pole z Marcinem Dziubkiem, sięgałem ręką do kilku stert i pytając spoglądałem na włodarza.

- Ade jaśnie panie, po mojemu to trzeba już zwozić, sterty się nie zagrzeją, ino aby Bóg dał pogodę - mawiał.

Nazajutrz od rana gwar, w polu zaczyna się zwózka. Na stertach stoją co najsprawniejsze chłopcy; jeden pilnuje góry i układa snopy, drugi ma baczenie z dołu, aby sterta była prosta. Jakiż to bowiem wstyd dla dziedzica, dla włodarza, jaki niehonor dla sterciarza, jeżeli sterta się pokrzywi i wygląda z daleka jak zakalcowata, klapnięta w piecu babka. Po tym jak „zestożono” zboże sędzi się o porządku i ładzie całego majątku.

Jak grzyby po deszczu wyrastają sterty wzdłuż dróg na skraju pól.

Sterty trzeba nie tylko ułożyć, ale dać się zbożu w stertach wypocić i mówiąc po kalisku „dobrze ogacić” oraz

umocować, aby wichry nie pozrywały powięzi, aby deszcze dobrze spływały po powierzchni, aby

„glapy” nie rozciągały zboża; trzeba też sterty otoczyć rowkiem o pionowych ścianach, żeby się myszy do stert nie dostały.

Żyto już w stertach, przychodzi pora na pszenicę. Jeżeli żyto jest srebrem, to pszenica złotem, a nieurodzaj pszenicy to klęska. A zdarzają się i tu prawdziwe tragedie. Pszenica już dojrzeła, zaczyna nieco połyskiwać złotem, gdy pewnego pięknego dnia gospodarz z przerażeniem obserwuje, że cały łan z takim trudem i kosztem wyhodowanej pszenicy zaczyna nabierać rdzawego koloru. Ziarna pszenicy nie dojrzewają, a schną w kłosach i po kilku dniach strata sięga dziesiątków tysięcy złotych.

Po sprzęcie pszenicy przychodzą dożynki. Dla ziemianina dożynki to bezsenna noc i takie zmęczenie, że nazajutrz ledwo można ruszać nogami.

W Kamieniu dożynki odbywały się w soboty i tego dnia po południu był już, używając kaliskiej gwary, „fajeram”.

Po zachodzie długi korowód z przodownicą i przodownikiem na czele ciągnął pod dwór. Trzeba było z powagą wysłuchać pieśni żniwnej i różnych przyspiewek pod adresem sąsiadów, praktykanta, włodarzy, pisarza, a często i samych dziedziców.

Potem następowało wręczanie wieńców. Po ich wręczeniu, a niektóre były tak piękne, że zawieszaliśmy je w holu, przodownik i przodownica byli obdarowani pieniężnymi datkami.

Orkiestra zagrała i ja musiałem przetańczyć z przodownicą, a Zosia z przodownikiem. Tańce odbywały się przed dworem i zaciągały się na długo, bo chłopcy chcieli przetańczyć kujawiaka z dziedziczką, a dziewczuchy z dziedzicem, który bynajmniej nie był wprawiony w tańczeniu kujawiaka.

Po skończonej ceremonii rozdawano wszystkim uczestnikom kielbasę, chleb, dziewczuchy dostawały jeszcze po woreczku karmelków, a chłopcy po dobrym kieliszku.

Potem wszyscy się rozchodzili, aby zebrać się ponownie w sali, czyli świetlicy, którą specjalnie urządzałem, aby się młodzież bawiła przyzwoicie.

Nie zawsze to wypadało według moich intencji, bo Kaliszanie jak każdy koroniarz skory jest do bójki, a czasem i do noża. Na tę dożynkową noc sprowadzałem zawsze posterunkowego z Cekowa, aby miał oko, a w podwórzu i we dworze wyznaczałem najbardziej pewnych chłopów jako domową policję. Za tę noc dostawali oni specjalne wynagrodzenie, a dnia następnego po butelce wódki, skoro wszystko obeszło się pomyślnie.

Noc dożynkowa była dla mnie nocą bezsenną i rankiem z ulgą stwierdzałem, że muzyka ustała, a ludzie się rozeszli.

W roku 1939 dożynek urządzić już nie zdążyłem.

Urodzaj roku 1939 był nad wyraz obfity. Zbiory były pomyślne, stodoły pełne, na polach zaroilo się od stert, a na łąkach od stogów.

Mówiono stale o wojnie, ale nie dawano wiary w możliwość jej wybuchu.

Niepokój nasz, ziemian, był w znacznej mierze spowodowany drastycznymi zarządzeniami w Niemczech w celu całkowitego nastawienia produkcji rolnej na cele wojenne. Jednocześnie, będąc w sąsiedztwie z Niemcami, niepokoił się pogłoskami o pociągach z wojskiem spieszącym na wschód ku polskiej granicy i koncentracji wojsk niemieckich po tamtej stronie.

Wobec takiej niepewności Związek Ziemian niejednokrotnie zwracał się do Ministerstwa Rolnictwa i innych władz o instrukcje w sprawach rolniczo-aprowizacyjnych, ale władze były głuche. Wszelka interpelacja, choćby najślusniejsza, uważana była za szkodliwy objaw defetyzmu.

Z Ministerstwa Rolnictwa doszła do nas uspakajająca wiadomość, że minister Poniatowski powołał specjalną komisję w celu zrewidowania stanu posiadania większej i średniej własności zgodnie z paragrafami 4 i 5 ustawy o

150

151

reformie rolnej. Wydawało się więc logiczne, że kraj nie może być zagrożony, skoro rząd pozwala sobie na zaprzątanie czasu przebudową struktury rolnej w takiej chwili, gdyż w przededniu wojny należałoby ześrodkować wszystkie wysiłki na zaopatrzeniu wojska i kraju.

Mimo to będąc w Kaliszu wstąpiłem do świetnie urządzonego sklepu kolonialnego pana Ulrycha,

którego brat, pułkownik, był ministrem kolei, i zaszedłem do jego biura, by dowiedzieć się czegoś nowego o możliwości wojny.

- Ach, panie prezesie - powiedział - proszę być spokojnym. Wczoraj widziałem brata. Powiedział mi, że nie ma najmniejszej obawy, a sytuacja jest „żelazobeton”! Tak, panie prezesie: „żelazobeton”! Nie mamy się czego obawiać.

W tym samym czasie zapoczątkowano zbiórkę na Fundusz Obrony Narodowej. Ofiarność części społeczeństwa była nad wyraz hojna. W samym powiecie kaliskim zbiórka wyniosła ponad milion złotych. W zbiórce uczestniczyli głównie przemysłowcy i ziemiaństwo. Ofiarność ze strony stanu włościańskiego była minimalna. Chłopi nawet pełnorolni i zamożniejsi uchylali się wręcz od płacenia.

- Ano my przecie płacimy podatki. To co rząd z tymi pieniędzmi robi? To wszystko idzie na tych urzędników. Nie, my płacić nie będziemy - powtarzano przy zbiórce.

Ogarniały mnie złe przeczucia. Mam w sobie instynkt głęboko zakorzeniony, który ostrzega mnie przed mającymi się zdarzyć wypadkami, jak i owymi spiritus malignos, które czyhają na naszą zgubę. Jestem przesądny, bo życie dało mi dowody, że nie należy lekceważyć ostrzeżeń pochodzących z niezbadanych przez rozum ludzki źródeł.

Tymczasem w ciągu ostatnich kilku miesięcy w starym dworze kamieńskim zaczęły się dziać dziwne i trudne do wytłumaczenia zjawiska.

Któregoś poranka portrety antenatów mojej żony, a więc generała Umińskiego i jego małżonki znalazły się na podłodze. Haki były mocne i nie poruszone, sznury, na których wisiały obrazy, całe. Dom był zamknięty, a służba już dawno udała się do oficyny na spoczynek.

Innym razem wyszedłem przed dwór, aby się w parku przed snem przewietrzyć.

Przy mnie stał stróż nocny Wałęsiak.

- Jaśnie panie - zawołał nagle - a to co się dzieje?! Spojrzałem na dom. W jednej chwili zabłyśły wszystkie

światła, we wszystkich pokojach, salonach, żyrandolach. Obaj oniemieliśmy, by po chwili pobiec czym prędzej do drzwi wejściowych, ale raptem wszystko zgasło i dwór pogrążył się w ciemności. Innego wieczora siedzieliśmy z Zosią w holu słuchając radia, gdy do drzwi zakolała stróż nocny, tenże Wałęsiak.

- Proszę jaśnie państwa, coś się dzieje na niebie.

Noc była pogodna, na niebie iskrzyły się gwiazdy, ale od strony północnego zachodu gorzała jakaś niebywała luna, jakieś straszne kłębowisko złowieszczych kolorów.

Obserwowałem nieraz zjawisko zorzy polarnej tak w Petersburgu, jak i w Finlandii, ale to nie była zorza. Zorza północna jest piękna w swych kolorach, półtonach, jest ona jakby wypisaną na niebie symfonią barw, ale to, cośmy ujrzeli, było jakimś strasznym w swych krwawych i brunatnych kolorach ostrzeżeniem, jakby krwią i pożogą rozlaną na niebie. Zjawisko to trwało prawie godzinę i w tym widoku było coś przerażającego.

Tej nocy nie mogłem zasnąć, te barwy wciąż stały mi w oczach.

W parę dni potem wysiadałem rano z samochodu na rynku w Kaliszu, kiedy mój szofer gwałtownie zawołał:

- Jaśnie panie, niech jaśnie pan się wystrzeżga!

W życiu nie widziałem czegoś podobnego. W naszą stronę, po chodniku posuwały się trzy olbrzymie pająki, pająki o niespotykanej u nas wielkości, przypominające chyba tarantule. Przebiegły nam drogę i zniknęły w szparze chodnika.

- Ade jaśnie panie - wymamrotał przerażony Józef -takiego gada tom jeszcze w życiu nie widział. Staralem się nie zwracać uwagi na te ostrzeżenia. A jednak. ..

152

153

W połowie sierpnia przyjechał do mnie mój powinowaty, senator Stanisław Wańkowicz, aby podzielić się ze mną wiadomością o wystąpieniu ministra Poniatowskiego na poufnym posiedzeniu ministerstwa związanym z reformą rolną, na którym Poniatowski oznajmił że: „Wojna jest nieunikniona i będzie to wojna krwawa, która pociągnie za sobą ogromne straty materialne i

ludzkie. Ziemiaństwo poniesie bardzo ciężkie ofiary, młodszy zginą na polu walki, starsi zapewne będą wyrzuceni przez Niemców z swoich posiadłości, a po zakończeniu wojny będą pozbawieni środków do odbudowania zniszczonych majątków. Okres ten będzie się więc najlepiej nadawał do zlikwidowania średniej i większej własności ziemskiej, i to nawet bez potrzeby uciekania się do przymusu administracyjnego. Ziemie folwarczne będą musiały być w takim położeniu ziemiaństwa wydzierżawione małorolnym, a jest rzeczą wiadomą, że małorolnego chłopca raz już osiadłego na gruncie żadna siła ludzka z tej ziemi nie wyrzuci. W ten sposób stan ziemiańsko-obszarniczy będzie zlikwidowany bezpowrotnie".

Nie miałem już złudzeń. Nazajutrz zwróciłem się do starosty w Kaliszu z zapytaniem, co się stanie z wielkimi zapasami zboża w razie wybuchu wojny, gdyż władze tego lata powstrzymywały rolników od omłotu i zakończenia zbiorów. Starosta oświadczył mi, że nie otrzymał jeszcze żadnych instrukcji i sam jest tym bardzo zaniepokojony.

Zadzwoiłem również do dowódcy garnizonu, generała Altera z prośbą, aby w przypadku rozpoczęcia mobilizacji nie omieszkiał mnie natychmiast zawiadomić, bez względu na porę dnia czy nocy.

Dnia 24 sierpnia o godzinie 4 rano rozbudził mnie dzwonek telefonu. Usłyszałem znajomy głos generała:

- Panie prezesie, spełniam obietnicę, już się zaczęło...

Rano wyjechałem samochodem do Poznania, by przyśpieszyć w Banku Rolnym przelew kredytów pod zastaw

154

zboża nadal złożonego w stertach. Po drodze spotykałem już młodych ludzi spieszących do punktów poborowych. W Poznaniu nastrój był poważny, rzeczowy, żadnej paniki, żadnej hysterii. Załatwiwszy sprawy w banku, poszedłem na obiad do Bazaru. Sala restauracyjna była przepelniona młodzieżą ziemiańską w uniformach polowych, która ruszała do swoich jednostek. Co trzeci to był nasz znajomy lub krewny mojej żony. Między innymi był i Lucio Pułaski z Grzymiszewa, syn senatora, który zaledwie przed dwoma tygodniami poślubił pannę Wandę Potworowską, córkę Andrzeja zwanego „Potworem”.

Patrząc na tę dorodną młodzież, instynktownie czułem słuszność przewidywań pana ministra Poniatowskiego... „Tak, on ma rację - myślałem przygnębiony - że wielu z tych młodych ziemian nie ujrzy już dworu rodzinnego.”

W drodze powrotnej nadal widziałem poborowych spieszących do swoich punktów. Na ogół jednak szosy były wyludnione, ludność pracowała w polu, nie napotkałem żadnego oddziału wojska. Na przedmieściu Jarocina paru mężczyzn bieliło wapnem parkany. Widok ten podziałał na mnie uspakajająco.

„Przecież, jeżeli wróg zbliży się do granic Polski - myślałem - to tylko wariat mógłby nadal zajmować ludność bieleniem parkanów.”

W Kamieniu zameldowano mi, że włodarze wraz z fernalami są w sąsiedniej wsi Skarszewo, gdzie odbywa się pobór koni zdalnych do wojska.

Nie zwlekając wsiadłem w samochód i pośpieszyłem do Skarszewa.

Wieś była przepelniona końmi i ludźmi. Na polu, niczym olbrzymie obozowisko pospolitego ruszenia, stały fernalki dworskie ustawione czwórkami i dziesiątki koni gospodarskich.

Z trudem odnalazłem moich pracowników i przedostałem się do miejsca, gdzie urzędowała komisja.

Przewodniczącym komisji był młody aplikant sądu okrę-

155

gowego w Kaliszu ubrany w mundur podporucznika piechoty. Przyznał mi się, że po raz pierwszy w życiu miał do czynienia z końmi. Do pomocy przydzielono mu dwóch mężów zaufania, w których ze zdziwieniem poznałem małorolnych gospodarzy ze Skarszewa, notorycznych pijaków i awanturników, ale uległych naszemu wójtowi. Obaj ci mężowie byli już nieco „pod gazem”, toteż pobór koni odbywał się w jakiś dziwny sposób, a bałagan był niesamowity. Jednym zabierano wszystkie konie, a do nich należeli przede wszystkim ziemianie, którym rekwirowano konie wraz z

uprzężą, innym pozostawiano je w całości, nawet zamożnym gospodarzom posiadającym po kilka koni.

Tym razem zawiódł mnie Wojciech Witczak, „byczy wójt” gminy Kamień. Był to zamożny gospodarz mający sześć koni, ale tak się urządził, że nie oddał ani jednego, podczas gdy różnym biedakom zabierano wszystko co posiadali, to jest jedyne konia.

Mnie z sześćdziesięciu koni pozostawiono tylko ślepą kobyłę i parę kulawych. Zabrano również całą uprzęż na dwanaście fornalek czterokonnych.

Pozostałem więc na wielkim, wzorowo zagospodarowanym, nasiennym i buraczanym majątku bez koni i uprzęży. Nie czyniłem jednak żadnych przeszkód, jako ziemianin uważając to za obywatelski obowiązek.

Posłałem starszego włodarza Dziubka Marcina wraz z fernalami, aby odprowadzili konie na miejsce zbiórki, którym było wielkie podwórze pustych koszar Pułku Strzelców Kaniowskich, a sam wróciłem do Kamienia.

Mimo zmęczenia nie położyłem się spać. Około północy zjawił się starszy włodarz.

- Czy wszystkie konie zdaliście w porządku? - spytałem sennie.

- Bodać tam, proszę jaśnie pana - rzekł podniecony Dziubek. - Nie było tam nikogo do przyjmowania, to przyszedł jakiś starszy i kazał konie puścić luzem, a uprzęż zwalić na kupę, a nam samym to iść do domu. Ale ja, proszę jaśnie pana, pozostawiłem dwóch fernali, aby mieli

156

baczenie, bo słyszałem jak ten starszy mówił, że nagnali za wiele koni i pewnikiem jutro będzie można trochę z tych koni uratować, to m kazał tym fernalom na wszystko spoglądać. Ja by został z ludźmi, ale mnie wyrzucili... A uprzęży i półszorków ze wszystkich dworów to leży tam taka kupa, że ponoć wyżej człowieka, ale nasze półszorki kamieńskie są znaczone, może się ich odnajdzie, ale po nocy było ciemno, bo dzisiaj noc chmurna.

Nazajutrz wysłałem Dziubka z fernalami z powrotem do koszar, aby wśród pozostałych koni odszukać nasze, a sam po śniadaniu pojechałem do starosty złożyć protest na taki bałagan.

Rozmowa nie była budująca, widać było, że wszystko wymyka się spod kontroli. Musiałem również być w urzędzie skarbowym, by otrzymać pieniądze za krowy, które mi zarekwirowano na ubój i dopiero na obiad wróciłem do Kamienia.

Starszy włodarz czekał już na mnie.

- Proszę jaśnie pana, co się tam dzieje, to ślina do języka nie dojdzie. Opowiadali mi fernali, co te konie całe dobę stały bez obroku i wody, to ino rżały. To nocą wyprowadzili na chybi traf część tych koni. To ino jak świt, naszych dwóch fernali odszukało dziesięć kamieńskich koni, tośmy ich przyprowadzili, a resztę to widać gdzieś pognali. A uprzęż całą to złodzieje w nocy porozciągali, a z rana to można było za kieliszek wódki kupić fajną półszorkę, cośmy płacili po 250 złotych za parę.

To proszę jaśnie pana, ja ze swojej kieszeni trochę podkupiłem i my odnaleźli akurat 10 półszorków, tośmy ich przywieźli... Za najlepsze konie fernalskie, co kosztują najmniej 600 złotych, wystawiono nam kwity na 150 złotych, a tylko za kilka wystawiono po 200 złotych jako za najlepsze. Za parę półszorków nowych wystawiono nam kwity na 40 złotych.

Przyjąłem to beznadziejnym machnięciem ręki, tym bardziej, że w porannej poczcie otrzymałem z województwa kwestionariusz z zapytaniem o ilości zboża i słomy. „Rychło w czas” - pomyślałem.

157

Po trzech dniach zjawiło się w Kamieniu kilku nieznanych mi dotąd ludzi, którzy oznajmili, że są starszymi oddziału podpalaczy. W razie wojny mają na rozkaz oblewać naftą i palić sterty w polu i zboże w spichrzach. Musiałem im pokazać rozmieszczenie stert oraz spichrze, które zawierały tylko owies dla koni, bo zboże zawczasu wydałem fernalom na rok cały.

Podpalaczy już potem nie ujrzałem. Natomiast nadleśny Dobkiewicz zameldował mi, że w zagajach kamieńskich stoją tabory pod dowództwem porucznika rezerwy Trepki, w cywilu sędziego sądu okręgowego w Kaliszu.

- Jest tam pewnie z dwieście koni - mówił Dobkiewicz - i porucznik Trepka jest zrozpaczony, bo od dwóch dni ludzie są bez jadła, a konie bez furazu.

Co prędzej pojechałem tam z Dobkiewiczem. Znaleźliśmy drzewa w zagajach ogryzione z kory, a

zagają połamane i zdeptane.

- Panie prezesie - rzekł Trepka, którego znałem - nie wiem, co się dzieje. Nie mam żadnej łączności, chociaż posłałem gońców do Kalisza, ale tam już nikogo nie ma, a ludzie i konie od dwóch dni prawie nic nie jedli. Co za bałagan, co za bałagan - powtórzył. - Nie, panie prezesie, nas Niemcy zmiżdzą w palcach. Rozpacz mnie ogarnia.

Niezwłocznie kazałem zarznąć kilka baranów, naładować wozy sianem i owsem i pod opieką Dobkiewicza posłałem do lasu.

W dniu 28 sierpnia pojawił się w Kamieniu pierwszy kwaterunek. Był to oddział intendenty polowej i składał się z pięciu oficerów rezerwy, rolników z Wielkopolski, pod dowództwem oficera, który w cywilu był głównym administratorem dóbr rogałęńskich hr. Raczyńskiego.

W oddziale tym panował porządek i wzorowa dyscyplina. Zaprzyjaźniliśmy się z miejsca z tymi oficerami, którzy stołowali się u nas i swoim dobrym wychowaniem, uprzejmością oraz obowiązkowością bardzo nas ujęli. Zrozumienie było z obydwu stron. Na mieszkanie wyznaczaliśmy im sześć pokoi w oficynie, gdyż pokoje gościnne we dworze zarezerwowano dla oficerów lotnictwa, którzy mieli przybyć do Kamienia.

Następnego dnia zakwaterowali się u nas czterej oficerowie lotnictwa, ludzie niezwykle sympatyczni i sprawni.

Otrzymałem polecenie przygotowania pola leżącego pod lasem na prowizoryczne lotnisko. Była tam niezaora-na jeszcze ścierń, którą należało mocno zawałować. Zawałowanie szło opornie, bo pozostało mi wszystkiego 10 koni i to najstarszych.

Wkrótce stały pod lasem samoloty myśliwskie gotowe do boju, a we dworze przybyło jeszcze paru lotników, nie mniej dzielnych i sympatycznych, którzy swoim małym otwartym samochodem jeździli niezamordowanie tam i z powrotem.

W końcu sierpnia podczas obiadu zjawił się major nazwiskiem Wężyk w towarzystwie swojego adiutanta. Wstaliśmy co prędzej z żoną od stołu i przeszliśmy do holu, gdzie nas oczekiwali obaj ci oficerowie. Major Wężyk ledwie raczył nam skinąć głową i oświadczył rozkazująco, że rekwiruje dwór w Kamieniu na polowe kasyno oficerskie i że inni oficerowie kwaterujący we dworze mają niezwłocznie opuścić Kamień.

Odpowiedziałem mu, że kwaterunek do mnie nie należy i że powinien porozumieć się z dowódcą oddziału lotniczego.

- Jak się pan będzie stawiać, to każe zawołać żandarma i aresztować pana - rzekł Wężyk w niegrzecznym tonie.

Zachowanie tych dwóch chamów względem mnie i mojej żony było tego rodzaju, że musiałem zareagować energicznie, przypominając, że Kamień jest dworem, a nie karczmą i że ma do czynienia ze starym oficerem, byłym polskim ministrem pełnomocnym i prezesem Związku Ziemiaków, a moja żona jest ziemianką, względem której obowiązuje grzeczność, a nie chamstwo. Uspokoiło to trochę majora Wężyka, choć skórę miał bardzo grubą.

Z jadalni wywołałem jednego z lotników i pozostawiłem ich samych. Lotnicy zostali, a ja wyprosiłem majora Wę-

158

159

żyka z dworu, komunikując mu, że jeżeli ma do mnie jakiś interes, to niech uda się do urzędu gminnego i po skończonym przeze mnie obiedzie może się ze mną rozmówić urzędowo, przy świadkach.

W urzędzie gminnym poleciłem, aby mnie połączono z biurem pułku piechoty mjr. Wężyka. Odezwał się dyżurny podoficer.

- Czy nie ma nikogo z oficerów? - spytałem.

- W tej chwili jest tylko ksiądz kapelan Rójek - zameldował.

- To proszę poprosić do telefonu księdza kapelana.

W obecności mjr. Wężyka i jego adiutanta opowiedziałem ks. kapelanowi o wyczynach oficerów jego pułku.

- Niech pan poprosi do telefonu majora Wężyka! - wykrzyknął z oburzeniem kapelan.

Rozmowa musiała być zapewne dość ostra i skuteczna, bo Wężyk wraz z adiutantem wyciągnęli się na baczność, kiedy wychodziłem z gminy bez pożegnania.

Niestety, tego dnia zaczęli się zjawiać różni oficerowie i różne oddziały, z których każdy miał chęć zakwaterowania w Kamieniu. Jeden oddział dosłownie wyrzucał drugi.

Zaczął się niesłychany chaos. Wchodzono i wychodzono z domu nie zdejmując czapek, siadano do stołu bez zaproszenia i o każdej porze, żądano posiłków oraz wódki. Żona moja w kuchni upadała ze znużenia, a ja obsługiwałem jak mogłem.

Przez parę dni dom zmienił się w jedno wielkie obozowisko, w jedną wielką karczmę. To kazano mi wynosić meble, to wnosić je z powrotem. Kupy śmieci leżały po kątach. Spano na kanapach, na łózkach. Oddaliśmy całą naszą pościel. Z rana zwoływałem fernali, aby przynajmniej choć po wierzchu oczyścić pokoje. Jedynie lotnicy zachowywali się poprawnie. Z całą tą resztą nie można było się dogadać, do nikogo kompetentnego zwrócić, rozprężenie było zupełne. Natomiast żądania tej zbieraniny były tragikomiczne, jako w przededniu odpierania wroga. Jeden z ofi-

160

cerów zwrócił się do mnie informując, że mają zamiar założenia w Kamieniu kółka myśliwskiego, bo słyszeli o bogatym zwierzostanie, inny zakomunikował mi, że wybiera się na kuropatwy i że mam mu dać kogoś ze służby leśnej i chłopców do nagonki, a ktoś zwrócił się do mnie, bym mu przyszył daszek do czapki.

W obejściach gospodarskich panował taki sam chaos i bezprawie, brano to, co komu do głowy przyszło. W stodołach biwakowano jak w polu, beczki pełne benzyny stały niezabezpieczone, śmiecie walały się wszędzie. Na próżno z moją administracją, włodarzami i pisarzem staraliśmy się zrobić jako taki porządek. W dodatku służba folwarczna przybiegała do mnie prosząc o ratunek, gdyż wyrzucano ich z izb na ulicę, a z mieszkań pozabierano łóżka.

Wśród tego chaosu graniczącego z jakimś obłędem zastałem na ganku sekwestratora ubezpieczalni społecznej, który chciał mi obłóżyć aresztem meble za jakąś nieznaną mi zaległość i gwałtownie domagał się pieniędzy. Szczęśliwie przybył do Kamienia ks. kapelan Rójek, bo byłem już bliski ataku wściekłości. Wyprosiwszy komornika, wszedłem z księdzem do holu. Na to całe rozprężenie patrzyła z portretu marsowa twarz generała Jana Umińskiego, bohatera spod Gdańska, Borodina i Moskwy, a żona moja, widząc jeszcze jednego oficera, zawołała histerycznie:

- Dziadku, patrz co się dzieje i przemów do wojska polskiego.

Ksiądz Rójek wziął mnie na stronę.

- Radzę panu usilnie, niech pan zaraz wyjeżdża. Zostawiono panu samochód, lotnicy dadzą benzynę, niech pan zabiera żonę i córkę i wyjedźcie z tego piekła choć na kilka dni, zanim nie nastanie jakiś porządek. Niech pan zostawi wszystko pod moją opieką, bo ja tymczasem zostaję w Kamieniu. Da mi pan klucze od piwnic i spiżarni, a ja jestem góral i nie dam sobie jeździć po głowie. A teraz niech państwo siadają razem ze mną do samochodu lotników i pojedziemy na lotnisko, gdzie odprawię mszę polową, a

11 - Requiem

161

potem, błagam, wyjeżdżajcie natychmiast. Zresztą nowiny nie są dobre i Niemcy mogą zjawić się już nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę.

Był cichy pogodny dzień wczesnej, złotej jesieni. Wysłuchaliśmy Mszy Świętej w lesie, w rewirze zwanym Kamionką, a potem już uspokojeni wróciliśmy do domu.

Załadowałem trochę xztzvj i dokumenty do samochodu i spytałem Józefa, czy zgadza się wyjechać z nami.

- Ade proszę jaśnie pana, toć to moja robota - odrzekł po prostu.

Pożegnaliśmy zacnego księdza Rójka, pożegnaliśmy naszych przyjaciół lotników; inni oficerowie siedzieli na ganku paląc papierosy i nawet nie raczyli kiwnąć głową.

- Niech was Bóg ma w swojej opiece - rzekł ks. Rójek, kreśląc nad nami znak Krzyża Świętego.

W życiu ludzkim, jak we wszechświecie, nie ma ustalonej wartości czasu; jedna sekunda może w życiu ludzkim znaczyć tyle co dziesiątki lat. Taką sekundą jest ostatni rzut oka na dom rodzinny.

Po raz ostatni spojrzałem na ściany dworu kamieńskiego i odczułem bezinteresowną satysfakcję, że

mimo kryzysu, mimo podatków i często złej koniunktury gospodarczej utrzymałem ten piękny majątek w całości i nie odsprzedam ani jednej morgi.

Samochód ruszył, a ja czułem, że wiezie nas w nieznane, w jakąś przyszłość bez przyszłości. Fiat voluntas tua.

Szosa pełna była ludzi uciekających z Kalisza po niemieckim nalocie na stację kolejową. Szli piechotą z tobołkami na plecach lub jechali na rowerach, lub różnych pod-wodach. Do tego dochodziły długie szeregi wozów i bryczek ciągnących na wschód z różnych okolic Wielkopolski. Cała ta fala ludzka dążyła w stronę Turka.

Za Turkiem, nie dojeżdżając do Uniejowa, trafiliśmy na nową falę uciekinierów ciągnących od Gniezna, Grudziądza i Bydgoszczy.

162

I

Pod Łęczycą natknęliśmy się na idące luzem stado klaczy i źrebaków z państwowej stadniny w Gnieźnie.

Nadchodziła noc, gdy znaleźliśmy się na szosie prowadzącej z Łęczycy na Kutno w pobliżu Balkowa, majątku krewnych mojej żony Lesznowskich. Postanowiliśmy tam zajechać. Przyjęła nas Marynia, bo Janek przewodniczył komisji poboru koni i miał wrócić późnym wieczorem. W domu pełno już było osób, tak że nam przeznaczono pokoje w oficynie. Janek wrócił upadając ze znużenia i pod wrażeniem niemieckiej bomby, która trafiła w ich punkt zborny, zabijając kilku ludzi i kilkanaście koni.

Nazajutrz była niedziela. Nad Balkowem zaczęły się ukazywać samoloty niemieckie, słychać było dalekie detonacje zrzuconych bomb. Samoloty nadlatywały partiami po pięć lub siedem.

Zrezygnowaliśmy z udania się na nabożeństwo do kościoła parafialnego.

Po południu rozeszła się wiadomość, że Niemcy zrzucili spadochroniarzy. Ludność wyległa na ich poszukiwanie, ale na próżno. Na pastwisku dzieci znalazły podobno zrzucone cukierki, ale bały się je skosztować. Chłopi twierdzili, że cukierki są zatrute.

Pod wieczór doszła do nas wiadomość, że wojska niemieckie zajęły Kalisz i posuwają się w dwóch kolumnach: jedna drogą na Łódź, a druga ku Turkowi, zajmując Kamień, Ceków... Ziemiaństwo z Blaszek wyjechało w stronę Warszawy. Widziano Walewskich z Inczewa, Murzynow-skich, Potworowskich i wielu innych, posuwających się pośpiesznie w kierunku stolicy.

Wieczorem usłyszeliśmy dalekie grzmoty i wkrótce niebo zaczerwieniło się krwawą luną. Gorzały olbrzymie składy spirytusu kutnowskiej rafinerii.

Postanowiliśmy opuścić Balków nazajutrz rano, tym bardziej, że wciąż nadjeżdżały nowe partie uciekinierów, a zapewne spizarnia balkowska nie była przygotowana na taki najazd, bo już od południa karmiono nas tylko kwaśnym mlekiem i kawałkiem czerstwego chleba.

W nocy rozbudził nas gwar głosów i turkot samocho-

163

dów przed oficyną. Musieliśmy wstać, aby dać miejsce nowo przybyłym. Był to transport urzędników i urzędniczek magistrackich z Grudziądza, a wśród nich sam prezydent miasta z nominacji OZON-u, pan Włodek. Opowiadał z przejęciem o zniszczeniu, jakiego w Grudziądzu dokonały samoloty niemieckie.

- Udaję się do Warszawy, ofiarując się do dyspozycji Rządu Rzeczypospolitej - zakomunikował mi z powagą.

Droga do Warszawy była pusta. Jedyne koło Łowicza spotkaliśmy niewielki oddział wojska, poza tym ani na drogach, ani na polach nie widać było ludzi. Wszyscy pochowali się po domostwach lub stojąc na przyzbach spoglądali w górę, obserwując niebo i horyzont.

Do Warszawy dojechaliśmy koło południa. Byliśmy tak przemęczeni i głodni, że zatrzymałem się na placu Marszałka Piłsudskiego, przed barem Hotelu Europejskiego, aby coś przekąsić i wypić kieliszek wódki.

Stamtąd pojechaliśmy prosto do mieszkania mojej szwa-gierki Wandy Glińskiej. Akurat była zajęta przysyłaniem okien i wypełnianiem jakichś zarządzeń mających chronić mieszkańców od gazów

trujących. Wanda ostatni rok mieszkała we Włoszech i przyjechała na parę letnich miesięcy do kraju. Miała z sobą paszport zagraniczny z wizą powrotną do Włoch, ale mimo ostrzeżeń zwlekała z wyjazdem, jak to Wanda: tu jedna przyjaciółka, tu druga, czas przechodził i Wanda „osiadła na koszu”.

Moja szwagierka, jak zawsze, była źródłem wiadomości. Według niej władze z wojewodą warszawskim Jarosze-wiczem wyjechały już z miasta w niewiadomym kierunku i sądziła, że z rządu także nie ma już nikogo w Warszawie.

Udałem się więc niezwłocznie na miasto w poszukiwaniu jakichś władz wojskowych lub administracyjnych. W ministerstwach panowały już pustki, wszystko było ewakuowane, a sztaby wojskowe umieszczone w schronach w nieznanym miejscu dowodzenia. Wobec tego udałem się do ambasady brytyjskiej, aby tam zasięgnąć języka. Ambasador z personelem już wyjechał, ale spotkałem tam puł-

kownika Shelleya, który bywał częstym gościem w Kamieniu. Shelley był to już stary zreumatyzowany dziad, a choć był pułkownikiem Grenadier Guard, to wyglądał raczej na inwalidę tego sławnego pułku. W ambasadzie był szefem wydziału paszportowego i prowadził „intelligent service” na Polskę, o czym naturalnie się nie mówiło.

Shelley zaprosił mnie do swojego biura i tam zostałem zaskoczony personelem tego oddziału; był tam zaledwie jeden Brytyjczyk, i to Żyd, reszta byli to rosyjscy Żydzi i jeden „biały” Rosjanin. Shelley uprzedził mnie, że jutro wyjeżdża z Warszawy ze swoim personelem, a teraz zajęty jest pakowaniem reszty dokumentów ambasady. Poradził mi, bym nie zostawał dłużej w mieście i na poczekaniu wypisał mi szereg zaświadczeń, że jestem oficerem polskim w randze majora przydzielonym do ambasady brytyjskiej w Warszawie, oraz listy do placówek zagranicznych, prosząc w nich o udzielenie mi pomocy w wyjeździe z Polski, czego na razie sam nie brałem pod rachubę.

Nie było jednak racji pozostawać w Warszawie. Sądziłem, że najrozumniej będzie przedostać się na Wileńszczyznę, gdzie co krok miałem krewnych i znajomych, i na kresach spokojnie przeczekać do końca wojny.

O tym, by Niemcy doszli do Wilna nikt nie myślał.

Wieczorem z trudem wydostaliśmy się na Pragę, by stamtąd wjechać na szosę prowadzącą do Siedlec. Tutaj zaczął się dramat. Szosa była szczelnie zapełniona wszelkiego rodzaju pojazdami. Posuwaliśmy się w żółwym tempie, oczekując z minuty na minutę, że ktoś z tyłu najedzie na nasz samochód. Robiło się ciemno. Pył był niesamowity, bo susza była w powietrzu. Światła mieliśmy przyćmione. Na każdym kroku groziło nam rozbicie się o przydrożne drzewo. Wyjazd z miasta zajął nam około czterech godzin. W Siedlcach znaleźliśmy się nad ranem. Miasto nie spało, pomne świeżego nalotu niemieckich samolotów.

Po chwilowym postoju ruszyliśmy w dalszą drogę, by o 7 rano znaleźć się w Łukowie. Miasteczko było przepelnio-

,1

164

165

m

ne zabitymi i rannymi z pociągu ewakuacyjnego, który poprzedniego wieczora został zbombardowany przez niemiecki samolot.

Podjechaliśmy pod plebanię, gdzie zastałem gen. Carton de Viart i księcia Karola Radziwiłła w mundurze porucznika kawalerii. Obaj ostrzegli mnie o niebezpieczeństwie pobytu w Łukowie, gdyż zatrzymały się tutaj attachaty wojskowe brytyjski i francuski. Niewątpliwie Niemcy przez swój wywiad byli już poinformowani o ich zakwaterowaniu, więc z całą pewnością można było spodziewać się nowego nalotu.

Mój Józef tymczasem rozmówił się z posterunkowym i zameldował mi:

- Proszę jaśnie pana, nie ma co tu dłużej popasywać. Posterunkowy radzi, aby jak najprędzej stąd wyjechać.

Ksiądz pleban dał nam miednicę i ręczniki do jako takiego wymycia się i po wypiciu szklanki

herbaty ruszyliśmy w dalszą drogę, kierując się na Radzyń, Międzyrzec do Brześcia Litewskiego. Okolice Radzynia były spokojne, jak gdyby tu wcale wojny nie było. Ludność kopała w polu ziemniaki, tu i ówdzie zaczęto siewy jesienne, a podjeżdżając do Radzynia zobaczyłem młodego Dernałowicza, ożenionego z kuzynką mojej żony Oleczką Pułaską z Chylina, jadącego normalnie w pole. Nie lubiłem Dernałowicza, więc nawet się nie zatrzymałem. Dernałowicz został właścicielem wielkiej fortuny. Jego krewny Szlubowski zapisał mu za życia dobra radzyńskie. Notabene pan Szlubowski był bliskim krewnym teściowej mojego syna, ale po jej ucieczce z domu i potajnym ślubie w Kopenhadze, Dernałowicze jak to Dernałowicze, potrafili się razem z Rulikowskimi wkręcić i cała ta fortuna, zamiast dostać się mojej synowej i jej rodzeństwu, wpadła w ich ręce, tworząc dwie nowe rodziny „półtora szlachciców”.

W drodze z Radzynia do Białej Podlaskiej miałem wielką ochotę zjechać na chwilę do majątku Woroniec, aby zobaczyć się z moją „kuzyneczką” księżną Izą Mirską, ale dowiedziałem się, że dwór jest przepełniony ludźmi, więc ruszyłem w dalszą drogę, nie chcąc robić dodatkowego kłopotu.

Przejeżdżając przez Białą Podlaską, w której mieściły się duże zakłady budowy samolotów, widzieliśmy wiele spalonych budynków. Nie zatrzymując się na dłużej, wyjechałem do Brześcia. Złowieszczy, krwawy zachód słońca pojawił się na niebie, kiedy dojeżdżaliśmy do Brześcia. Po prawej stronie szosy dopalały się hangary wojskowe, jakiś oddział łączności pośpiesznie reperował przewody telegraficzne porożrywane w czasie bombardowania. Z lewej strony dymyły zgłiszcza spalonego domostwa. Z olbrzymich lejów tuż przy szosie unosił się ostry, żółty dym.

Było już zupełnie ciemno, gdy stanęliśmy w Brześciu. Z trudem znalazłem jakiś pokój w drugorzędym żydowskim hoteliku. Umieściłem w nim moje panie, a sami z Józefem, upadając ze zmęczenia, przespaliśmy się w samochodzie.

Wczesnym rankiem poszedłem do hotelu, zarządziłem jako takie śniadanie i wyszedłem na miasto. Akurat zaczął się nalot. Wreszcie miałem satysfakcję, patrząc jak nasza artyleria przeciwlotnicza trafiła w niemiecki samolot, który zrulował niczym bażant trafiony wprawna ręką.

Dzięki zaświadczeniu ambasady brytyjskiej udało mi się uzupełnić benzynę i korzystając z chwili spokoju pomiędzy jednym nalotem a drugim, wyjechaliśmy z Brześcia kierując się na Kobryń i Pińsk.

Do Kobrynia przyjechaliśmy w pół godziny po niemieckim nalocie. Kurzyło się na przedmieściach, a dymy zaciągnęły miasto.

Pod wieczór zatrzymałem się w miasteczku Antopol, a stamtąd po krótkim rozeznaniu pojechaliśmy do majątku Orłowicze, skąd miałem blisko do Hruszowej, majątku panny Marii Rodziewiczówny, z którą byłem w bliskim, korespondencyjnym kontakcie; łączyła nas wspólna miłość do kresów.

166

167

Przyjechaliśmy do Orłowicz późnym wieczorem. Jak się okazało, dwór był nie tylko pusty, ale nie było w nim nawet najprymitywniejszych mebli; zaledwie kilka stołów drewnianych i zydl.

Właściciel kazał wszystko wywieźć, a sam majątek był dzierżawiony przez Żyda, który wyrabiał sery. Dzierżawca okazał się bardzo przyzwoitym i uczynnym człowiekiem, wcale nie wyzyskiwaczem, i jak mógł, starał się nam pomóc. Przyniesiono nam słomę, rozesłano na podłodze, okryliśmy się kocami i zasnęliśmy kamiennym snem.

Następnego dnia po umyciu i ogoleniu wyszedłem przed dom i spojrzałem w pole. Ranek był cichy, jesienny. Po nie-przeoranych ścierniskach srebrzyły się pajęczyny w porannej rosie.

Zapomniałem już jak wyglądają prymitywne gospodarstwa poleskie. Gospodarstwo w Orłowiczach pod względem prymitywu było chyba najbardziej charakterystyczne; było to coś prymitywniejszego od prymitywu.

Zadumę przerwało mi trajkotanie samolotów. Leciały kluczem bardzo nisko, jednak nie mogłem rozpoznać czy to były samoloty polskie, czy niemieckie.

Zaraz po śniadaniu wynajęliśmy w majątku bryczkę, która miała mnie z żoną dowieźć do Hruszowej na wizytę do panny Marii Rodziewiczówny.

Dojechawszy do Antopola, znaleźliśmy miasteczko w panice i mieszkańców pośpiesznie

opuszczających swoje domy. Miasteczko było już częściowo spalone. W takiej sytuacji jechać dalej było nieroztropnie. Zawróciliśmy więc z drogi.

O kilka wiorst za Antopolem niemieckie samoloty bombardowały pociąg ciągnący ku Pińskowi. Samoloty zniżyły swój lot i w niedużej odległości od szosy zrzuciły kilka bomb, a potem pociskami z karabinów maszynowych zaczęły polewać szosę, niczym wodą z sikawki. Wraz z woźnicą zeskoczyliśmy z zoną z bryczki i dopadliśmy kartofliska, kładąc się piaskiem między bruzdami. Strzelano do nas jak do kuropatw. Samoloty zawracały parę razy i krążyły niczym jastrzębie nad szosą i polem. Nie mając już nic do

168

stracenia, postaraliśmy się dobiec do pobliskich zarośli, a potem dopaść naszych koników i bocznymi drózkami wrócić do Orłowicz. Mieliliśmy szczęście, bo na polu i na szosie zostało kilku rannych i zabitych.

Nie przeszła godzina od naszego powrotu, gdy znowu usłyszeliśmy warkot samolotów, a w chwilę potem wybuchy bomb rzucanych na pobliską stację kolejową Drohiczyn II.

Po krótkim śnie rozbudziłem Józefa i moje panie i ruszyliśmy do Pińska.

Mimo nocy szosa była przepelniona uciekinierami. Spotkaliśmy oddział policji aż z Sieradza, studentów i uczniów na rowerach lub piechotą idących z Warszawy i nieprzerwany potok samochodów. Na poboczach leżały porzucone samochody, i to drogich marek, zapewne z braku benzyny.

Do Pińska przybyliśmy nad ranem. Zatrzymaliśmy się przed miejscową restauracją. Sala przepelniona była wojskowymi. Panowało ogólne rozgoryczenie i przestrzegano mnie, bym nie siedział w Pińsku. Poszedłem więc do starostwa. W starostwie był zupełny chaos. Wszyscy potracili głowę, bo oprócz niemieckich samolotów przypuścili osobliwy nalot na starostwo urzędnicy województwa poleskiego z wojewodą na czele.

Ponieważ dalszy pobyt w Pińsku wydał mi się rzeczywiście niebezpieczny, więc zatelefonowałem ze starostwa do Porzecza, majątku mojego powinowatego i przyjaciela, senatora Romana Skirmunta. Był on starym kawalerem i mieszkał w Porzeczcu ze swoją siostrą, też starą panną, która w tym majątku przetrwała także poprzednią wojnę.

Senator uprzejmie mnie zaprosił i sugerował, aby niezwłocznie wyjechać do Porzecza.

Trakt prowadzący z Pińska do Porzecza był piaszczystą drogą pełną wyboi i innych niespodzianek.

Niebo zaciągnęło się chmurami, kropił deszcz. Dojeżdżając do Porzecza zmyliłem drogę, ale ujrzałem jakiś oświetlony budynek. Była to spółdzielcza mleczarnia założona przez Skirmunta. Stamtąd skierowano mnie na właściwą drogę.

Dwór w Porzeczcu przypominał mi trochę swoim wyglą-

169

dem Ślepiankę Wańkowiczów, a trochę budowlę jakby obronną, o grubych murach. Był to dwupiętrowy, surowy, czworokątny budynek.

Na progu powitał nas stary służący w długim, czarnym surducie, a za nim ukazał się Roman Skirmunt. Coś mu się stało, bo opierał się na lasce i kulał mocno.

Panna Skirmuntówna zaprowadziła nas do pokoju gościnnego. Po tyłu bezsennych lub spędzonych na podłodze nocach, jakże był nam miły widok łóżek zasłanych świeżą pościelą i ogień płonący w piecu.

Po umyciu przeszliśmy do wielkiej, długiej sali jadalnej na kolację. Zastaliśmy tam sporo osób, jakichś dalszych i bliższych krewnych Skirmunta.

Nalano po wielkim kieliszku starki i zasiedliśmy do kolacji, która wydawała mi się wyśmienita. Nastrój był jednak grobowy, jakby w oczekiwaniu czegoś niedobrego. Szczególnie milczącym i smutnym wydał mi się senator.

Po kolacji rozmawiałem chwilę ze Skirmuntem, przechadzając się po wielkiej sali bawialnej, której ściany obwieszane były obrazami, a z portretów patrzyły na nas surowe twarze atenatów pana domu.

- Wiesz, nie wiem czemu - rzekł Roman na dobranoc - ale mam złe przeczucie. No, ale idź wypocznij, a jutro pogadamy.

Rozbierałem się prawie nieprzytomny i natychmiast zasnąłem.

Około szóstej rano zbudził mnie hałas samochodów i głosy przed domem. Ubrałem się pośpiesznie i wyszedłem na podwórze. Oprócz dwóch dużych samochodów osobowych stała tam jeszcze wypełniona rzeczami ciężarówka, a obok kręcili się hr. Pusłowscy i senatorostwo Godlewscy. Ujrzawszy mnie, Józio Godlewski uściskał mnie serdecznie proponując, abyśmy przyłączyli się do nich i razem ruszyli do Wilna.

- Będzie nam raźniej. Tylko, na Boga, nie zwlekajcie, bo czas nagli - powiedział.

170

Z trudem dobudziłem się mojej żony, bardzo niezadowolonej z nagłego wyjazdu.

Uścisnęliśmy się serdecznie ze Skirmuntem i znowu ruszyliśmy w drogę. Droga prowadziła przez olbrzymie kompleksy leśne należące do Porzecza, a dalej wchodzące w skład rozległego klucza albertyńskiego Pusłowskich. Były to kręte leśne drogi znane tylko miejscowym.

Po przejechaniu kilku kilometrów milczący Józef nachylił się do mnie i zagadał:

- Dobrze, proszę jaśnie pana, żeśmy wyjechali, bo tam w Porzeczcu będzie bardzo źle. Służba coś wie, ciągle coś szepcze, oni tam mają jakieś wiadomości. Tam naród niepewny. Tylko ten stary służący i parę pokojówek, i kucharz to ludzie dobre, ale reszta to same zbóje. Ja nie mogłem wywieść się z ich mowy co oni wiedzą, ale na coś się gotują. Szkoda jaśnie pana Skirmunta, podobno dobry pan, ojciec dla sąsiadów i biedoty, ale te łajdaki to żadnego pojęcia nie mają, to naród dziki.

Około południa stanęliśmy w Telechanach, osadzie położonej w środku puszczy. Była tam sielankowa cisza, nie słychać było samolotów, pachniało lasem, grzybami i świeżo pieczonym chlebem. Po godzinnym postoju ruszyliśmy w dalszą drogę przez te bezdroża.

Niestety, zbliżał się już wieczór, i dalsza droga pełna dziur i korzeni w zapadającym zmroku była coraz trudniejsza. Musieliśmy zanoćować w przygodnej leśniczówce. Panie w budynku, my na sianie.

Wczesnym rankiem wydostaliśmy się wreszcie na szosę z zamiarem, by dojechać tylko do Nieświeża, a tam odpocząć parę dni u ks. Radziwiłłów.

Około 10 rano usłyszeliśmy znajomy warkot samolotów. Trzeba było ukryć się w bocznej drodze pod drzewami i korzystając z postoju, przegryźć chleba z kielbasą.

Gdy znaleźliśmy się z powrotem na szosie, nagle od strony Nieświeża minął nas pędzący samochód wojskowy, z którego dawano nam znaki w kierunku przeciwnym.

171

Za tym samochodem ukazał się drugi, który zdołaliśmy zatrzymać.

- Czyście zwariowali - zawołał siedzący w samochodzie oficer - albo chyba jeszcze nic nie wiecie. Bolszewicy przekroczyli granice i są już w Nieświeżu. Idą nie przeciw Niemcom, ale razem z nimi, przeciw nam. Uciekajcie póki czas.

Nie zwlekając ruszyliśmy na Słonim, Zdzięcioł, Lidę do Wilna. Szosa była pusta.

W najbliższym miasteczku poczta i telefon już nie działały, miejscowy posterunek policji zbierał się do wyjazdu. Na przyzbach chat widać było chłopów z kijami w rękę spoglądających spode łba na nasze samochody. Robiło się coraz bardziej nieprzyjemnie.

Słonim przepełniony był wojskiem wycofującym się pośpiesznie w stronę Wilna. Ktoś podpisał nierozsądne zarządzenie, by wydać żołnierzom zapasy wódki ze składów monopolu państwowego. Z trudem utorowaliśmy sobie drogę wśród pijanych a hałasujących tłumów wojska i wydostaliśmy się na szosę prowadzącą na Zdzięcioł. Szosa była nie wykończona i w jednym miejscu trzeba było przejechać piaszczysty kawałek drogi.

Silnik mojego samochodu, zbyt chyba rozgrzany, zaciał się. Stanęliśmy w miejscu.

Bywają czasem chwile, które od razu dają nam prawdziwy obraz charakteru człowieka.

Gdy samochód stanął, zajrzała nam w oczy perspektywa pozostania na drodze i trafienia w łapy bolszewików. Zwróciłem się do Godlewskiego, aby przynajmniej podciągnął mnie do szosy.

Wówczas wyszło szydło z worka. W moich oczach Józio Godlewski nie zdał egzaminu.

Pozostaliśmy sami. Józefowi udało się w końcu zapuścić motor; trochę pchając samochód i jadąc na niskim biegu bez pasażerów, dobrnęliśmy w końcu do właściwej nawierzchni.

Zbliżała się już noc, kiedy stanęliśmy w Zdzięciole. W miasteczku panowało wielkie podniecenie. Tłumy miejscowych Żydków zalegały rynek. Młodzież miała już czerwone opaski na lewym ramieniu. Czekali na bolszewików.

172

Droga ze Zdzięcioła do Lidy pełna była ludzi idących ku Wilnu. Jechały też podwozy, bryczki, powozy. Mijaliśmy oddziały policji i luźne grupy żołnierzy.

Lidę przejechaliśmy koło północy. Miasto było oświetlone i również przepelnione wojskiem i tłumem uciekinierów. Udało nam się przejechać wzdłuż tego tłumu i trafić na pustą szosę. Od Biniakon do Wilna szosa była wyboista i trzeba było jechać bardzo uważnie, aby nie połamać resorów. Nie czułem już zmęczenia; ile ma się w sobie energii, to można odczuć dopiero w czasie zagrożenia.

Około godziny czwartej rano wjechaliśmy do Wilna. Na ulicy Ostrobramskiej zatrzymałem samochód i padłem na kolana przed cudownym obrazem „Tej, co w Ostrej świeci Bramie”.

Sub tuum praesidium cofugi mus.

- To cóż, i panoczek znów przyjechawszy do Wilna -powiedział do mnie portier w hotelu George. - Wszystkie numery zajęte, aleja wraz dam państwu dwa numery pana Wagnera, bo on jakoby już wyjechawszy na Litwę.

Obudziliśmy się dopiero wieczorem. Sala restauracyjna była przepelniona. Z trudem znalazłem stolik i usiedliśmy do dość skromnej jak na hotel George'a kolacji.

Nie mogłem zająć się jedzeniem, bo co trzeci człowiek był albo moim znajomym, albo krewnym. Do naszego stolika dosiadł się również admirał Borowski, który już od wielu lat mieszkał w Wilnie. Radził mi, żebyśmy jak najszybciej wyjechali na Litwę, o ile jest to dla nas możliwe, a mnie, na odwrót, w tej tak pełnej wspomnień sali zawładnęło ciepłe poczucie bezpieczeństwa.

W pewnej chwili zauważyliśmy na sali radosne poruszenie. Ludzie podawali sobie z ust do ust nowe wiadomości. Do naszego stolika podbiegła zdyszana pani Wyleżańska.

- Panie Mieczysławie - zawołała - w szczęśliwej chwili zawitał pan do Wilna.

Spojrzeliliśmy na nią zdziwieni.

173

I

- Jak to, państwo nic nie wiedzą? Przed kilkunastoma minutami słuchałam wiadomości w radio. Hitler zwariował, Niemcy wycofują się z Polski, a bolszewicy również zawrócili. Właśnie biegnę do generałowej Pełczyńskiej, aby podzielić się z nią tą radosną nowiną. Ściskam pana. Pa. Do zobaczenia.

- Nie, panie Mieczysławie - rzekł admirał - to wygląda na jakiś „kawardak” (bałagan, zamęt). Nie bardzo chce się wierzyć w ten optymizm. Niepodobna, aby w parę godzin wszystko mogło się tak raptownie zmienić. Doradzam, by udał się pan jutro do litewskiego konsula.

Przed konsulem litewskim stał długi ogon petentów. Szczęśliwie przemówiłem po litewsku do jednego z kręcących się urzędników, pokazując mu papiery wystawione przez pik. Shelleya i wyjaśniając, że sam jestem z Litwy i znam osobiście prezydenta Smetonę. Urzędnik poradził mi, abym zatelegrafował wprost do prezydenta i jutro zgłosił się po wizy. Pozostał jeszcze problem Józefa. Spytałem go czy woli zostać, czy chce jechać z nami na Litwę.

- Ade jaśnie panie, to ja nie znam innych języków. Dostawiłem jaśnie państwa w bezpieczne miejsce, to ja wolę teraz już tu pozostać, a nie jechać w świat. Zawsze stąd bliżej do Kalisza. Ucisnąłem jak brata tego poczciwego człowieka, wynagradzając go sowicie.

W czasie kolacji u George'a dowiedziałem się, że zaraz po naszym wyjeździe senator Skirmunt został zamordowany, kiedy wracał końmi z Pińska. Ciało zostało rzucone w poprzek drogi, a ci sami prawdopodobnie bandyci ograbili dwór w Porzeczu, mordując wszystkich, którzy się tam schronili. „Właściwie zawdzięczamy życie Godlewskiemu” - pomyślałem o nim, tym razem z wdzięcznością, bo gdyby nie jego namowa do wyjechania razem z nimi, to spotkałby nas los tych, którzy w Porzeczu pozostali.

Na drugi dzień miałem już wbite w paszportach wizy i kanistry pełne benzyny. Wszystko układało się szczęśliwie i mieliśmy wyjechać rano.

Kiedy opadły ze mnie te wszystkie troski, poczułem wilczy apetyt; ciągle byłem głodny. Po krótkim spacerze zszedłem ponownie do sali restauracyjnej i obstałowałem sobie kotlet cielecy z kieliszkiem wódki. Po skończonej kolacji wyszedłem na chwilę do holu na papierosa, gdy wpadł do hotelu jakiś wojskowy wołając:

- Uciekajcie, panowie, bolszewicy są już w pobliżu Wilna.

Hotel był pełen oficerów. Wszyscy oni, na wpół spakowani, zbiegali ze schodów na ulicę.

Wybiegłem za nimi.

Przed hotelem, wzdłuż ulicy Mickiewicza stały szeregi wojska, a na chodnikach pełno było ludzi wiwatujących na ich cześć. Nie rozumiałem zgoła nic. Od nikogo nie mogłem się dowiedzieć czy wojsko to wyrusza na obronę Wilna, czy raczej z niego odstepuje.

Po niecałej godzinie wojsko ruszyło ku Zielonemu Mostowi. Miasto jakby opustoszało, zaległa głucha cisza. Tylko gdzieś z daleka, od strony Antokola i Niemczyna dochodziły pojedyncze strzały armatnie i dalekie terkotanie broni maszynowej.

Wróciłem do naszego numeru, obudziłem żonę. Czekaliśmy w oknie jak się wypadki potoczą. O spaniu nie było mowy.

Była godzina druga nad ranem, gdy przed hotelem zawarczały głucho jakieś pojazdy. Wyrzeliśmy przez okno. W świetle latarni stały dwa czołgi. Ujrzałem charakterystyczne czapki z wielkimi czerwonymi gwiazdami. To nie było złudzenie, to byli bolszewicy.

Tym razem ogarnęła mnie rozpacz. „Więc na to wyjechaliśmy z Kamienia, na to przeszliśmy całe to piekło ucieczki, aby na końcu wpaść w łapy bolszewickie i zakończyć życie gdzieś w łagrach dalekiej Syberii”. - Zacząłem się modlić, z trudem panując nad nerwami. W końcu dobiegły do mnie słowa mojego Ojca: „Kiedy jesteś słabszy, to jedyną obroną jest desperacki atak na przeciwnika”.

Wyskoczyłem na ulicę. Byłem w długich butach i nocą nie miałem wyglądu burzujaka.

Podszedłem do żołnierzy stojących obok czołgów. Poczęstowałem ich papierosami.

- A gdzie naszi?- spytałem.

- Naszi wsio jeszcze tam - jeden z żołnierzy wskazał w kierunku Niemenczyna.

- A tam jeszcze naszych niet? - pokazałem ręką w kierunku kościoła św. Rafała i szosy wilkomierskiej.

- Niet, naszych tam jeszcze niet, oni nieskoro budut.

Szybko wróciłem do hotelu. Co prędzej wzięliśmy nasze walizki i chyłkiem, wzdłuż murów domów okalających plac Orzeszkowej dostaliśmy się do naszego samochodu.

Panie włożyły na głowę chusty. Zosia znalazła jakiś czerwony szalik. Naprędce uwiązałem jego część jako opaskę, a resztą udekorowałem samochód. Bałem się teraz nie tyle bolszewików, co miejscowych komunistów.

Szczęśliwie, nie zaczepiani przejechaliśmy koło placu Łukiskiego, potem przez most Zwierzyniecki, na którym nie było jeszcze posterunków i wyjechaliśmy na pierwszą ulicę mającą wylot na szosę wilkomierską.

W pobliżu szosy samochód zanurkował przednim kołem. Ulica przekopana była rowem, a przed nami na szosie wilkomierskiej stały znowuż dwa czołgi sowieckie. Poczułem w sobie siłę desperata. Westchnąłem do Matki Bożej o pomoc. Wyskoczyłem z samochodu i podbiegłem do żołnierzy. Spojrzeli na moją czerwoną opaskę, a ja na ich pocziwe, tak mi znane tępe twarze rosyjskich żołdaków.

- Riebiata - krzyknąłem, jakbym był komisarzem - po-magitie. Domkrat (lewar) u was jest?

- Jest, no nie rabotajet - odpowiedział jeden z żołnierzy. Czuję, że zadziałał u nich przez zaskoczenie odruch bezmyślnego wykonywania rozkazów. Należało się spieszyć.

- Nu kakije u was poriadki. Chaditie bystro wytianut maszynu, a patom zakurim.

Wspólnymi siłami wyciągnęliśmy samochód.

- Spasiba, bratcy - zawołałem, rzucając parę paczek

||

papierosów przy wjeździe na szosę. - Spasiba - powtórzyłem.

Droga na Litwę stanęła otworem. Podjeżdżając do Mej-szagoły napotykalismy grupy pojedynczych żołnierzy. Ciągnęli ku Wilnu, niechlujni, bez broni. Na widok samochodu podnosili obie ręce do góry lub salutowali. Początkowo nie mogłem zrozumieć o co chodzi, dopiero po chwili przypomniałem sobie o czerwonym szaliku i opasce.

Co prędzej zdjąłem te emblematy.

Przed miasteczkiem Mejszagoła droga była zagrodzona autobusem. Ludzie stojący na szosie powiadomili mnie, że most jest podminowany i wskazali boczną drogę, aby ominąć miasteczko. Droga prowadziła koło dworu, ale rządca poinformował nas, że właściciele wyjechali kilka dni temu na Litwę i że po tamtej stronie są już regularne oddziały wojsk polskich.

Sam uskarżał się na maruderów, którzy coraz zagląдали na podwórze dworskie z różnymi żądaniami.

Za Mejszagoła zatrzymał nas oddział ułanów. Do samochodu podszedł młody rotmistrz i po skontrolovaniu dokumentów życzył dobrej drogi, wydając mi przepustkę do dalszych posterunków. Jego szwadron na tle napotykanvch maruderów prezentował się okazale, a konie były w dobrej formie.

Podjeżdżając do granicy litewskiej, znowu minęliśmy luźną, dużą grupę żołnierzy. Do samochodu podszedł jakiś wojskowy, miał zdarte naramienniki i czapkę bez odznak i orzełka. Zaczął kłąć i wymyślać pod adresem dowództwa, używając najobrzydliwvch wyrazów. Był pijany.

Przed samą granicą szosa przepelniona była oddziałami szukającymi schronienia na Litwie. Z trudem udało mi się ich wyminąć i podjechać do przejścia granicznego.

Stało tam kilku żołnierzy litewskich i jakiś młody oficer. Podałem dokumenty.

Oddał mi je po chwili z pytaniem:

- Ar ter ponas Jałowieckis is Saldudiskis dvaru? (czy pan Jałowiecki z syługudyskiego dworu)

12-Requie

177

Poczułem, jak ze wzruszenia łzy płyną mi po policzkach.

- Tejp (tak) - odrzekłem.

- Meldżau vazuoti (proszę jechać).

Podniesiono szlaban. Znaleźliśmy się na Litwie. Przed pierwszym przydrożnym Krzyżem zatrzymałem samochód i wszyscy klękliśmy, dziękując Bogu za Jego Opiekę. Ruszyliśmy dalej przez Szyrwinty ku Wiłkomierzowi. Patrzyłem ze wzruszeniem na znajomy, pagórkowaty, a tak mi drogi krajobraz górnej Litwy, moich stron rodzinnych.

W jednej ze wsi ludność zatrzymała nas i przyniosła nam mleko i chleb, rozpytując co słycać w Polsce. Ci dobrzy ludzie życzyli nam szczęśliwej drogi, a jakaś starsza gospodyni zrobiła nad nami znak Krzyża Świętego.

Było już ciemno, gdyśmy dojechali do Wiłkomierza. W mieście pełno było wojska litewskiego.

Zatrzymywano nas parokrotnie dla sprawdzenia dokumentów.

Miasto było przeludnione, tak że postanowiliśmy zatrzymać się na nocleg w jakiejś mniejszej mieścinie. Dojechaliśmy do Janowa położonego nad Wilią i tam spędziliśmy noc pod pierzynami w żydowskim zajeździe. Byłem tak głodny, że kolacja przygotowana przez żonę oberżysty w postaci pieczonej kury i jajecznicy wydawała mi się takim przysmakiem, że ledwo odpowiadałem na pytania licznie nam asystujących miejscowych Żydków, bardzo ciekawych sytuacji w Polsce.

W Kownie zamieszkaliśmy w sławetnym hotelu Wersal. Spotkaliśmy tam pełno znajomych, tak przyjezdnych, jak i miejscowych. Jak w Wilnie, i tu co trzeci spotkany to był mój dalszy lub bliższy kuzyn lub przyjaciel. Zaprosinom nie było końca, i to na dłuższe pobyty u okolicznych ziemian.

Jednak po przygodzie w Wilnie bałem się po prostu pozostać dłużej na Litwie.

Znałem aż za dobrze mentalność Rosjan i ich przerażający szowinizm i wiedziałem, że czy „biali” czy „czerwoni”, nie zrezygnują z rozszerzania swojego imperium, jeżeli tylko nadarzy się okazja napaści na słabszego, napaści usprawiedliwianej niebywałą demagogią: czy to obro-ny Słowiańszczyzny, czy obrony proletariatu, czy po prostu obrony własnych interesów. Teraz

warunki dla aneksji państw bałtyckich wydawały się wymarzone.

Moim marzeniem był parodniowy wypad do Syłgudy-szek, ale i tu bałem się konfrontacji moich wspomnień z rzeczywistością. Ponadto, nie chcąc obchodzić litewskich przepisów, odstawiłem samochód do składów urzędu celnego.

Mając już ustalony plan wyjazdu do Anglii, uzyskałem bez trudu wizę brytyjską i szwedzką oraz tranzytową lotewską, gdyż doradzono mi lecieć samolotem z Rygi do Sztokholmu.

Grupa przyjaciół i krewnych odprowadziła nas na kolej i serdecznie żegnani wsiedliśmy do pociągu pośpiesznego idącego z Kowna do Rygi. Pociąg ruszył.

W wagonie restauracyjnym spotkałem Stanisławów Montwiłłów. Oni wracali do siebie do domu... my zaś, bezdomni, jechaliśmy w świat.

Pod wieczór pociąg zbliżał się do Mitawy. Przez okno widziałem znajomą płaszczyznę kurlandzką. Krótki postój w Mitawie, potem stacja Ołaj, koło której leżała doświadczalna ferma Politechniki Ryskiej, gdzie za studenckich czasów tyle dni przebywałem.

Zadudnił most na Dźwinie. Ze wzruszeniem patrzyłem na oświeconą, a tak mi dobrze znaną panoramę mego uniwersyteckiego miasta.

„Jaki jestem już stary” - pomyślałem gorzko.

Na noc zatrzymaliśmy się w Hotelu Rzymskim i na kolację zeszliśmy do Romkelleru, w którym za czasów studenckich spędziłem niejedną wieczór i wypilem niejedną butelkę waldschlosschenu, wśród barwnych czapeczek korporantów.

„Dobrze, że nie pojechałem do Syłgudyszek - pomyślałem - powroty zmazują wspomnienia.”

Przed położeniem się do snu wyszedłem sam na miasto. Noc była księżycowa. Podeszedłem pod gmach politechniki. Mimowolnie stanęła mi w pamięci zwrotka dawnej pieśni akademickiej:

178

179

Zda się widzieć miasta kształt w pustej gdzieś ulicy, Stoi dawny, stary gmach mojej wszechnicy.

Nazajutrz wczesnym rankiem byliśmy już na lotnisku. W oczekiwaniu na szwedzki samolot obserwowałem odlot sowieckiego dygnitarza wojskowego, nadętego i spasionego, którego odprowadzała grupa oficerów lotewskich. Po tym widoku z ulgą wsiadłem do samolotu.

W kilka chwil po starcie ziemia ustąpiła pod nami. W blaskach jesiennego słońca ujrzeliśmy przepiękną panoramę morza i lesistych brzegów Bałtyku.

A potem już nic, tylko woda pod nami, a nad nami niebo.

Pod koniec lotu ukazała się panorama zielonych wysepek z czerwieniejącymi dachami willi, następnie samolot zatoczył koło i zniżył lot. Znalazłem się w dobrze znanym mi z czasów poprzedniej wojny Sztokholmie. Ale o ile lat byłem wtedy młodszy...

Wieczorem byliśmy na kolacji w poselstwie polskim. Posłem był nasz dobry znajomy Gustaw Potworowski, z którego żoną Zosia przyjaźniła się za czasów panieńskich.

Rozmowa przy stole była niezwykle interesująca, jednak wiadomości niewesołe. Rząd i część wojska przekroczyła granice Rumunii. Na podstawie zawartych z tym państwem umów zagwarantowany był nie tylko przejazd wojsk i rządu, ale nawet możliwość prowadzenia dalszej walki z terytorium tego kraju. Tak daleko posuniętą w swych obopólnych zobowiązaniach umowę o wzajemnej pomocy Rumuni zawarli z Polską już dawno, obawiając się sowieckiej agresji na ich kraj.

Niestety, za rządem, jak hiena podążał dawny kawiarniany konspirator ze Lwowa, gen. Sikorski, i to nie tylko z patriotycznych pobudek, ale głównie z żądzy władzy i odwetu na obozie piłsudczykowski. W krótkim czasie dopuścił się zdrady, montując za namową Anglików pucz w ambasadzie polskiej w Bukareszcie. W wyniku tego puczu

180

Rumuni uznali się zwolnionymi od zobowiązań i internowali tak rząd, jak i wojsko.

- Panie ministże - powiedział do mnie jeden z radców, którego znałem w MSZ jeszcze jako młodego człowieka -konsekwencje tego puczu, albo, co tu mówić, zdrady, są nieobliczalne i są tylko na rękę Anglikom. Straciliśmy suwerenny rząd, w stosunku do którego Anglicy mieli zobowiązania, a ludzie którzy negocjowali z nimi pakty i znają wszystkie tajne aneksy do umów, są

teraz zatrzymani w Sinai. Na miejsce rządu, który był w stanie egzekwować nasze prawa powstaje jakiś komitet, który można traktować tylko z litością, a na czele tego komitetu staje general Sikorski, jak pan minister wie, z galicyjska uniżony w stosunku do cudzoziemców i zawsze kosztem Polaków im usłużny. Na pana miejscu nie jechałbym do Anglii, tylko zostałbym w Szwecji. Niestety, nie mamy co się łudzić. Po tym zamachu Polska politycznie jest przegrana i to niezależnie od naszego przyszłego wysiłku wojennego i naszych zasług w toczącej się wojnie. W Sztokholmie przebywaliśmy dwa tygodnie. Odwiedziłem Gość Lagerkrantz, który również namawiał mnie do pozostania w Szwecji, gdyż miałem tu potężną protekcję rodziny Noblów, niestety, w tym czasie nieobecnej w Sztokholmie. Może przy ich sugestii usłuchałbym wewnętrznego głosu, który zalecał mi, by zostać tutaj. Miałem jednak złudzenia, że może w Anglii będę jeszcze na coś potrzebny.

Do Anglii wypłynęliśmy luksusowym statkiem pasażerskim z Bergen. Morze gładkie jak stół, prawie nie czuć było fali. Po krótkiej podróży statek wpłynął rano do portu Newcastle upon Tyne. Wsiadliśmy do pociągu pośpiesznego do Londynu. Dzień był szary, mglisty. Pociąg przejeżdżał przez płasko-wzgórza Yorku. Z okna widać było nieuprawne, porośnięte krzakami i chwastami nieużytki lub pastwiska. Złym gospodarstwem, niedbalstwem i nędzą tchnęła ta część rolniczej Anglii.

181

Nieokreślony smutek zmieszany ze złymi przeczuciami nappełnił moją duszę.

Spis rzeczy

Po dziesięciu latach dziś, dnia 18 listopada 1955 roku zakończyłem moje wspomnienia, a mianowicie ten ostatni tom. Bóg mi raczył pomóc i dać siły i zdrowie, żem mógł skończyć i ten odcinek moich obowiązków.

O pobycie na emigracji pisać nie będę, bo i po co!

Beckenham, Kent 18 listopada 1955

Wśród wojsk koalicji antyniemieckiej w dniu zakończenia wojny Polacy stanowili czwartą siłę militarną w Europie. Podczas konferencji poczdamskiej Churchill jednak miał o Polakach tylko tyle do powiedzenia: „Mam powyżej uszu tych przeklętych Polaków. Nie chcę ich widzieć. Dlaczego Anthony [Eden] z nimi nie pomówi. Jeżeli miałbym ich zobaczyć, powiedziałbym im, że w Europie Zachodniej nie ma poparcia dla marionetkowego państwa polskiego, narzędzia Rosji" (Krystyna Kersten, „Jałta w polskiej perspektywie”).

Na zakończenie tej konferencji prof. Stanisław Grabski, zaufany Sikorskiego i były negocjator traktatu ryskiego, a obecnie członek delegacji Bieruta, wznosi na ręce Stalina toast za sojusz narodów słowiańskich pod przewodnictwem generalissimusa.

Czyż nie jest to ostrzeżeniem przed politykami lichymi lub bez charakteru ?

Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua lu-ceat eis.

Michał Jałowiecki

Booragoon W.A., 24 maja 2001

Ziemia i ludzie.....	7
Na zawianej szosie.....	28
Pod znakiem buraka i zająca.....	49
Widziane ze wsi.....	92
Sanacja.....	124
Zejście.....	145

„Czytelnik”. Warszawa 2003. Wydanie I

e-mail: sekretariat @czytelnik.pl <http://www.czytelnik.pl>

Ark. wyd. 8.8: ark. druk. 11,5

Skład: WMC s.c. Warszawa

Druk: Poznańskie Zakłady Graficzne SA

Zam. wyd. 679; zam. druk. 70767/03

Printed in Poland